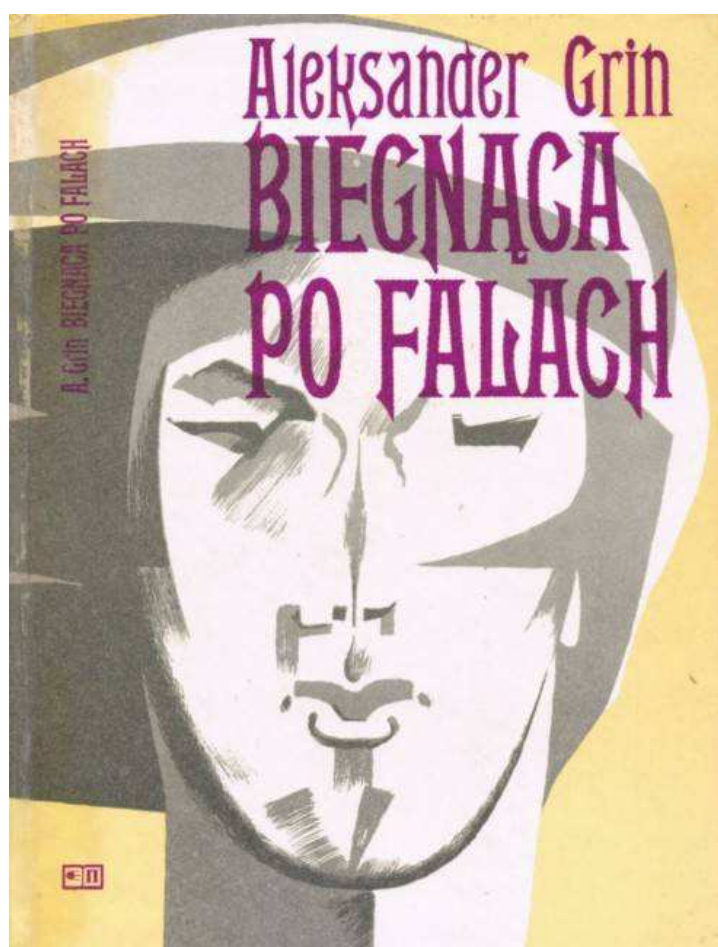


ALEKSANDER GRIN

BIEGNAĆA PO FALACH

TYTUŁ ORYGINAŁU: БЕГУЩАЯ ПО ВОЛНАМ
PRZEKŁAD: IRENA PIOTROWSKA



PROGRES • MOSKWA • 1981

To Désirade...
O Désirade, jak mało w nas było
radości, kiedy z morza wyłoniły się
twoje zbocza porośnięte lasami mancenilli.

L. Shadoorne

ROZDZIAŁ I

Opowiadano mi, że znalazłem się w Lissie na skutek jednej z gwałtownych chorób, jakie powalają człowieka niespodziewanie. Zdarzyło się to w drodze. Zabrano mnie z pociągu, nieprzytomnego, z wysoką temperaturą, i umieszczono w szpitalu.

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, doktor Filatre, który serdecznie starał się rozerwać mnie w ostatnich dniach przed moim wyjściem ze szpitala, z równą troską wyszukał mieszkanie dla mnie, a nawet znalazł kobietę do posług. Byłem mu bardzo wdzięczny, zwłaszcza że okna mieszkania wychodziły na morze.

Pewnego dnia Filatre powiedział:

- Drogi Harvey, zdaje się, że mimo woli zatrzymuję pana w naszym mieście. Po przyjeździe do zdrowia mógłby pan wyjechać, absolutnie nie krępując się tym, że wynająłem dla pana mieszkanie. Niemniej jednak przed dalszą podróżą potrzebny jest panu bezwzględnie jakiś przytulny kąt - pewien przystanek psychiczny.

Była to wyraźna aluzja: przypominałem sobie moje rozmowy z nim o potędze N i e s p e ł n i o n e g o. Potęga ta nieco osłabła na skutek mojej ciężkiej choroby, ale od czasu do czasu słyszałem w duszy jej stalową wibrację, która nie zapowiadała uciszenia.

Podróżując z miasta do miasta, z kraju do kraju, byłem posłuszny sile bardziej władczej niż namiętność lub mania.

Wcześniej czy później, u schyłku życia czy w rozkwicie lat, Niespełnione przyzywa nas, a my rozglądamy się, usiłując pojąć, skąd nadleciał zew. Ocknąwszy się w swoim zwykłym świecie, opamiętujemy się z trudem i ważąc każdy dzień wpatrujemy się w życie, całą naszą istotą starając się odgadnąć, czy też nie ziszcza się Niespełnione. Może dostrzegamy już jego kształt? Może wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by chwycić i zatrzymać jego ledwie majaczące zarysy?

Tymczasem mijają dni i przepływamy obok wysokich, mglistych brzegów Niespełnionego, zaprzątnięci powszednimi sprawami.

Dość często rozmawiałem z Filatre'em na ten temat. Ale ten sympatyczny człowiek nie znał jeszcze pożegnane dotknięcia ręki Niespełnionego, toteż moje wyjaśnienia nie poruszyły go. Wypytywał mnie o to wszystko i słuchał dość spokojnie, ale z głęboką uwagą, nie dziwiąc się mojej trwodze i usiłując ją zrozumieć.

Wróciłem już prawie do zdrowia, odczuwałem jednak reakcję spowodowaną dłuższym brakiem ruchu, uznałem więc radę Filatre'a za słuszną i opuściwszy szpital, wprowadziłem się do narożnego domu, po prawej stronie ulicy Amilego, jednej z najpiękniejszych w Lissie. Dom stał w dole ulicy, obok przystani, za dokiem - było tam cmentarzysko okrętów i cisza, przerywana niezbyt dokuczliwym, złagodzone przez odległość gwarem portowego dnia.

Zająłem dwa pokoje - jeden bardzo duży i drugi, o połowę mniejszy, z ogromnym oknem na morze. W trzecim, do którego prowadziły w dół schody, ulokowała się służąca. Schludne, stare meble o wymyślnych kształtach, stary dom i wybredne urządzenie mieszkania harmonizowały ze względną ciszą tej dzielnicy miasta. Pokoi zwróconych pod kątem na

wschód i na południe przez cały dzień nie opuszczały promienie słońca i dlatego ów biblijny spokój pełen był szlachetnego pojednania dawno minionych lat z niewyczerpanym, wieczyste nowym pulsowaniem słońca.

Gospodarza widziałem za ledwie raz, kiedy wpłacałem pieniądze. Był to ociężały mężczyzna z twarzą kawalerzysty i łagodnymi błękitnymi oczami, które przez cały czas wlepił w rozmówcę. Przyszedłszy po pieniądze nie okazywał ani zaciekawienia, ani ożywienia, jak gdyby widywał mnie co dzień.

Służąca, kobieta mniej więcej trzydziestopięcioletnia, powolna i baczna, przynosiła mi z restauracji obiady i kolacje, sprzątała pokoje i odchodziła do siebie, wiedząc, że nie wymagam nic szczególnego i nie będę się wdawał w rozmowy, które przeważnie wszczynają się tylko po to, by plotać trzy po trzy i dłubiąc w zębach myśleć w roztargnieniu o czymś innym.

I tak oto zacząłem tam mieszkać; przemieszkałem raptem dwadzieścia sześć dni. Kilka razy odwiedził mnie doktor Filatre.

ROZDZIAŁ II

Im częściej rozmawiałem z nim o życiu, splinie, podróżach i wrażeniach, tym dokładniej uświadamiałem sobie istotę i rodzaj mego Niespełnionego. Nie taję, że było niewymierne i może dlatego tak fascynujące. Jego harmonia, jego niemal architektoniczna wyrazistość wyrosły z odcieni paralelizmu. Nazywam tak podwójną grę, którą prowadzimy z przejawami powszedniości i przejawami uczuć. Z jednej strony są one z natury rzeczy tolerowane, ponieważ są niezbędne: tolerowane warunkowo jak asygnata, za którą powinniśmy otrzymać w zamian złoto, ale pogodzić się z nimi nie sposób, widzimy bowiem i wyczuwamy możliwość ich przeobrażeń. Obrazy, muzyka, książki dawno potwierdziły tę osobliwość i chociaż przykład to stary, przytaczam go z braku lepszego. W jego zmarszczkach kryją się wszystkie tęsknoty świata. Taka jest nerwowość idealisty, którego rozpacz często zmusza do zejścia niżej, niż stał - jedynie z żądy emocji.

Wśród pokracznych refleksów prawa rządzącego życiem i jego targów z moim duchem szukałem - sam długo tego nie podejrzewając - nagłego, wyrazistego kształtu: ilustracji czy też ciągu wydarzeń splecionych w sposób naturalny i tak samo zabezpieczonych przed nieufnym wzrokiem duchowej zazdrości jak cztery linijki ulubionego wiersza, które najgłębiej nami wstrząsnęły. Takich linijek jest zawsze tylko cztery.

Zrozumiałe, że poznawałem moje pragnienia stopniowo, często nawet nie zauważałem ich, przeoczywszy moment, gdy mogłem wyrwać z korzeniami te niebezpieczne rośliny. Tymczasem one rozrosły się i skryły mnie pod swym cienistym listowiem. Zdarzało się niejednokrotnie, że moje spotkania, sytuacje brzmiały jak zwodniczy początek melodii, którą - co jest tak bardzo ludzkie - pragnie się wysłuchać, nim się zamknie oczy. Od czasu do czasu miasta, kraje zbliżały ku mym źrenicom ledwo majaczące światło przedziwnego, dalekiego przezrocza, już zaczynało mnie ono zachwycać - i wszystko kończyło się na niczym; rwało się jak zetlała przedza naciągnięta szybkim czółenkiem. Niespełnione, ku któremu wyciągnąłem ręce, mogło powstać tylko samo z siebie, inaczej nie rozpoznałbym go i działając według przyjętych wzorców, ryzykowałbym, że z pewnością stworzę bezduszne dekoracje. Zupełnie to samo, choć w innym rodzaju, można zaobserwować porównując sztucznie pielęgnowane parki i przypadkowe leśne widoki, zdaje się, ostrożnie wyjęte przez słońce ze szkatułki na klejnoty.

W ten sposób pojąłem moje Niespełnione i uległem mu.

O tym wszystkim i jeszcze o wielu innych sprawach - o ludzkich pragnieniach w ogóle -

wiodłem rozmowy z Filatre'em, jeśli poruszał ten temat.

Jak zauważyłem, nie przestawała go interesować moja utajona pobudliwość, jeśli chodzi o przedmioty wyobraźni. Byłem dla niego jak gdyby odmianą tulipana obdarzonego zapachem i jeśli takie porównanie może się wydać chełpliwością z mej strony, to przecież w rzeczy samej było słuszne.

W tym czasie Filatre zapoznał mnie ze Stersem, u którego zacząłem bywać. Czekając na pieniądze, o które pisałem do mego plenipotenty Lercha, wyładowywałem żądę ruchu w wieczornych przechadzkach do Stersa lub na przystań, gdzie w cieniu olbrzymich ruf, zwisających nad nabrzeżem, przyglądałem się podniecającym napisom, znakom Niespełnionego: „Sydney” - „London” - „Amsterdam” - „Tulon”... Byłem lub mogłem być w tych miastach, lecz nazwy portów oznaczały dla mnie inny „Tulon” i bynajmniej nie to „Sydney”, które istniało w rzeczywistości - złote litery napisów kryły nieznaną prawdę.

Ranek niesie obietnicę...

mówi Mons –

*Po dniu długim i cierpliwym
Wieczór nas zostawia z niczym...*

Podobnie jak „ranek” Monsa - przystań zawsze coś obiecuje; jej świat pełen jest niewyjaśnionych znaczeń, spływających z olbrzymich dźwigów piramidami ładunków, rozproszonych pośród masztów, przytłoczonych stalowymi bokami okrętów do nabrzeża, gdzie w głębokich szczelinach pomiędzy ciasno zwartymi burtami spoczywa w cieniu, milcząca jak zamknięta księga, zielona woda morska. Kłębią się chmury dymu z olbrzymich kominów, niepewne, czy wzbić się w niebo, czy opaść na dół. Uwiązana na łańcuchach, czai się pełna napięcia siła maszyn; jedno ich drgnienie wystarczy, by ze spokojnej powierzchni pod rufą wystrzelił pagór wody.

Gdy wchodzę do portu, wydaje mi się, że rozróżniam na horyzoncie za przyładkiem zarysy tych krajów, dokąd zwrócone są bukszpryty okrętów czekających godziny odejścia; zgiełk, krzyki, śpiew, demoniczny ryk syreny - wszystko jest nabrzmiąte namiętnością i obietnicą. A nad przystanią, w krainie nad krainami, w pustyniach i lasach serca, w niebiosach myśli błyska Niespełnione - tajemniczy, cudowny jeleń wieczystych łowów.

ROZDZIAŁ III

Nie wiem, co stało się z Lerchem, lecz nie odpowiedział mi tak szybko, jak się spodziewałem. Dopiero pod koniec mego pobytu w Lissie Lerch, zgodnie ze swym zwyczajem, przysłał mi w odpowiedzi sto funtów nie wyjaśnwszy zwłoki.

Bywałem u Stersa, znajdując w tych odwiedzinach niewinną przyjemność, taką samą mniej więcej, jaką się odczuwa przyłożwszy chłodny kompres na chore oko. Sters lubił grać w karty, ja również, a ponieważ prawie co wieczór ktoś do niego przychodził, byłem szczerze zadowolony mogąc przenieść część mej wyczulonej intuicji na odgadywanie kart przeciwnika.

W wigilię dnia będącego początkiem dziwnych zdarzeń, które opisuję na tych kartkach, mój poranny spacer po nabrzeżach nieco się przeciągnął, poczułem bowiem raptowny głód i wstąpiwszy do pierwszej lepszej jadłodajni, usiadłem na tarasie oplecionym rośliną w rodzaju bluszczu, kwitnącą białą i niebiesko. Jadłem smażonego merlana, popijając lekkim czerwo-

nym winem.

Gdy tylko zaspokoilem głód, spostrzegłem, że naprzeciwko jadłodajni przybija do brzegu statek; poczekałem, aż pasażerowie zaczną schodzić po trapie, po czym zatopiłem się w kontemplacji zgiełku spowodowanego tym, że każdy pragnął jak najprędzej znaleźć się w domu lub hotelu. Przyglądałem się rozmaitym scenom, podpatrując oznaki zmęczenia, zdenerwowania, hamowanej lub jawnej wściekłości, - charakterystyczne reakcje tłumu wobec nagłej zmiany sytuacji. W tłoku pojazdów, krewnych, tragarzy, Murzynów, Chińczyków, pasażerów, agentów i żebraków, pośród stosu bagaży, turkotu kół ujrzałem przejaw najwyższej powściągliwości, wierności sobie do najmniejszego drobiazgu, spokój - zważywszy okoliczności - niemal bezwstydy: w tak niezrównany, nienaganny i malowniczy sposób zeszła po trapie nieznamiona młoda dziewczyna, niezbyt widać bogata, posiadająca za to tajemnicę podporządkowywania sobie miejsca, ludzi i rzeczy.

Zauważyłem jej twarz, kiedy ukazała się nad burtą pomiędzy sakwożażami i przekrzywionymi na bok kapeluszami. Dziewczyna zeszła powoli, nie używając swej uwagi temu, co się wokół niej działo. Dzięki gibkiej budowie ciała, czy też z innego powodu, zupełnie uniknęła szturchańców. Nic nie niosła, za nikim się nie oglądała i nie szukała wzrokiem nikogo w tłumie. W ten sposób schodzi się po schodach wytwornego domu ku drzwiom, które rozwarło z uszanowaniem. Jej dwie walizki płynęły za nią na głowach smagłych tragarzy. Na krótki gest z wolna wyciągniętej ręki, wskazującej tragarzom, co mają zrobić, walizki zostały umieszczone na jezdni w pobliżu statku, ona zaś usiadła na nich patrząc przed siebie rozumnie i spokojnie, jak patrzy człowiek święcie przekonany, że to, co się dzieje, dzieć się powinno zgodnie z jego życzeniem, lecz bez jakiegokolwiek nużącego udziału z jego strony.

Tendencja ta, zgubna dla wielu, natychmiast znalazła usprawiedliwienie. Do dziewczyny podbiegli agenci oraz kilku innych osobników, zarówno obszarpanych, jak przyzwoicie wyglądających, podnosząc gwałt nie do zniesienia. Zdawało się, że za chwilę stanie się z nią to samo, co z suknią, która spokojnie wisi na wieszaku, czysta i wyprasowana, aż nagle zerwie ją niecierpliwa ręka.

Bynajmniej... Wierna swej postawie, z godnością wodząc wzrokiem po stojących przed nią natrętnych krzykaczach każdemu rzuciła jakieś słowo, roześmiała się, to znów zmarszczyła brwi, powoli wyciągnęła rękę, wzięła kartkę od jednego z agentów, przeczytała ją, zwróciła obojętnie i pochyliwszy wdzięcznie główkę, zaczęła czytać następną. Spojrzenie jej padło na podsuniętą przez ulicznego sprzedawcę szklankę z napojem chłodzącym; ponieważ rzeczywiście było gorąco, dziewczyna po krótkim namyśle wzięła szklankę, wypiała, po czym zwróciła ją z tą samą miną, jakby była u siebie w domu, co zresztą cechowało całe jej zachowanie. Kilka włochatych rąk, wyciągniętych nad jej walizkami, błędziło w powietrzu czekając chwili, by złapać bagaż i unieść go pędem, ale to wszystko widocznie mało ją obchodziło, skoro sprawa hotelu nie była jeszcze rozstrzygnięta. Dokoła niej utworzyła się grupa ludzi usługowych, interesownych i ciekawych, którym, jak na rozkaz, udzielił się niedbały spokój dziewczyny.

Ludzie należący do świata, który w gorączkowym pośpiechu szarpie dzień na strzępy, stali przewracając oczami, ona zaś dalej siedziała na walizkach, odgradzona niewidzialną tarczą, jaką daje poczucie godności własnej, o ile jest wrodzone i tak zrosło się z nami, że go podobnie jak oddechu po prostu nie zauważamy.

Obserwowałem tę scenę nie spuszczać z dziewczyny oka. Hałas dokoła niej ucichł stopniowo; zapanowała atmosfera tak godna i pełna szacunku, jak gdyby na brzeg zeszła córka jakiegoś fantastycznego władcy wszystkich przystani świata. A tymczasem dziewczyna nosiła (myśl mimowolnie łączy władzę z przepychem) zwyczajny płócienny kapelusik, taką samą bluzkę z marynarskim kołnierzem i niebieską jedwabną spódniczkę. Jej podniszczone walizy zdawały się wytworne tylko dlatego, że ona siedziała na nich. Ujmująca, energiczna twarzyczka, duże ciemne oczy w oprawie długich rzęs, spokojne i wesołe, nakazywały my-

śłom biec torem wyznaczonym przez uczucia, jakie budziła jej powierzchowność. Łaskawa drobna rączka spoczywająca na głowie kudłatego psa - o takie porównanie prosiła się ta scena, w której czuło się stłumioną wibrację Niespełnionego.

Ledwie to sobie uświadomiłem, dziewczyna wstała; cała jej świta porwawszy walizy, rzuciła się z okrzykami do powozu, na którym widniał napis „Hotel Dover”. Dziewczyna po-deszła do powozu, rozdała napiwki i usiadła z uśmiechem całkowitego zadowolenia. Zdawało się, że interesuje ją wszystko, co się dzieje dokoła.

Agent wskoczył na siedzenie obok woźnicy, powóz ruszył, oberwańcy, biegnący za nim, zostali w tyle, a ja, goniąc wzrokiem oddalający się tuman kurzu, pomyślałem nie pierwszy już raz, że być może mignął znów przede mną koniec nici prowadzącej do kłębka.

Nie taję, że byłem rozstrojony, i nie tylko dlatego, że w twarzy nieznanomej dojrzałem szlachetny powab istoty odznaczającej się niezwykłą harmonią wewnętrzną. Krótkotrwały obraz dziewczyny siedzącej na walizkach poruszył zadawnioną tęsknotę, myśl o ciągu wydarzeń, o wietrze nucącym melodie, o przepięknym kamieniu znalezionym wśród otoczków. Myślałem, że jest to istota wyróżniająca się szczególnym darem świadomego wartościowania życia i że znalazłszy się w cieniu jej losów mógłbym nareszcie ujrzeć Niespełnione. Ale smutniejsze od tych myśli - smutnych dlatego, że bolały jak stara rana w niepogodę - przyszło wspomnienie wielu podobnych przypadków, o których trzeba powiedzieć, że ich właściwie nie było. Tak, wiele razy powtarzała się złuda w rodzaju gestu, słowa, twarzy, krajobrazu i z reguły zostawiała po sobie rozkład. Gdybym chciał, mógłbym z łatwością odszukać dziewczynę. Potrafiłbym znaleźć jakieś wspólne zainteresowania, naturalny powód, by nie tracić jej z pola widzenia, i w ten czy inny sposób wyjść naprzeciw upragnionego nurtu nieznannej rzeki. Najsubtelniejsze odruchy wypływające z potrzeby duszy potrafiłbym ubrać w formę zarówno rozsądną, jak i przyzwoitą. Lecz nie dowierzałem już ani sobie, ani innym, ani też najszumniejszym pozorom niespodziewanej obietnicy.

Zważywszy to wszystko, poniechałem działania i wróciłem do domu spędziwszy resztę dnia nad książkami. Czytałem nieuważnie, niepokój przeszywał mnie na wskroś jak gwałtowny wicher. Zapadła już noc, gdy, zmęczony, zacząłem drzemać w fotelu.

Pomiędzy jawą a snem przyszło wspomnienie tamtych chwil w wagonie, kiedy już słabo zdawałem sobie sprawę ze swego stanu. Pamiętam, jak zachód machał czerwoną chusteczką za oknem pędzącym pośród piaszczystych stepów. Siedziałem przymknawszy oczy i widziałem, że profile moich towarzyszy podróży zmieniają się dziwnie, zachodząc jeden na drugi, jak na medalu. Nagle wydało mi się, że rozmowa stała się głośna, nawet przeszła w krzyk; potem wargi rozmawiających zaczęły się poruszać bezgłośnie, oczy błyskały, lecz ja przestałem już cokolwiek pojmować. Wagon popłynął w górę i zniknął.

Więcej nic nie pamiętam, gorączka zamroczyła mi umysł.

Nie wiem, dlaczego tego wieczoru tak natrętne było to wspomnienie, ale gotów byłem przyznać, że jego nastrój w niewytłumaczony sposób kojarzy się ze sceną na nabrzeżu. W półdrzemce jawiły się skłębione obrazy. Zacząłem myśleć o dziewczynie, tym razem ze spóźnionym żalem.

Czy w tej grze, którą prowadziłem sam ze sobą, miała sens banalna ostrożność, bezcelowa ambicja, a nawet - wahanie? Czy nie cofnąłem się od progu otwartych już drzwi dlatego tylko, że zbyt dobrze pamiętam większe lub mniejsze mistyfikacje przeszłości? Zabrzmiał dźwięk pełny, właściwy ton, słyszałem go, ale podejrzliwie zatkałem uszy, pamiętny dawnych kakofonii.

Minie kilka wieków i pragnienia ludzkie osiągną wyrazistość syntezy artystycznej. Pragnienie uniknie męki patrzenia na swój świat przez mało przejrzystą, niejasną przesłonę nerwowego wzburzenia. Będzie dostrzegalne tak wyraźnie jak owad w bursztynie. Ja wobec takich ludzi byłbym tym, czym „Duranda” Lethierry w porównaniu ze stalowym lewiatanem linii transatlantycznej. Niespełnione ukrywało się za górami i powinienem był wziąć pod

uwagę wszystkie drogi wiodące w tę stronę horyzontu. Trzeba mi było chwycić wszystkie przesłanki, korzystać z każdego promienia pośród chmur i lasów. W wielu rzeczach - i dla wielu rzeczy - powinienem był działać na los szczęścia.

Zaledwie na skutek takiego obrotu myśli powziąłem pewną decyzję, zadzwonił telefon, otrząsnąłem się więc z półsnu i podniosłem słuchawkę. Dzwonił Filatre. Zadał mi kilka pytań dotyczących stanu mego zdrowia. Zapraszał mnie także, byśmy spotkali się jutro u Stersa, co mu przyrzekłem.

Skończyłem tę rozmowę i pod dziwną presją uczuć, uciążliwych jak wstrzymywany oddech, zadzwoniłem do hotelu „Dover”. Tego rodzaju czynom zwykle towarzyszy myśl, że wszyscy, nawet osoby obce, znają tajemnicę naszego nastroju. Nawet najobojętniejsze odpowiedzi brzmią podejrzanie. Nic nie może tak nagle zbliżyć nas do cudzego życia, jak telefon, który zapewnia nam niewidzialność, i odwrotnie - w jednej chwili, na nasze życzenie, może nas odsunąć, jakbyśmy w ogóle nie rozmawiali. Te bezcelowe dla samego faktu rozważania dadzą może lekkie pojęcie o niepokoju, z jakim zacząłem rozmowę.

Była krótka. Poprosiłem do telefonu Annę Macpherson, która przybyła dziś statkiem „Granville”. Po chwilowym milczeniu rzeczowy głos urzędnika oznajmił, że dama o wspomnianym nazwisku nie mieszka w hotelu, ja zaś spodziewając się takiej odpowiedzi, starałem się naprowadzić go na właściwy ślad podając dokładny opis ubrania i całej powierzchowności nieznanym dziewczyny.

Mój rozmówca namyślał się w milczeniu. Na koniec powiedział:

- Mówi pan zapewne o damie, która niedawno wyjechała od nas na dworzec. Wpisała się jako Biczze Seniwell.

Z większą, niż się spodziewałem, przykrością rzuciłem uwagę:

— Doskonale. Popłatałem nazwiska spełniając czyjeś polecenie. Proszono mnie także, by się dowiedzieć...

Przerwałem zdanie i odłożyłem słuchawkę na widelki. Był to nagły odruch wstrętu do bezcelowych słów, które siłą inercji zacząłem wygłaszać. Cóż by się zmieniło, gdybym się dowiedział, dokąd wyjechała Biczze Seniwell? A zatem kontynuowała swą podróż - bez wątplenia zgodnie ze spokojnym nakazem życia - jak to widziałem na nabrzeżu, a ja zagłębiłem się w fotelu i zamknąwszy się w sobie, usiłowałem zająć się książką, której pierwsze kartki już mi zapowiadały pięćsetstronicową nudę.

Byłem sam w ciszy odmierzanej tykaniem zegara. Cisza pędziła szybko, więc uszedłem w krainę splełanych majaczeń. Dwa razy zbliżał się sen, potem już nie czułem i nie pamiętałem jego nadejścia.

Zasnąłem niepostrzeżenie i zbudziłem się o wschodzie słońca. Pierwszym wyrazem moich uczuć był uśmiech. Podniosłem się z lekka i usiadłem w porywie głębokiego zachwyty - nieporównanej, czystej radości, jaką mi dała efektowna niespodzianka.

Spałem w pokoju, w którym, jak wspomniałem, ściana zwrócona ku morzu była właściwie olbrzymim oknem. Ciągnęło się ono od gzymsu pod sufitem do listwy podłogowej, a od bocznych ścian dzieliła je trzydziestocentymetrowa przestrzeń. Oba skrzydła można było tak otworzyć, że nie było widać szyb. Za oknem, niżej, ciągnął się wąski występ, obsadzony kwiatami.

Obudziłem się w chwili, gdy słońce wschodzące nad kresą morza znajdowało się w takim położeniu, że jego promienie wpadały do pokoju wraz z odbiciem fal drgających na ekranie tylnej ściany.

Na suficie i ścianach odbywał się zawrotny taniec słonecznych widziadeł. Wirująca złota sieć jaśniała tajemniczymi rysunkami. Promieniste wachlarze, skaczące owale i ciskające się z kąta w kąt ogniste krechy wyglądały jak złote stado w bystrym locie, widzialne jedynie w chwili zetknięcia się z płaszczyzną ściany. Te trzepoczące kobierce słonecznych wrózek, nie ustających ani na chwilę tkać oślepiających arabesek, osiągnęły opętającą szybkość - były

wszędzie, dokoła mnie, pod nogami, nad głową. Niewidzialna ręka kreśliła dziwne znaki, których znaczenia nie można było pojąć, podobnie jak w muzyce, gdy zacznie do nas przemawiać. Pokój ożył. Zdawało się, że się nie oprze atakowi słońca odbijającego się od wody, że lada chwila sam zacznie z wolna wirować. Nawet po moich rękach i kolanach ślizgały się bez przerwy jaskrawe plamy. Wszystko to zmieniało się nieuchwytnie, jak gdyby ktoś potrząsał iskrzącą się siatką, w której tłuką się przezroczyste motylki. Byłem oczarowany i siedziałem bez ruchu w błękitnym świetle morza i złotym świetle pokoju. Było mi dobrze. Podniosłem się z ulgą w duszy, z instynktowną pewnością i powiedziałem do w s z y s t k i e g o, co mnie otaczało: „Znaki i postaci, które wbiegłyście tu i które, choć znaczenia waszego nie pojmuję, napełniłyście mnie poważną, samotną radością, zwracam się do was - pókiście jeszcze nie zniknęły - rozjaśnijcie i oczyśćcie z rdzy moje Niespełnione”.

Ledwie skończyłem mówić, świadom, że później z uśmiechem będę wspominał ten wybryk, który zdarzył mi się w półśnie - gdy złota sieć zgasła, tylko w rogu pod drzwiami drgał jeszcze przez chwilę wygięty cień okna, otwartego na potok iskier, lecz i to znikło. Rozwiązał się również nastrój tego poranka, choć ślad jego pozostał w mej duszy po dzień dzisiejszy.

ROZDZIAŁ IV

Wieczorem poszedłem do Stersa. Zebraliśmy się u niego we trzech - ja, Anderson i Filatre.

Przed wizytą u Stersa poszedłem nabrzeżem do tego miejsca, gdzie wczoraj przybił statek. Teraz na tym odcinku nie było statków, a tam, gdzie siedziała nieznajoma dziewczyna, Bicze Seniwell, stał transporter.

Więc wszystko przeminęło, zjawilo się i przeminęło, jak gdyby nie istniało nigdy. Wskrzeszając tamten obraz, tworzyłem postaci z powietrza i grupowałem je tak, jak były w scenie wczorajszej, za nimi tak samo migotała woda i gwiazdy światła na redzie. Skupiony wysiłek dopomógł mi ujrzeć dziewczynę niemal wyraźnie; w następstwie poczułem się jeszcze bardziej niezaspokojony, ponieważ wrażenie nabrało ostrości. Prawdopodobnie zaczęła się swego rodzaju „migrena sercowa” - uczucie, które dobrze znałem i choć nie przypisywałem mu wielkiego znaczenia, doszedłem przecież do wniosku, że takie nastawienie myśli działa jak ulubiony motyw. Istotnie był to motyw, a ja, rozwijając go częściowo, znalazłem się pod jego wpływem na czas nieokreślony.

Tak rozmyślając poczułem najwyższą niechęć do siebie za to, że przerwałem rozmowę z hotelem. Pośpiech - chęć zastąpienia tego, co mi się wymykało, przez jakieś działanie stano wcze, często wyrządzał mi szkodę. Lecz choćbym tego najbardziej żałował, teraz nie byłem w stanie ponownie dowiadywać się o to, czego już poznać nie chciałem. Poza tym prześliczny ranek, spacer, powracające siły i zwykła skłonność zdawania się na przypadek w nie sprecyzowanych wyraźnie pragnieniach przeważyły ów niedosyt wczorajszego dnia. Obliczyłem w myśli resztę gotówki, którą mogłem dysponować i której oczekiwałem od Lercha - wypadło blisko cztery tysiące. Tego dnia otrzymałem list. Lerch donosił, że dopiero niedawno wrócił z podróży w interesach, a nie spodziewając się ode mnie rychłego żądania pieniędzy, zapomniał wydać polecenia; zaraz po powrocie wysłał mi tysiąc, o który prosiłem. A zatem o pieniądze byłem spokojny.

Z nabrzeża poszedłem do Stersa, gdzie już zastałem Filatre'a i Andersona.

Sters, sekretarz komitetu irygacyjnego, był wysokim jasnym blondynem. Piękna głowa, spokojna kędzierzawa Droda, donośny głos i prawdziwie męski uśmiech, który od czasu do czasu zjawiał się pod wąsem, znamionowały siłę.

Okrągłe okulary podobne do oczu ptaka, czerwone policzki o wystających kościach i krótkie kosmyki włosów na głowie Andersona, inspektora szkoły technicznej, tworzyły harmonijną całość; Anderson był proporcjonalnej budowy, wzrostu niewysokiego.

Doktor Filatre, normalnie zbudowany mężczyzna, o spokojnych ruchach, ubrany zawsze z pełną smaku prostotą, ujrzawszy mnie uśmiechnął się życzliwie i mocno ściskając mi rękę rzekł:

- Dobrze pan wygląda, Harvey, bardzo dobrze.

Usiedliśmy na tarasie. Dom stał osobno, w ogrodzie, na skraju miasta.

Sters wygrał trzy razy z rzędu, potem ja dostałem kartę dość mocną, by obejść się bez dokupywania.

W jadalni służąca, nakrywając do stołu, omawiała z siostrą Stersa szczegóły kolacji.

Byłem pochłonięty moją kartą, zaczynałem jednak odczuwać głód, toteż z zadowoleniem usłyszałem, że Delia Sters kazała podawać o jedenastej, a więc za godzinę. Myślałem także o tym, czy będą dziś pierożki z szynką, które bardzo lubiłem i nigdzie nie jadłem tak smacznych jak tu, choć Delia zapewniała, że udają się przypadkowo.

- No - zwrócił się do mnie Sters rozdając karty - dokupuje pan? Nie? Dobrze. - Rozdał karty innym, obejrzał swoje i oznajmił: - Ja także nie kupuję.

Anderson, następnie Filatre dokupili i spasowali.

- Bijcie się - powiedział doktor - a my popatrzymy, co tym razem zdoła Harvey.

Zgodnie z umową graliśmy o niewielkie stawki, mnie jednak karta nie szła, byłem więc nieco podrażniony ustawiczną przegraną. Ale tym razem miałem kartę: cztery dziesiątki i szóstkę; Sters mógł dostać kolor, dlatego należało mieć się na baczności.

Zaczęliśmy w końcu zwykłą licytację; ja - powoli i niedbale, Sters - krótko i sucho, lecz obaj uroczyście niby para ślepców, którzy wzajem prowadzą się w stronę urwiska, przy czym każdy stara się oszukać swą ofiarę.

Anderson bawił się naszym widokiem - tak byliśmy pochłonięci oczekiwaniem finału; Filatre zbierał karty.

Weszła Delia, dziewczyna o twarzy spłowiałej, opalanej i sceptycznej, bardzo jasna blondynka, podobnie jak brat, i zaczęła się przyglądać, jak obaj ze Stersem, każdy ze wzrokiem wlepionym w czubek głowy drugiego, staraliśmy się pomnożyć - wygraną, przegraną? - nikt nie wiedział.

Czułem po ledwie dostrzegalnych specyficznych oznakach w zachowaniu się Stersa, że ma on mocną kartę; ale czy mocniejszą od mojej? Może chce mnie po prostu zastraszyć. Z pewnością Sters myślał to samo o mnie.

Z jadalni zawołano Delię, która wychodząc rzuciła mi:

- Niech pan uważa, Harvey, żeby nie przegrać.

Podniosłem stawkę. Sters milczał, namyślając się, czy zgodzić się na nią, czy jeszcze podwyższyć. Byłem w wyśmienitym humorze, lecz starannie to ukrywałem.

- Przyjmuję - powiedział na koniec Sters. - A co u pana?

Poprosił mnie o odkrycie kart. Równocześnie z dźwiękiem jego słów świadomość moja, wyszedłszy z kręgu gry, napełniła się władczą ciszą, po czym usłyszałem osobliwy głos kobiety, który wyrzekł z naciskiem: „...Biegnąca po falach”. Zabrzmiało to jak dzwonek wśród nocy. Więcej nic już nie słyszałem prócz szumu w uszach, spowodowanego gwałtownym biciem serca, i szelestu kart, kiedy po ich kantach przejechał palcami doktor Filatre.

Zaskoczony zjawiskiem, które tak wyraźnie nie miało nic wspólnego z konkretną sytuacją, spytałem Andersona:

- Czy pan coś powiedział w tej chwili?

- O nie! - odparł Anderson. - Nigdy nie przeszkadzam graczowi myśleć.

Vis-à-vis miałem Stersa z miną nieco zaskoczoną - widziałem, że siedział w milczeniu. I ja, i on, zaprzątnięci walką, mogliśmy tylko wymieniać liczby. Podczas gdy to wszystko

przelatywało mi przez głowę, wrażenie pełnego żywośći głosu kobiecego nie słabło ani przez chwilę.

Odkryłem karty bez żadnego zainteresowania wynikiem, przegrałem do Stersa, który miał pięć trefli, i nie chciałem grać dalej. Halucynacja - czy cokolwiek to było - wytrąciła mnie z nastroju gry. Anderson zwrócił uwagę na mój wygląd i zapytał:

- Czy coś się panu stało?

- Stała się rzecz ciekawa - odparłem pragnąc usłyszeć, co powiedzą inni. - Kiedy grałem, byłem wyłącznie zaabsorbowany myślą o grze. Jak panowie wiecie, niepodobna myśleć o niczym innym, gdy się ma w rękę kartę. Wtedy to usłyszałem - wypowiedziane poza mną czy wewnątrz mnie - słowa: „Biegnąca po falach”. Wyrzekł je nieznajomy głos kobiecy. To mnie wytrąciło z równowagi.

- Słyszysz pan, Filatre? - powiedział Sters.

- Tak. Co pan usłyszał?

- „Biegnąca po falach” - powtórzyłem ze zdziwieniem. - Słowa tak wyraźne jak pańskie.

Wszyscy byli zaciekawieni. Przy kolacji, do której wkrótce zasiedliśmy, dalej roztrząsalimy ten wypadek. O takich rzeczach dobrze się rozmawia wieczorem, kiedy nerwy są czujne. Delia zrobiła kilka uwag zwykłym tonem, na wpół ironicznym, na wpół poważnym, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie kpi z nas tylko przez uprzejmość, po czym umilkła i słuchała krytycznie uniósłszy brwi.

- Spróbujemy ustalić - powiedział Sters - czy nie było jakichś bodźców dodatkowych w pańskiej halucynacji. Ja na przykład kiedyś zdrzemnąłem się i usłyszałem rozmowę. Była to jakby rozmowa za ścianą, kiedy nie rozróżnia się słów. Sensu rozmowy można się było domyślić z intonacji, ktoś czynił wyrzuty, a ktoś się usprawiedliwiał. Słysząc było w głosach nuty gderliwe, żałosne i gniewne. Poszedłem do sypialni, a tam kran nad umywalką był nie dokręcony i woda kapiała raz po raz. W rurach syczało, bulgotało i chlipało powietrze. Gdy się zorientowałem, o co chodzi, otrząsałem się z sugestii. Dlatego zadajemy sobie pytanie: czy ktoś nie przechodził obok tarasu?

Podczas gry Anderson siedział plecami do domu, a twarzą do ogrodu; odrzekł, że nikt go nie widział i nic nie słyszał. To samo powiedział Filatre, a ponieważ nikt poza mną nie słyszał żadnych słów, całe zajście odbyło się niejako we mnie. Gdy pytano, jak na nie zareagowałem, odparłem, że byłem wprawdzie zdenerwowany, ale teraz już tylko staram się je zrozumieć.

- W gruncie rzeczy - zauważył Filatre - zdanie, które usłyszał Harvey, daje się wyjaśnić tylko przez głęboko ukryty bieg naszego psychicznego zegara, którego strzałki i kółeczka są niewidoczne. Co zostało powiedziane przedtem, zanim pan usłyszał głos?

- Co? Sters pytał, co mam w kartach, i prosił, bym je odkrył.

- Tak - Filatre myślał przez chwilę. - Proszę zauważyć, jak się to składa: „Co u pana?” Odpowiedź słyszał jeden Harvey, a brzmiała ona: „Biegnąca po falach”.

- Ależ to pytanie było zwrócone do mnie - powiedziałem.

- Oczywiście. Tylko usłyszane zdanie ubiegło pańską odpowiedź. Zabrzmiało zamiast pańskiej, a pan ją nam powtórzył.

Wszyscy się uśmiechnęli. Anderson zakwestionował:

- To żadne wyjaśnienie.

- Oczywiście. Staram się po prostu przeprowadzić konfrontację faktów, która wydaje mi się interesująca. Zgoda, że to zdarzenie można wyjaśnić przez podwójną świadomość Ribota, jak i przez częściowe wyłączenie się jakiegoś płatu mózgowego, na podobieństwo cząsteczki snu w człowieku czuwającym, który właściwie nie śpi. Tak twierdzi Beetcher. Ale wniosek jest jasny. Sam się narzuca i jakkolwiek zagadkowa byłaby odpowiedź - jeśli przyjmiemy, że to jest odpowiedź - ukryta myśl nurtująca Harveya została wyjaśniona tajemniczymi słowami,

choć zatracił się ich sens realny. Bez względu na stopień zaabsorbowania kartami, gra znajduje się w centrum uwagi gracza, peryferie zaś pozostają wolne. Tam uwaga jest w cieniu, wśród zjawisk okrytych cieniem. Słowa Stersa: „Co jest u pana?” - mogły spowodować wyłączenie w polu cienia wcześniej, niż - odpowiednio - zabłysło centrum uwagi. Skojarzenie z czymkolwiek mogło być błyskawiczne, wywołując nieoczekiwane słowa, tak jak pęknięcie na szybie, gdy uderzy w nią kamień. Kierunek, kształt, liczba i długość rys nie mogą być obliczone ani określone wcześniej, ani sprowadzone później do oporu szyby w stosunku do kamienia. Tajemnicze słowa, które usłyszał Harvey, to dziwaczna szczelina w strefie podświadomości.

Rzeczywiście mogło tak być, jednakże, choć Filatre bardzo składnie nakreślił ów obraz psychiczny, poczułem się dziwnie zdrażniony. Powiedziałem:

- Czemuż to właśnie słowa Stersa spowodowały szczelinę?

- A czyż inne?

Chciałem dodać, że przyjmując wpływ cudzej myśli Filatre w bardzo dziecinny sposób ogranicza go przestrzennie, jak gdyby poza obrębem powierzchni stołu, oddzielającego graczy, taki wpływ był już bezskuteczny; jednakże, by nie przeciągać dyskusji, zauważyłem tylko, że tego rodzaju objaśnienia wymagają jeszcze objaśnień dodatkowych.

- Słusznie - potwierdził Sters - Jeśli to nie jest wiarogodne, że moje zwykłe pytanie wy dobyło z podświadomości Harveya obraz niezwykle, to trzeba wszystko rozpatrzyć od początku. A to nie jest wiarogodne, czyli niewiarogodna jest i reszta.

Rozmowa w tym sensie toczyła się jeszcze czas jakiś, w najwyższym stopniu denerwując Delię, która zażądała wreszcie, byśmy zmienili temat albo zażyli kropli uspokajających. Wkrótce po tym pożegnałem się i wyszedłem; razem ze mną wyszedł Filatre.

Idąc noga w nogę jak żołnierze, mineliśmy w milczeniu kilka zakrętów i wyszliśmy na plac. Filatre zaproponował, byśmy wstąpili do kawiarni. W moim obecnym nastroju wydało mi się to tak niezwykle, że się zgodziłem. Zajęliśmy stolik w pobliżu estrady i zamówiliśmy wino. Na estradzie zmieniały się śpiewaczki i tancerki. Filatre zaczął znów rozwijać temat o pęknięciu na szybie, potem przeszedł do zdarzenia z przyrodnikiem Whithomem, który siedząc w ogrodzie usłyszał rozmowę pszczół. Słuchałem go dosyć uważnie.

Stuk przewróconego krzesła i czyjeś wołanie za moimi plecami zespoliły się w pewnej chwili z natarczywym rytmem tańca. Zapamiętałem to dlatego, że w owej chwili poczułem gwałtowną chęć oddalenia się z tego miejsca. Była to chęć bezwiedna. Nie może być nic gorszego, nic bardziej męczącego i niepokojącego od takiego stanu w powodzi jaskrawych świateł i wesołej muzyki. Zanim wstałem od stolika, wejrzałem w siebie usiłując znaleźć przyczynę tego i zastanawiając się, czy nie jestem znużony Filatre'em. Czułem jednak, że chcę siedzieć - i właśnie z nim - w tej kawiarni, która mi przypadła do gustu. Ale już nie mogłem tu zostać. Muszę dodać, że poddałem się mojemu dziwnemu uczuciu z przykrością, jakiej zwykle doznajemy wobec przeszkód nie w porę. Spojrzałem na zegarek, powiedziałem, że mnie rozboleła głowa, i wyszedłem zostawiając doktora dopijającego wino.

Znalazłszy się na ulicy zatrzymałem się niezdecydowany, jak człowiek, który stara się znaleźć właściwe drzwi, i po chwilowym namyśle ruszyłem na przystań, czyli tam, gdzie zwykle trafiałem, przechadzając się bez określonego celu. Doszedłem do wniosku, że przyczyną mojego wyjścia z kawiarni były po prostu nerwy, ale teraz już przestałem tego żałować.

„Biegnąca po falach...” Nigdy jeszcze nie myślałem z takim zapamiętaniem o dziwactwie świadomości, mającym znaczenie relatywne - jak szelest za plecami, po którym nie możemy odgadnąć, jaka to szeleści tkanina. Lekki wiatr nocny niewiele odświeżający duszne powietrze unosił biały puch topolowy, kołował nim w jasnym świetle elektrycznych latarni. W przystani pył węglowy wokół kamiennych słupów i murów tak był tym puchem zawiany, że zdawało się, jakby północ zmieszała się z południem w jakiejś fantastycznej, upalnej zimie. Szedłem środkiem mola, gdy nagle z dali zobaczyłem zgrabny żaglowiec o kadłubie

przypominającym jacht. Statek mógł mieć jakieś sto pięćdziesiąt ton wyporności. Był pogrążony we śnie.

Na pokładzie nie było żywego ducha, ale podszedłszy bliżej zobaczyłem przy lewej burcie wachtowego. Siedział na składanym krześle i spał oparty o burtę.

Stanąłem opodal. Było pusto i cicho. Odgłosy miasta zlewały się w jeden monotony, niewyraźny hałas, jak gdyby jadącego gdzieś daleko powozu; w pobliżu mnie - plusk wody i ciche poskrzypywanie liny jeszcze bardziej podkreślały ciszę. Patrzyłem ciągle na statek. Jego brunatny kadłub, biały pokład, wysokie maszty, proporcjonalność wszystkich części i wdzięk całej sylwetki budziły uznanie. Był to statek dżentelmen. Światło lampy łukowej z mola stawiało jego wyraźny kontur na granicy mroku, w dali czerniały kadłuby i kominy statków. Rufa była wysunięta nad niskie w tym miejscu nabrzeże, tworząc między dwiema linami i wodą w dole ostry kąt.

Tak mnie zachwycił ten piękny statek, że przedstawiłem sobie, iż jest moją własnością. Wszedłem w wyobraźni po jego trapie do siebie, do mojej kajuty, i byłem - tak mi się przywidziało - w towarzystwie tamtej dziewczyny. Nie pojmowałem, skąd się to wzięło, lecz długą chwilę nie otrząsałem się z urojenia.

Mówiłem już, że wspomnienie dziewczyny nie opuszczało mnie; było podobne do wszystkich innych wspomnień, jakie chowamy w duszy, ale miało barwę żywą, prawdziwą. Od czasu do czasu spoglądałem na nie jak na uroczy obraz. Tym razem zjawilo się i uszło wyraźniejsze niż kiedykolwiek. Na koniec przyszły inne myśli. Chcąc poznać nazwę statku, obszedłem go, stanąłem naprzeciwko rufy i wpatrzywszy się w półkole wypukłych złotych liter, przeczytałem:

„Biegnąca po falach”.

ROZDZIAŁ V

Drgnąłem-tak mi krew uderzyła do skroni. Westchnienie - nie tylko zdumienia - większego, bardziej skomplikowanego uczucia wstrzymało bicie serca, które potem przemówiło jeszcze głośniejsze. Dwa razy chwyciłem oddech, nim zdołałem powtórnie przeczytać te przedziwne słowa, które niby salwa przeszły mi mózg. Cios, jaki rzeczywistość zadała niezwykłemu przywidzeniu podczas gry, był tak raptowny, jak gdybym został nagle napadnięty z tyłu. Kołowałem wśród myśli, które straciły wszelką wyrazistość. Tak kołuje pies obwąchując zartarte tropy.

Na koniec odsunąłem zdecydowanie te uczucia, jak się odsuwa ręką gęstwę liści zasłaniających widok, i stanąłem jedną nogą na linie, żeby się znaleźć bliżej statku. Napis przyciągał mnie. Zawisłem nad wodą omuśniętą dalekim światłem. Napis znajdował się w odległości sześciu, siedmiu stóp ode mnie. Był ślicznie oświetlony drgającym promieniem. Słowo „Biegnąca” leżało w cieniu, „po” - na granicy cienia i światła, a ostatni wyraz, „falach”, jaśniał tak silnie, że widać było pęknięcia pozłoty.

Upewniwszy się, że mam do czynienia z rzeczywistością, cofnąłem się i siadłem na żelaznym słupku, żeby zebrać myśli. Przesuwały się w takim związku wzajemnym, że trzeba było znacznie większego nacisku woli niż ten, na jaki mogłem zdobyć się w tej chwili, by ująć je wszystkie w jedną główną myśl; nie znajdowałem jej. Patrzyłem w mrok, na ciemno-granatowe plamy, gdzie błyskały odbicia światła z redy. Nic nie postanawiałem, wiedziałem jednak, co uczynię, i wydawało mi się to całkiem naturalne. Byłem pewny w niepewności i świadomy w nieświadomości.

Wstałem, podszedłem do trapu i zawołałem głośno:

- Hej tam, na statku!

Wachtowy spał, a może i słyszał mój okrzyk, ale zostawił go bez odpowiedzi.

Nie powtórzyłem wołania. W owej chwili nie czułem normalnego, choć niewidzialnego zakazu, który zabrania samowolnie wkraczać w cudze granice. Widząc, że wachtowy się nie porusza, wszedłem na trap i znalazłem się na pokładzie.

Wachtowy istotnie spał z głową opartą na rękach spoczywających na pokrywie skrzyni pokładowej. Nigdy nie widziałem, żeby zwykły marynarz był tak ubrany jak ten nieznajomy. Wytworne ubranie z cienkiego szarego jedwabiu, kołnierz nieskazitelnie białej koszuli, niebieski krawat, w którym tkwiła szpilka z wielkim brylantem, białe jedwabne kepi, eleganckie trzewiki i pierścionie na smagłej ręce, świadczące o możliwości wydawania dużych sum na te ozdoby - wszystko to było w jawnej niezgodzie z ciężką pracą marynarza. Poza tym - śniade, czyste ręce, bez spierzchnięć i odcisków, uparta, drgająca we śnie szczipła twarz z czarną, troskliwie wypielęgowaną bródką sugerowały same, bez innych dowodów, że człowiek ten nie należy do niższej rangą obsługi statku. Wahając się, czy go obudzić, podszedłem do trapu przy nadbudówce rufowej, ponieważ z nie domkniętych luków padało światło. Spodziewałem się zastać tam ludzi. Uniosłem już nogę, gdy powstrzymał mnie lekki niewidoczny ruch. Odwróciłem się i znalazłem się twarzą w twarz z wachtowym.

Kończył właśnie ziewać. Lewą rękę trzymał w kieszeni spodni, prawą zaś przetarł oczy, by odegnać senność, i opuścił ją pocierając czubki palców. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, wyższy ode mnie, lekko pochylony do przodu. Choć jego opuszczone powieki symulowały obojętność, świeciła pod nimi źle skrywana uciecha - spodziewał się ujrzeć moje zażenowanie. Lecz ja nie byłem zażenowany ani stropiony i spojrzałem mu prosto w oczy. Skłoniłem się.

- Co pan tu robi? - zapytał ostrym głosem powoli wymawiając słowa, jakby każde z nich przedtem oglądał. - Jak pan się dostał na pokład?

- Wszedłem po trapie - odpowiedziałem przyjaźnie, nie troszcząc się, że może mieć jakieś co do tego wątpliwości, ponieważ ufałem, że moja powierzchowność wystarczająco mówi sama za siebie o każdej godzinie i na każdym miejscu. - Wołałem, ale pan spał. Wszedłem więc i jakoś nie ośmieliwszy się obudzić pana, chciałem zejść na dół.

- Po co?

- Spodziewałem się zastać tam kogokolwiek. Jak widzę - dodałem z naciskiem - powinienem się przedstawić: Tomasz Harvey.

Wachtowy wyciągnął rękę z kieszeni. Jego ciężki wzrok zupełnie się obudził, odbiła się w nim niepewność uczuć - mieszanina flegmy i wściekłości. Widocznie pierwsza wzięła górę, ponieważ zacisnąwszy usta skłonił niechętnie głowę i odparł sucho:

- Bardzo mi przyjemnie. Jestem kapitan Wiliam Hase. Czemu mam zawdzięczać tak w c z e s n ą w i z y t ę?

Lecz mnie teraz nie zdołałby stropić nawet ton o wiele bardziej nieprzychylny. Znajdowałem się na linii szybko wzrastającej równowagi, pod ochroną przypadku, w całej wielkości jego nie rozpoznanego znaczenia.

- Kapitanie Hase - powiedziałem z uśmiechem - jeśli będziemy uważać godzinę trzecią w nocy za początek dnia, to oczywiście zjawiłem się absurdalnie wcześniej. Obawiam się, że uzna pan powód za nie dość usprawiedliwiony. Muszę jednak wyjaśnić, dlaczego wszedłem na pokład. Byłem przez jakiś czas chory i zdaniem lekarzy stan mego zdrowia ulegnie znacznej poprawie, jeśli będę trochę podróżował. Uznano, że podróż morską, prosty tryb życia, pozbawiony nawet pewnych wygod, podziała, że tak powiem, jak szorstka fizjologiczna prawda, konieczna czasem dla ciała, podobnie jak szorstka prawda, która często ulecza z niemocy duchowej. Dziś podczas spaceru zobaczyłem ten statek. Przyznaję, że mnie oczarował. Nie chciałem odkładać tej sprawy, bo nie wiem, kiedy podniesiecie kotwicę, pomyślałem więc, że

jutro mogę już was nie zastać. W każdym razie - proszę mi wybaczyć. Jestem w stanie zapłacić każdą żadaną sumę i jeśli o to chodzi, nie będzie pan miał powodów do niezadowolenia. Jest mi także całkiem obojętne, w jakim pan płynie kierunku. Mam nadzieję, że pan mnie zrozumiał, i sądzę, że przykre zadrażnienie zostało usunięte. Reszta zależy teraz od pana.

Gdy to mówiłem, Hase już mi odpowiedział. Tą odpowiedzią była zmiana wyrazu jego twarzy, oznaczająca sprzeciw. Ale rozmowa dopiero się zaczęła, nie traciłem więc nadziei.

- Jestem niemal pewien, że panu odmówię - odparł Hase - tym bardziej że statek nie należy do mnie. Jego właścicielem jest pan Brown - Towarzystwo „Armator i Transport”. Proszę, niech pan zejdzie na dół, tam będziemy mogli wygodniej porozmawiać.

Powiedział to z widocznym przymusem, tonem lodowatej uprzejmości. Gest jego ręki w kierunku trapu był oficjalny i oschły.

Zszedłem do jasno oświetlonego pomieszczenia, gdzie poza nami dwoma nie było nikogo. Szybki rzut oka, którym objąłem wnętrze, nie odkrył nic sprzecznego z moim nastrojem, ale też nic nie wyświetlił, chociaż, gdy schodziłem, zdawało mi się, że będzie inaczej. Zobaczyłem komfort i nieporządek. Stapałem po wspaniałym dywanie. Wykończenie wnętrza świadczyło o bogactwie tego, dla kogo budowano statek. Usiedliśmy na małej kanapie i dopiero tu w pełnym świetle przyjrzałem się dokładnie Hase'owi.

Powierzchność jego można było studiować długo i z bardzo wątpliwym skutkiem. Przy malowaniu twarzy przeważnie pochłania artystów en face, nikt natomiast nie chce uznać znaczenia profilu. Tymczasem profil zasługuje na uwagę, jest bowiem zasadniczym elementem sylwetki - jednym z najwyrazistszych rozwiązań graficznych całości. Nieraz profil pokazywał mi w kimś jeszcze drugiego człowieka, jak gdyby do jednego pokoju były dwa wejścia z różnych stron. Przydaje profilowi znaczenie komentarza i nie wspominam o nim tylko wtedy, jeśli profil i en face ze wszystkimi fazami pośrednimi zgadzają się w bilansie duchowym. Lecz to spotyka się tak rzadko, że stanowi wyjątek. A twarz Hase'a nie należała do tych wyjątków. Profil jego biegł od nasady włosów wzdłuż cofniętego, nerwowego czoła - niemal pionową linią długiego nosa, melancholijną górną wargą i uparcie wysuniętą dolną - do masywnego, ostro ściętego podbródka. Linia nabrzmiałego policzka podpierała oko, łącząc się u dołu z posępnym wąsem. Twarz tę, zgodnie z jej charakterem, cechował wyraz przygnębienia i uporu. Jeśli była zwrócona na wprost - szeroka, chmurna, z nerwową grą zmarszczek na wysokim czole - nie można jej było odmówić uroku trudnego i oryginalnego. Czarne, piękne oczy spoglądały sugestywnie spod łuku nisko zarysowanych brwi. Dziwne, jak z tą silną, namiętną twarzą nie licował ton Hase'a, tak flegmatyczny, że nawet tok jego myśli, wyczuwalny w słowach, zdawał się niewzruszony. Nie bez racji zatem oczekiwałem, że na mocy kontrastu nastąpi ów przykry ze względu na swoje znaczenie rezultat rozmowy, co się potwierdziło natychmiast.

- A zatem - zaczął Hase, gdy usiedliśmy - mógłbym wziąć pasażera tylko za zgodą Browna. Wyznam jednak, że jestem przeciwny pasażerom na statku transportowym. Zawsze z tego wychodzą jakieś nieprzyjemności albo kłopoty. Poza tym wczoraj opuściła mnie załoga i nie wiem, czy prędko skompletuję nową. Możliwe, że „Biegnąca” postoi miesiąc, zanim się uda zorganizować rejs. Radzę panu zwrócić się do innego kapitana.

Umilkł i niczym nie wyraził chęci kontynuowania rozmowy. Namyślałem się, co powiedzieć, gdy na pokładzie rozległy się kroki i okrzyk: „Ho, ho”, któremu zapewne towarzyszył pijacki gest.

Widząc, że nie wstaję, Hase uniósł brew, badawczo zmierzył mnie od stóp do głów i powiedział:

- To wreszcie powrócił Butler. Proszę się nie niepokoić. Natychmiast wracam.

Wyszedł stąpając ciężko, wielkimi krokami, głowę pochylił, jak gdyby się bał o coś zaczepić czołem. Zostałem sam i zacząłem rozglądać się uważnie. Pływałem na rozmaitych statkach i dlatego byłem przekonany, że ten okręt, choćby ze względu na swoją konstrukcję,

nie jest przeznaczony do przewozu kawy ani bawełny. Świadczył o tym zarówno jego wygląd zewnętrzny, jak i wnętrze salonu. Duże okrągłe okna-iluminatory, o średnicy przeszło dwóch stóp, jakich nigdy się nie widzi na statkach transportowych, musiały w dzień jasno oświetlać salon. Ich śruby, ramy, cała mosiężna oprawa świadczyła o misternej artystycznej robocie. Weneckie lustro w masywnej srebrnej ramie, małe kanapy obite kosztownym szarozielonym jedwabiem, palisandrowa boazeria na ścianach, karnisze, brokatowe portiery, indyjski dywan i trzy lampy elektryczne z matowymi abażurami w brązowej siatce z geometrycznym ornamentem - były to przedmioty prawdziwie zbytkowne, ściśle dostosowane jednak do stylu wnętrz okrętowych. Na pięknie polerowanym stole, w którym odbijały się lampy, stał wazon z dymnego kryształu, a w nim świeże róże. Dokoła obok zmiętych serwetek i szklanek z nie dopitym winem stały brudne talerze. Na dywanie walały się niedopałki. Na uchylonych drzwiczkach kredensu wisiała brudna ścierka.

Słyszając kroki wstałem i aby nie przeciągać rozmowy, spytałem Hase'a, kiedy wszedł do kajuty, czy będzie miał coś przeciwko temu, jeżeli Brown wyrazi zgodę na moją podróż na „Biegnącej” w osobnej kajucie i za przyzwoitą opłatą.

- Pan uważa, że rozmowa ze mną nie doprowadzi do skutku?

- Wydało mi się - zauważyłem - że pańska decyzja na moją niekorzyść została podyktowana względami, które pan uznaje za słuszne.

Hase zwlekał. Widziałem, że uraził go mój zamiar pójścia do Browna. W uprzejmy sposób objawiłem upór i chęć postąpienia wbrew jego woli.

- Jak pan uważa - powiedział Hase. - Ja zostaję przy swoim.

- Nie będę się spierał. - Moje przyjazne ożywienie ustąpiło miejsca urazie. - Gdy się przegrało sprawę w jednej instancji, należy zwrócić się do drugiej.

Przyznaję, że powiedziałem za wiele, lecz nie wyraziłem żalu - zachowanie się Hase'a bardzo mi się nie podobało.

- Gdy się przegrało w n i ż s z e j instancji! - odparł z nagłym wybuchem. Jego flegma znikła jak porwana wiatrem firanka; twarz ożywił wyraz nieprzyjemny i impertynencki. - Po kiego diabła to całe gadanie? Ja tu jestem kapitanem, a więc na razie gospodarzem na statku. Może pan robić, co się panu podoba.

Było to już niewybaczalne grubiaństwo i kiedy indziej na pewno bym go uspokoił jednym przeciągłym spojrzeniem, ale nie wiadomo czemu byłem przekonany, że mimo wszystko będę podróżował z Hase'em na jego statku, i dlatego postanowiłem nie dawać więcej powodu do obrazy. Uniosłem kapelusz i skłoniłem się.

- Mam nadzieję, że jakoś załatwimy tę sprawę - rzekłem podając mu rękę, którą on uściśnął nader chłodno. - Całkiem niewinne okoliczności skłaniają mnie do przełamania lodów. Może nie będzie się pan gniewał w przyszłości, jeżeli się spotkamy.

„Rozmowa skończona i chcę, żebyś się stąd wyniósł” - powiedziały mi jego oczy. Wyszedszy na pokład, zobaczyłem starszego, ospowatego mężczyznę z fajką w zębach. Stał oparty o maszt. Przyjrzał mi się nic nie mówiącym wzrokiem i powiedział do Hase'a, który wyszedł razem ze mną:

- A jednak muszę pójść, może się odegram. Co pan na to?

- Nie dam pieniędzy - odparł Hase ostro, z gniewem.

- Wypląci mi pan moją należność - ciągnął posępnie mężczyzna z fajką - albo się rozstaniemy.

- Butler, otrzyma pan pieniądze jutro, jak pan wytrzeźwieje, inaczej zostanie pan bez grosza.

- Doskonale! - wrzasnął Butler, który był, jak się domyśliłem, pierwszym zastępcą Hase'a. - Piękne pan wygłasza słówka! I to p a n w roli opiekuna, kiedy nawet wróble na dachu ćwierkają o tym, co pan potrafi wyczyniać po wszystkich knajpach - obecnych, dawnych i przyszłych?! Wolno mi wydawać moje pieniądze, na co mi się podoba.

Hase nie odpowiedział, ale wszystkie hamowane przekleństwa odmalowały się na jego twarzy. Energia tego naboju wyładowała się w jego obejściu ze mną. Nieprzyjazny, lecz zimnokrwisty dżentelmen zniknął. Ton Hase'a przybrał odcień obelżywy.

- No i co - zaczął stojąc przy trapie, po którym schodziłem - prawda, że „Biegnąca po falach” jest piękna jak „Gandawska koronczarka”? („Gandawska koronczarka” był to statek zatopiony blisko sto lat temu przez pirata Kidda Drugiego z powodu przedziwnej piękności, która we wszystkich budziła zachwyt). Tak, to niemal każdy przyznaje. Gdyby pan znał historię tego statku, jego wartość, gdyby pan zobaczył go pod żaglami i pobył na nim jeden dzień - nie tak jeszcze prosiłby mnie pan, bym pana zabrał. O, pan jest nie w ciemną bitę.

- Kapitanie Hase! - wykrzyknąłem, tym bardziej rozgniewany, że Butler uśmiechnął się podszedłszy bliżej. - Jeżeli rzeczywiście będę podróżował tym statkiem, a pan przyjdzie do mojej kajuty, postaram się nieco oszlifować pańskie maniery, choćby przez bardziej zrównoważone obejście się z panem.

Spojrzał na mnie drwiąco, ale już w następnej chwili na jego twarzy odbiło się zakłopotanie. Przyprawiając mnie o niezwykle zdumienie, powiedział szybko, wzburzonym tonem:

- Tak, tak, przepraszam, proszę mi wybaczyć! Jestem wściekły! Nie będzie pan miał czego żałować, jeśli się panu nie powiedzie u Browna. Zresztą okoliczności tak się składają, że drogi nasze są różne. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

Nie wiem, co było bardziej przykre - impertynencja Hase'a czy ten jego dziwny wybuch. Wzruszyłem ramionami, szedłem na brzeg i oddalwszy się spory kawałek, spojrzałem raz jeszcze na wysokie maszty „Biegnącej po falach”, przekonany, że Hase czy Brown, czy też obydwoj razem, będą musieli odnieść się do mego zamiaru jak najbardziej przychylnie.

Poszedłem do domu, nie zdając sobie sprawy, dokąd idę, straciwszy poczucie czasu i przestrzeni. Wstrząs jeszcze nie minął. Przeczucia nieuchwytnie, gdy tylko zaczynałem analizować je dokładniej, tkwiły w głębi mego serca, nie poddając się świadomości. Ciąg nastrojów, jakich nigdy nie przeżywałem i z których nie wybrałbym ani jednego, od czasu do czasu odbijał się w moich myślach skojarzeniami słów na podobieństwo rozmowy we śnie; otrząsnąć się z nich nie byłem w stanie. Jedno, wbrew rozsądkowi, czułem bez żadnych wyjaśnień i dowodów - że statek Hase'a i nieznajoma dziewczyna Bicz Seniwell muszą mieć jakiś związek ze sobą. Gdybym był spokojny, uznałbym podobną myśl za jakiś dziki przesąd, ale teraz rzecz się miała inaczej - przywidzenia były tak przekonujące, jak w chwili nieszczęścia albo lęku.

Noc przeszła kiepsko. Sny miałem ciężkie i zawile. Męczyło mnie pragnienie. Budziłem się, piłem wodę i znów zasypiałem, prześladowany natłokiem myśli tak nużących jak nieprawidłowe rozwiązanie, w którym gdzieś tkwi błąd. Były to wzajemne obrachunki uczuć po wstrząsie, który zmaścił ich naturalny nurt.

O godzinie dziewiątej rano byłem już na nogach i jechałem do Filatre'a wynajętym samochodem. Z nim jednym mogłem mówić o sprawach tej nocy i zależało mi jak na rzeczy wielkiej wagi, by się dowiedzieć, co on sądzi o takim obrocie „pęknięcia na szybie”.

ROZDZIAŁ VI

Choć godzina była wczesna, Filatre niedługo kazał mi czekać na siebie. Po trzech minutach zjawił się w swoim gabinecie, już ubrany do wyjścia, i uprzedził, że koło dziesiątej musi być w szpitalu. Od razu zwrócił uwagę na mój wygląd i spytał:

- Zdaje mi się, że coś się panu przydarzyło?

- Pomiedzy biurem Syndykatu Węglowego a zakretem nabrzeża stoi wspaniały żaglo-

wiec. Zobaczyłem go w nocy po rozstaniu się z panem. Statek ten nazywa się - „Biegnąca po falach”.

- Co? - spytał Filatre, zdumiony bardziej, niż się tego spodziewałem. - Czy to żart? Ależ... za pozwoleniem... Nic, nic, słucham pana.

- Stoi tam jeszcze i teraz.

Spojrzelśmy na siebie i przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu. Filatre spuścił oczy, powoli uniósł brwi; przez jego wyrazistą twarz przebiegł nerwowy skurcz. Znowu popatrzył na mnie.

- Tak, to szokujące - zauważył. - Ale nie koniec na tym, prawda?

Uprzedzając podejrzenie, którego jeszcze nie wypowiedział, mianowicie, że mogłem widzieć „Biegnącą po falach” przedtem, zanim poszedłem do Stersa, zaprzeczyłem temu, następnie powtórzyłem rozmowę z Hase'em.

- Zgodzi się pan - dodałem pod koniec mego opowiadania - że mogłem mieć tylko to jedno pragnienie. Żadna inna możliwość tu nie pasuje. Widocznie powinienem jechać, jeśli nie chcę zostać do końca życia z bezradnym i głupim żalem w sercu.

- Tak - powiedział Filatre sięgając cygarem w powietrzu do jakiejś urojonej popielniczki. - Na pewno tak. Ale sytuacja, z którejkolwiek strony na nią spojrzeć - jest delikatna. Niemniej często decydują pieniądze. Zdaje się, że będę mógł panu pomóc. Kiedyś leczyłem żonę Browna, gdy, zdaniem lekarzy, żadne leczenie nie miało już sensu. Na złość im czy przez uprzejmość dla mnie, wygrzebała się. Jak słyszę, Hase powołuje się na Browna, sam będąc panu przeciwny a to nieomylna oznaka, że Brown powoła się na Hase'a. Dlatego proszę oddać Brownowi list, który zaraz napiszę.

Kończąc te słowa Filatre szybko siadł przy biurku i ujął za pióro.

- Nie bardzo wiem, co napisać - rzekł odwracając się ku mnie skronią i kątem oka.

Potarł czoło i zaczął pisać, odczytując na głos każde zdanie.

- Niech pan weźmie pod uwagę, - rzekł przerywając pisanie - że Brown to człowiek interesu, pieniądza, inny niż my obaj, i że wszystko, co jego zdaniem, trąci fantazją, nie budzi w nim zaufania. Teraz dalej: „Kiedyś, w dniu szczęśliwym dla pana i dla mnie, powiedział pan, że spełni każdą moją prośbę. Miałem szczerą nadzieję, że taka chwila nie nastąpi; uważałem zawsze, że przysparzanie panu kłopotów byłoby niewybaczalnym egoizmem z mojej strony. Jednakże traf zdarzył, że mój pacjent i kuzyn...” Ta dyplomatyczna nieścisłość lub, mówiąc krótko, nieszkodliwe kłamstwo chyba nie ma znaczenia? - zapytał Filatre, po czym pisał dalej czytając: - „...kuzyn, Tomasz Harvey, oddawca tego listu, musi spędzić jakiś czas na zwykłym żagłowcu. Ma to bezwzględnie zalecane po chorobie. Bliższe szczegóły poda osobiście. Domyślam się, że chętnie odbyłby jeden lub dwa rejsy w kajucie...” Jak dziwnie wymawiać te słowa - przerwał Filatre. - A ja nawet je piszę: „...w kajucie statku «Biegnąca po falach», który jest pana własnością. Będę głęboko wdzięczny, jeśli pan pójdzie na rękę Harveyowi. Mam nadzieję, że zdrowie pańskiej wielce sympatycznej małżonki nadal nie budzi obaw. Proszę...”

- ... i tak dalej - zakończył Filatre pokrywając kopertę zamaszystym pismem.

Wręczył mi list i siadł obok mnie.

Gdy pisał, zaczęła mnie dręczyć obawa, że statek Hase'a odpłynął.

- Proszę mi wybaczyć, Filatre - powiedziałem wyjaśniawszy, o co chodzi. - Bardzo się niecierpliwie!

Wstałem. Doktor wstał również, patrząc na mnie badawczo w głębokim zamyśleniu. Dotknąwszy mego ramienia, zrobił ręką ruch na poły zatrzymujący; cofnął powoli rękę, zaczął spacerować po pokoju, stanął przy biurku, spuścił oczy i z pewnym roztargnieniem potarł dłonie.

- Chyba powinniśmy sobie jeszcze to i owo powiedzieć, prawda?

- Tak, ale co? - odpowiedziałem. - Ja nie wiem. Tak samo jak pan lubię rozwiązywać

zagadki. Lecz teraz zajmować się tym, to jakby malować po ciemku z natury.

- Niestety ma pan rację. Tak. Mnie się nigdy nie zdarzyło nic podobnego. Niech pan mi wierzy, że jestem tym przejęty i zaniepokojony. Ale pan napisze do mnie z drogi? Dowiem się, co się z panem dzieje?

Przyrzekłem mu i dodałem:

- A może i pan zapakuje swoją walizkę, Filatre?! Razem ze mną?!

Filatre rozłożył ręce i uśmiechnął się.

- To kuszące - rzekł - ale... ale... ale... - Jego wzrok przez krótką chwilę spoczął na nie-dużej fotografii, stojącej na biurku pośród drobiazgów z brązu. Dopiero teraz spostrzegłem tę fotografię - podobiznę pięknej, młodej kobiety, patrzącej wprost z lekko pochyloną głową.

- Dla mnie nie ma rekompensaty - powiedział Filatre zapalając papierosa i gwałtownie odrzucając zapalnik. - Choćby pański świat wewnętrzny był najbardziej oryginalny i ascetyczny, oczywiście na swój sposób, pragnie pan przecież, drogi Harvey, ujrzeć śmiejące się oblicze szczęścia! Niech pan nie zaprzecza. Lecz mnie na tej drodze nic nie czeka, mojego bowiem pragnienia nikt nie może spełnić. Jest proste i wyraźne, ale nie ziści się nigdy. Wyleczyłem dużo ludzi, a jednak nie potrafiłem wyleczyć własnej żony. Ona żyje, ale jest jakby umarła. To jej portret. Ona już tu nie wróci. Nic poza tym nie ma dla mnie znaczenia.

Powiedziawszy to i uprzedzając moje słowa, nawet moje milczenie, które mimo całej szczerości, mogłoby tylko utrudnić ów nagły moment spojrzenia w czyjeś otwarte serce - Filatre zadzwonił i kazał służącemu zaprzęgać. Nie żegnając się na dobre, umówiliśmy się, że dam mu znać po mojej wizycie u Browna.

Wyszliśmy razem i rozstaliśmy się przed drzwiami domu. Filatre wskoczył na siedzenie, odjechał i zawołał odwracając się:

- Ale z tym nie...- Reszty nie dosłyszałem.

ROZDZIAŁ VII

Biuro Browna „Armator i Transport”, jak większość biur tego typu, mieściło się na nabrzeżu, a więc bardzo blisko, tak że nie opłacało się brać samochodu. Zwolniłem szofera i zaledwie wyszedłem na przystań, rzuciłem niespokojne spojrzenie w stronę mola, gdzie wczoraj widziałem „Biegnącą po falach”. Była teraz dość daleko ode mnie, mimo to spostrzegłem jej maszty i bukszpryt w tym samym miejscu, co wczorajszej nocy. Odetchnąłem z ulgą.

Dzień był upalny, duszny, jak powietrze nad rozżarzoną płytą kuchenną. Zmęczyłem się trochę, zwolniłem więc kroku i wszedłem pod płócienną markizę tawerny portowej, by ugasić pragnienie.

Wśród nielicznych gości spostrzegłem wzburzonego marynarza, który wymachując szklanką wina, zapomniał o niej w podnieceniu; co pewien czas zamierzał podnieść ją do ust, po czym znów rezygnował, ilustrując gwałtowną gestykulacją swoją przemowę do marynarzy siedzących przy stole w rogu sali. Gdy zatrzymałem się przy bufecie, wpadło mi w ucho nazwisko Hase, wskutek czego też zapomniałem o mojej szklance i odwróciwszy się zacząłem słuchać.

- Ja jego nie zapomnę - mówił marynarz. - Dwadzieścia lat żegluję. Widziałem kapitanów, że jakby ich tu wszystkich naraz wpuścić, toby nie było gdzie nawet nogi postawić. Według mnie Hase to istny diabeł. Nie daj Boże służyć pod jego rozkazami. Jeśli mu ktoś się nie podoba, to wypruje z niego wszystkie żyły. Powiadam wam, że to szaleniec. Kiedyś jak trzasnął w ucho cieśnię, to chłop zemdłał i przeszło godzinę nie mógł się podnieść, tylko jęczał. Mnie też się dostało - najwięcej za moje odszczekiwanie. Ja lubię tak odpowiedzieć,

żeby człowiek aż zzieleniał, a przyczepić się nie mógł. Niechby sobie był szaleniec, to jeszcze pół biedy. Ale to niebezpieczny łotr. Nic z jego gęby nie wyczytasz, jeśli kogoś wezwie. Może poczęstuje szklanką wódki, a może - zwali z nóg. Nie wiadomo, co mu do łba strzeli. Nieraz mówi cicho i rozumnie, jak człowiek, ale gdy popatrzy tak dziwnie albo milczy - to kombinuj, jak chcesz, dlaczego nic nie mówi, i basta. Zmordowało to nas wszystkich i postanowiliśmy odejść jak jeden mąż. Chodzą słuchy, że to już nie pierwszy raz załoga rzuca go w połowie rejsu. No i co?! Zawsze jakichś durniów znajdzie!

Umilkł i został z otwartymi ustami, patrząc na swoją szklankę z gniewnym zdziwieniem, jakby tam dojrzał nienawistnego kapitana; potem wychylił ją jednym haustem i zaczął z pasją nabijać swoją fajkę.

Wszystko to mnie zaciekawiło.

- O jakim Hase pan mówi? - spytałem. - Czy nie o tym, którego statek nazywa się „Biegająca po falach”?

- O tym samym, wielmożny panie - odpowiedział marynarz, spojrzawszy na mnie z niepokojem. - Więc pan wie, co to za człowiek, o ile to jest człowiek, a nie wściekły pies!

- Słyszałem o nim - rzekłem podtrzymując rozmowę, by możliwie najwięcej dowiedzieć się o człowieku, w którego towarzystwie zamierzałem spędzić czas nieokreślony. - Ale nie znam go osobiście. Czy rzeczywiście jest to taki potwór i niegodziwiec?

- Najczystsza... - zaczął marynarz uroczyście, niby składał przysięgę, lecz zakrztusił się, spłoszył i chciał zapewne dodać „prawda”, gdy za moimi plecami, wpadając mu w słowa, rozległ się nagły, szorstki okrzyk:

- Bujda!

Podszedł do nas jakiś mężczyzna. Był to także marynarz, przyzwoicie ubrany, o wyglądzie dość pospolitym, lecz inteligentnym.

- Najczystsza bujda - powiedział zwracając się do mnie, lecz patrząc na tamtego. - Nie wiem, co pan ma do kapitana Hase'a, ale ja, a widzi pan, że nie jestem żadna władza, tylko taki sam marynarz jak i tamten krzykacz - tu pogardliwy wzrok utkwił w twarzy zmieszanego oratora - ja twierdzę, że kapitan Hase to po pierwsze, żeglarz z prawdziwego zdarzenia, a po drugie, wzorowy człowiek o najlepszym sercu. Służyłem u niego od stycznia do kwietnia. Dlaczego odszedłem, to moja rzecz i Hase nic tu nie winien. Odbyliśmy dwa rejsy do Hor-Sine. Nikomu z całej załogi marnego słowa nie rzekł, a - co tu mydlić oczy - sam pan wie, że marynarze to naród rozmaity. Ten człowiek opowiada, że Hase zbił cieślę. A z reszty zrobił befsztyk tatarski. Kto uwierzy w takie łgarstwo? Dostawaliśmy raczej lepsze niż na okrętach wojennych. W niedzielę wydawano nam butelkę whisky na trzech. Bosmanowi i skoremu do bitki Butlerowi, swemu pierwszemu zastępcy, kapitan kiedyś przy mnie dał porządną reprimendę za to, że wygrażali kucharzowi pięścią. Wtedy Butler powiedział: „Sam diabeł pana nie zrozumie!” Bywało, że kapitan Hase zwoływał nas i czytał nam na głos takie historie, o jakich nigdy nie słyszeliśmy. A jeśli między nami wybuchała kłótnia, Hase powtarzał zawsze: „Bądźcie dobrzy jeden dla drugiego. Zło rodzi zło”.

Skończywszy, lecz mając widać dużo jeszcze do powiedzenia w obronie kapitana Hase'a, marynarz popatrzył na wszystkich obecnych, machnął ręką i z wyrazem cierpliwej dezaprobaty jął słuchać rozjuszonego oskarżyciela Hase'a. Widziałem, że obaj są absolutnie szczerzy i że słowa obrońcy doprowadziły oskarżyciela do ostatecznej furii. W ciągu minuty wymienił ponad dziesięć osób powołując się na ich świadectwo. Zaklinał się, proponował, żeby pójść na jakiś statek, gdzie znajdują się ludzie, którym Hase wyrządził krzywdę jeszcze w zeszłym roku, wreszcie zakończył zjadliwym pytaniem: „Czemu to obrońca tak krótko służył na «Biegającej po falach»?” Tamten z godnością, lecz nie mniej zapalczywie, wyjaśnił, że był chory i dlatego zwolnił się po przybyciu do Lissu. Tak się zacietrzewili w krzyku, że obydwaj zaczęli powoływać się na te same osoby, okazało się bowiem, że oskarżyciel i obrońca znają wielu marynarzy, którzy w różnych okresach służyli na statku Hase'a. Zaczęły się w

nieskończoność trwające zarzuty i chwalby, zaciekle batalia faktów, dokumentowanych biciem się w piersi. Choć byłem bardzo zainteresowany tym zajściem, musiałem jednak spieszyć do Browna.

Szyld biura „Armator i Transport” znajdował się o trzy domy dalej. Wszedłem do chłodnego lokalu z opuszczonymi po słonecznej stronie storami, gdzie rozlegał się stukot maszyn do pisania, dyskretny szmer rozmów i gdzie od jednego ze stołów podniósł się na moje spotkanie pochmurny mężczyzna w złotych okularach.

Poszedł mnie zameldować i po kilku minutach wrócił z gabinetu Browna; skłoniwszy się z miną już nie pochmurną, lecz uprzejmą, otworzył drzwi, a ja wchodząc do gabinetu ujrzałem jednego z głównych właścicieli, z którym miałem teraz odbyć rozmowę.

ROZDZIAŁ VIII

Byłem bardzo zadowolony, że widzę przedsiębiorcę, prawdziwego człowieka interesu, którego sam wygląd stwarzał atmosferę interesu i wyraźnego poczucia płynących minut. Ponieważ rozmawiałem z nim pierwszy raz w życiu, a on zupełnie mnie nie znał - nie było obawy, że rozmowa nasza przejdzie z tonu rzeczowego w niepewny, z lekka współczujący, jakiego nie da się uniknąć, gdy podróż morską służy celom leczniczym. W przeciwnym razie, ze względu na okoliczności całej sprawy, mógłbym wzbudzić podejrzenie, że nie jestem przy zdrowych zmysłach, i powstałaby sztuczna atmosfera. Lecz Brown raczej nie lubił badać rzeczy pod światło. Czuło się w rozmowie, że jest to człowiek chronicznie cierpiący na brak czasu i że użyczył go bliźniemu, ponieważ był moralnie zobowiązany przychylić się do prośby wyrażonej w liście.

Rude, podstrzyżone włosy Browna sterczały z symetrią szczeciny na szczotce. Wąska, wysoka głowa z gładkim karkiem, mocno, jak gdyby z rozmysłem zaciśnięte wargi i również mocne, chwytlive spojrzenie czarnych, zmrużonych oczu, które godziło prosto w twarz rozmówcy, sprawiały wrażenie precyzyjnego przyrzędu matematycznego. Był wielki, niezgrabny, ruchy miał pewne i porywcze; ubrany był elegancko. Podczas rozmowy trzymał w ręku ołówek głaszcząc go końcami palców. Głaskał raz szybciej, raz wolniej, jak gdyby dyrygując szykiem i pojawianiem się słów. Przeczytawszy list obojętnym rzutem oka, wygiął kącik wygolonych warg w oficjalnym uśmiechu i wysokim, pięknie ustawionym głosem oświadczył mi, że zawsze z przyjemnością uczyni coś dla Filatre'a lub jego przyjaciół.

- Ale - dodał przesuwał palcami z dołu w górę ołówka - zaszła tu pewna nieścisłość. Statek nie należy do mnie, jest własnością Hase'a, i choć, jak sądzę - tu, pokręciwszy ołówkiem, Brown wsparł brodę o jego koniec - na moją prośbę nie odmówi panu kajuty, to jednak byłoby dobrze, gdyby pan sam z nim porozmawiał.

Odparłem, że taką rozmowę już odbyłem, lecz kapitan nie zgodził się zabrać mnie jako pasażera na pokład „Biegnącej po falach”. Dodałem, że przyszedłem tu jedynie na skutek informacji Hase'a, iż statek stanowi własność Browna. Przedstawiłem sytuację, pomijając całą jej niepowszedniość jako zwykły przypadek czy też naturalne trudności.

W oczach Browna mignął jakiś niezrozumiały dla mnie błysk. Wykonał wzdłuż ołówka trzy powolne ruchy, jak gdyby podsumowując swoje najważniejsze myśli, i brew mu zadrgała, co bez wątplenia świadczyło o pewnym zakłopotaniu. Wreszcie, przybrawszy poprzedni wyraz twarzy, wtajemniczył mnie w istotę sprawy.

- Co do kapitana Hase'a - rzekł z namysłem - to muszę pana poinformować, że człowiek ten niemal siłą narzucił mi swój statek. Hase niegdyś u mnie pracował. Tak, jestem prawnym właścicielem tego statku, który uprzykrzył mi się do ostatecznych granic, a wszystko dlatego,

że Wiliam Hase posiada isticie wężowy dar żarliwego, inteligentnego przekonywania, a raczej - umiejętność zawrócenia człowiekowi głowy tym, co mu jest absolutnie niepotrzebne. Kiedyś Hase zadłużył się na poważną sumę. Chcąc ocalić statek przed zajęciem, Hase potrafił wyciągnąć ze mnie zgodę na wpisanie go do mego rejestru. Zgodnie z aktem kupna, który nie kosztował mnie ani grosza, statek stał się moim, ale nic więcej. Znałem ongiś ojca Hase'a. Syn sprytnie powołał się na cień zmarłego - bardzo porządnego i rozsądnego człowieka - i gorąco błagał mnie, bym ratował „Biegnącą po falach”. Jak pan widzi - Brown przez ramię wskazał ołówkiem ścianę, na której w kosztownych ramach wisiały fotografie ponad dziesięciu statków - z takiej transakcji mimo najlepszych chęci nie mogłem wyciągnąć najmniejszych zysków, toteż czuję się rozgrzeszony, że panu o tym opowiedziałem. Mamy więc atut przeciwko kaprysom Hase'a. Wynika on ze stosunków, jakie mnie z nim łączą. Pan pojedzie, to już zdecydowane, napiszę do niego kartkę, która da mu okazję przyjąć pana z całą uprzejmością. Hase jest skomplikowanym i bardzo trudnym człowiekiem. Radzę panu mieć się z nim na baczności, ponieważ nigdy nie wiadomo, jak postąpi.

Wysłuchałem Browna nie dając się zniechęcić. W duszy mojej były szczelnie zamknięte drzwi, a za nimi próżno dobijała się i nie mogła się przebić świadomość niedelikatności, nawet, ściślej mówiąc, przemocy, do jakich się uciekałem wśród tych niezwykłych okoliczności sposobu i miejsca.

Skończywszy mówić, Brown pochylił się nad biurkiem, zamasztyłym pismem wypełnił kartkę z notesu i włożył ją do koperty szybkim i pewnym gestem. Zapytałem, czy nie zna historii statku, na co po chwilowym milczeniu odpowiedział:

- Hase nabył go od osoby prywatnej. Nie mogę jednak określić panu dokładnie od kogo i za jaką sumę. To piękny statek, istotnie. Teraz został częściowo przystosowany do celów transportowych, lecz właściwie jest to typ luksusowego żaglowca. Jest bardzo szybki, toteż wyruszywszy jutro, dozna pan jako miłośnik żeglugi prawdziwej przyjemności - przy dobrym wietrze będzie się pan ślizgał jak gdyby na ogromnych łyżwach. - Spojrzał na barometr.- Powinien być wiatr.

- Hase mówił, że przewiduje miesięczny postój.

- Wymyślił to na poczekaniu. Był już dziś u mnie i mówił o dniu jutrzejszym. Znam nawet marszrutę: Hale-Gew, Towse, Gasset, Zurbagan. Wstapicie jeszcze do Dagonu po ładunek wyrobów żelaznych. Ale to tylko kilka godzin drogi.

- Przecież nie został mu ani jeden marynarz.

- O, niech pan będzie spokojny. To byłby kłopot dla innych, ale dla Hase'a to zupełny drobiazg. Jestem pewny, że już zapchał kubryk rozbójnikami, których na kiwnięcie palcem zbiega się legion.

Podziękowałem Brownowi i otrzymawszy mocny pożegnalny uścisk dłoni, wyszedłem postanawiając dołożyć wszelkich starań, żeby ułatwić Hase'owi jego zdecydowanie niezręczną sytuację.

ROZDZIAŁ IX

Nie wiedząc jeszcze, jak się do tego zabrać, podszedłem do statku i przekonałem się, że Brown miał rację - na pokładzie widać było marynarzy. Nie była to jednak doborowa, piękna załoga świetnie zorganizowanych administracji okrętowych. Widocznie Hase wziął pierwszych, którzy nawinęli mu się pod rękę.

Otrzymałem informację, że znajdę Hase'a w kajucie kapitańskiej. Siedział przy stole z Butlerem, sprawdzając papiery i rachując na liczydłach.

- Cieszę się bardzo, że pana widzę - powiedział Hase, gdy się przywitałem i usiadłem. Butler uśmiechnął się z lekka i wydawało mi się, że był to uśmiech pod adresem Hase'a. - Był pan u Browna?

Podąłem mu list. Otworzył go, przeczytał, spojrzął na mnie, na Butlera, który patrzył w bok, i odchrząknął.

- A zatem wszystko pan załatwił - rzekł z uśmiechem, wsuwając list do kieszeni kamizelki. - Szczerze jestem rad temu. Z przykrością wspominam naszą nocną rozmowę, obawiam się, że pan mnie źle zrozumiał. Znajomość z panem uważam za wielki zaszczyt. Lecz mój regulamin doprawdy nie uwzględnia obecności pasażerów na statku transportowym. Oczywiście należy to rozumieć w sensie dyscypliny, nie w żadnym innym. Poza tym jestem przekonany, że stosunki między nami ułożą się dobrze. Widzę, że lubi pan morze. Morze! Kiedy człowiek wymawia to słowo, zdaje mu się, że wyszedł na przechadzkę i spogląda na horyzont. Morze... - Zamyślił się, po czym mówił dalej: - Jeżeli Brown tak bardzo sobie tego życzy, chętnie ustępuję i przechodzę na drugi hals. Jutro skoro świt podnosimy kotwicę. Najpierw zawijamy do Dagonu. Stamtąd zawieziemy ładunek do Hale-Gew. Kiedy pan sobie życzy przenieść się na statek?

Odpowiedziałem, że chciałbym przewieźć bagaż niezwłocznie. Niemal przyjacielski ton Hase'a, jego czuły stosunek do morza, wczorajsze wymysły i dzisiejsza kurtuazja świadczyły w moim rozumieniu o tym, że mam do czynienia z człowiekiem nie zrównoważonym, impulsywnym, który jednak potrafi się pohamować. Chciałem więc poznać wysokość opłaty i jeśli czas pozwoli, rzucić okiem na moją kajutę.

- Niech pan potrąci z ogólnej sumy i doda komisowe - powiedział Hase do Butlera, wstając od stołu. Następnie poprowadził mnie korytarzem i otworzywszy drzwi stanął w progu, zapraszając mnie szerokim gestem.

- To jedna z najlepszych kajut - oznajmił wchodząc za mną. - Tu jest umywalka, szafa na książki i jeszcze kilka mniejszych szafek oraz półek na różne rzeczy. Jadalnia wspólna, a zresztą, jeśli pan będzie sobie życzył, służący przyniesie panu wszystko tutaj. Marynarzami nie mogę się poszczycić. Wziąłem ich na jeden rejs. Ale służący bardzo dobry, porządny chłop, Mulat. Pracował u mnie dawniej na „Erigonie”.

To śmieszne, ale poczułem się wzruszony - tak obecne zachowanie kapitana było niepodobne do obrzydliwego, sztucznie flegmatycznego, a potem dzikiego tonu z dzisiejszej nocy. Niezaprzeczone prawa Hase'a jako właściciela zaczynały mnie peszyć; jeżeli zechce je kategorycznie podkreślić, według wszelkiego prawdopodobieństwa uznam za stosowne przeprosić go za moje wtargnięcie pod płaszczykiem Browna. Lecz wycofać się, to znaczy zrezygnować z podróży, już teraz nie mogłem. Miałem nadzieję, że Hase sam się rozmyśli, pragnąc wyciągnąć z tego korzyści. Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu napomknął o pieniądzech, co jest najlepszym środkiem regulującym wszystkie zagmatwane sytuacje.

- Co się tyczy opłaty - rzekł przy wyjściu z kajuty - postanowiłem, że za wikt, pomieszczenie i przejazd wpłaci pan dwieście funtów. Zresztą, jeżeli to dla pana za drogo, możemy na ten temat porozmawiać później.

Zdawało mi się, że z oka do oka Hase'a, kiedy skończył mówić, przeleciała jakaś zjadliwa iskra satysfakcji z powodu szalonej sumy, jaką wymienił. Byłem wściekły, ale niczym nie zdradziłem swego wielkiego zaskoczenia. Zorientowałem się szybko, że to będzie mój atut. Zapłaciwszy Hase'owi dwieście funtów, mogłem się czuć zwolniony z wszelkich zobowiązań właśnie dlatego, że z taką złośliwością oszacował swą ustępliwość.

- Doskonale - powiedziałem - uważam tę sumę za niekłopotliwą. Jest godziwa.

- Tak - odparł Hase nagle zdehumorowany. Powstało pewne napięcie, które on natychmiast zatuszował zaczawszy narzekać na zmniejszenie frachtów; potem jak gdyby się zreflektował i pożegnał mnie: - W przeddzień odjazdu zawsze jest dużo kłopotów. A zatem sprawa załatwiona.

Po rozstaniu się z nim wróciłem do domu, skąd natychmiast zadzwoniłem do Filatre'a. Ucieszył się słysząc, że wszystko załatwione, i umówiliśmy się o godzinie czwartej po południu na „Biegającej po falach”, dokąd miałem zamiar przyjechać znacznie wcześniej. Potem czas zszedł mi na pakowaniu. Zjadłem śniadanie i zapakowałem rzeczy; byłem znużony myślami, za które żaden rozsądny człowiek nie dałby złamanego szeląga; poleciłem znieść bagaż i przyjechałem na statek w momencie, kiedy Hase schodził na nabrzeże. Był w towarzystwie Butlera oraz drugiego zastępcy, Sinkrite'a, młodego człowieka o twarzy przebiegłej i niemiłej. Spostrzegłszy mnie Butler uklonił się uprzejmie, natomiast Hase kiwnął mi niedbale głową, odwrócił się i wzięwszy pod ramię Sinkrite'a, zaczął z nim rozmawiać. Tamten obejrzał się za mną, po czym wszyscy trzej skryli się w bramie Trzymilowego Przejazdu.

Na statku widocznie mnie oczekiwano. Zza drzwi kuchennych wyjrzała głowa w czapce kucharskiej, zniknęła, po czym natychmiast zjawił się obrotny Mulat, który zabrał moje rzeczy i umieścił je w przygotowanej kajucie.

Kiedy rozpakowywał bagaż, a ja, usiadłszy w fotelu, dawałem mu wskazówki, rozgadaliśmy się nieco. Służący miał na imię Horacy, co mnie rozweseliło jako bardzo stosowna aluzja do najczęstszej cytaty z Szekspira. Horacy potwierdził wymienioną przez Browna marszrutę rejsu, o której już słyszał, lecz w jego paplaninie nie zauważyłem nic intrygującego czy osobliwego, co by dotyczyło statku. To osobliwe było tylko we mnie. „Biegająca po falach” szła bez ładunku do Dagonu, tam zaś miała zabrać trzysta skrzyń wyrobów żelaznych. Naiwnie i dumnie pyszniąc się potężną pierśią, którą obciskała kokosowa siatka, wypinając ją jak kogut i szczerząc przy każdym słowie mocne zęby Horacy wreszcie wypaplał mi wszystko. Ta intymność była następstwem złotej monety i pozwolenia, by dopalił zgasłe cygareto. To, co mi zakomunikował, zaniepokoiło mnie bardziej niż zapowiedź sztormu.

- Muszę panu powiedzieć, proszę pana - zaczął Horacy zacierając ręce - że będzie bardzo, bardzo wesoło. Nie będzie pan się nudził, jeśli to prawda, co podsłuchałem. W Dagonie kapitan ma zabrać panny, piękne damy, signory. To jego znajome. Dwie kajuty są już przygotowane. Tam już stoją perfumy, doskonałe mydła, woda kolońska, lustra; pościel powleczone cienką bielizną. Zakupiono także mnóstwo wina. Wino będzie dla wszystkich - dla mnie i dla marynarzy.

- Nieźle - powiedziałem zaczynając pojmować, jakiego rodzaju damy Hase zamierza zaprosić w Dagonie. - Spodziewam się, że to nie jego kuzynki.

Cała wyrazista twarz Horacego jakby mrugnęła do mnie znacząco - od podbródka aż do wywróconych oczu. Mlasnął językiem, pokiwał głową, schował ją w ramiona i zaczął się śmiać.

- Nie wezmę udziału w waszych rozrywkach - oświadczyłem. - Ale Hase może oczywiście zabawić się, jak mu się podoba.

Z tymi słowami odesłałem Mulata i zamknąłem drzwi, rozmyślając o tym, co usłyszałem.

Znając skłonność służących do rozdmuchiwania na różny sposób każdej plotki, a także do opowiadania niestworzonych rzeczy w nadziei zysku, byle tylko się przypodobać, poprzestałem na razie na przyjęciu do wiadomości planów rozrywkowych Hase'a, a ponieważ wkrótce podano mi obiad w kajucie (kapitan pojechał na obiad do hotelu), zjadłem go delektując się samotnością i potrawami. Kończyłem palić cygareto, kiedy Horacy zapukał do drzwi wpuszczając ledwie żywego z upału Filatre'a. Doktor położył na łóżku pudełko i paczkę. Ujął moją dłoń lewą ręką, prawą zaś przykrył ją przyjacielskim gestem.

- To dziwne - powiedział. - Dopiero wtedy uwierzyłem naprawdę, kiedy zobaczyłem na rufie p a n s k i e słowa i teraz - pana; to mnie przekonało ostatecznie. Trudno jednak powiedzieć, na czym w istocie polega moja pewność. W tym pudełku są karty do pasjansa i czekolada, nic więcej. Wiem, że pan lubi pasjansa, sam pan o tym mówił: „Piramida” i „Czerwone i czarne”.

Byłem wzruszony. Zgodnie z milczącą wzajemną umową nie roztrząsaliśmy więcej zdarzenia z „Biegającą po falach”, jak gdyby lękając się uszkodzić jego dziwaczne, kruche kontury. Mówiliśmy o Hase'em. Po mojej bytności u Browna Filatre rozmawiał z przedsiębiorcą przez telefon i uzyskał dokładniejszą charakterystykę kapitana.

- Prawdopodobnie nie można mu wierzyć - rzekł Filatre. - Znienawidził pana, to rzecz jasna, ale pieniądze są mu również potrzebne; chociaż będzie wystrzegał się wobec pana ordynarnych wyskoków, to jednak obawiam się, że jego nienawiść da się panu we znaki. Brown nalegał, żeby pana ostrzec. Wybuchy Hase'a są straszliwe i bardzo częste. Łatwo wpada we wściekłość, rzadko bywa trzeźwy, a cudze pieniądze traktuje jak swoje własne. Musi pan także wiedzieć, że, o ile mogłem wywnioskować z aluzji Browna, Hase przywłaszczył sobie „Biegającą po falach” w jeden z tych bezczelnych sposobów, wobec których prawo się wzdryga, ale milczy. Co pan sądzi o tym wszystkim?

- W tej chwili myślę dwutorowo - odrzekłem. - Można to porównać z sytuacją człowieka, któremu wręczono szkatułkę z zastrzeżeniem, by ją otworzył po przybyciu na miejsce. Myśl o tym, co może zawierać szkatułka - to jeden tor. A drugi - to normalne odczucie podróżnego, który w dodatku jest zatroskany wewnętrznym oporem w stosunku do tych, z którymi przyjdzie mu współżyć.

Filatre spędził u mnie około godziny. Rozmowa zesłała na intrygi, jakie przeciwko niemu knuto w szpitalu, potem przyrzekłem, że będę mu donosił o sobie, ale tej zwyczajnej wymianie zdań nieodstępnie towarzyszyły słowa „Biegająca po falach”, choć ich ani razu nie wymówiliśmy. Nasza wewnętrzna rozmowa była inna. W podnieceniu Filatre'a był jeszcze ślad porannego wyznania. Ja myślałem o nieznanym. I skroś słów każdy z nas rozumiał tajniki duszy drugiego pełniej, niż to jest możliwe podczas najszczerzych wzajemnych zwierzeń.

Odprowadziłem go na nabrzeże. Żegnając się ze mną Filatre powiedział:

- Dobrego samopoczucia i pomyślnych wiatrów!

Lecz dotyk jego silnej, gorącej ręki i spojrzenie powiedziało mi więcej, to właśnie, co chciałem usłyszeć. Przypuszczam, że on także w mojej odpowiedzi usłyszał skryte wyznanie: „Cokolwiek by się stało, zawsze będę o panu pamiętał”.

Kiedy Filatre zniknął mi z oczu, wszedłem na pokład i usiadłem pod brezentowym daszkiem na rufie. Obejrawszy się na odgłos kroków zobaczyłem Sinkrite'a, który zatrzymał się opodal niezdecydowanym ruchem, jakby chciał podejść do mnie. Nie miałem nic przeciwko rozmowie z nim, odwróciłem się więc dając uśmiechem do zrozumienia, że odgadłem jego zamiar. Wówczas podszedł, a ja dopiero teraz spostrzegłem, że jest pod dobrą datą, że sam zdaje sobie z tego sprawę, ale chce się twardo trzymać. Przedstawił mi się, bąknął coś o pogodzie i myśląc zapewne, że poczucie stabilizacji jest dla mnie czymś najważniejszym, zaczął mówić o Hasie.

- Słyszałem - zagadnął przypatrując mi się - że pan nie doszedł do ładu z kapitanem. To prawda, że trudno się z nim dogadać, ale jeśli już raz się człowiek dogada, to wtedy robi on wszystko. Ja z całej duszy trzymam jego stronę. Powiem krótko - to żeglarz z krwi i kości. Możliwe, że słyszał pan o nim coś złego, otóż śmiem pana zapewnić, że są to oszczerstwa. Jest popędliwy i ambitny, o, bardzo krewki! Wspaniały człowiek! Na jedno pańskie życzenie Hase urządzi partyjkę kart choćby z samym diabłem! Jest wielki w robocie i w barze kompan niezawodny - trzy noce może nie zmrużyć oka. Mamy także bibliotekę. Chce pan, to ją panu pokażę. Kapitan dużo czyta. I sam kupuje książki. Tak, to wykształcony człowiek. Jest z nim o czym pogadać.

Zgodziłem się obejrzeć bibliotekę i poszedłem z Sinkrite'em. Zatrzymawszy się przed jakimiś drzwiami Sinkrite wyjął klucz i otworzył je. Była to duża kajuta obita wzorzystym chińskim jedwabiem. W rogu stała marmurowa umywalnia z lustrem w srebrnej ramie i przyborami toaletowymi. Na hebanowym biurku znakomitej roboty stały bibeloty z brązu, mapy żeglarskie, luneta, zegar na kryształowym postumencie, na ścianach - przyrządy do pomiarów

atmosferycznych. Piękny dywan i łóżko z cienką bielizną i jedwabną kołdrą - wszystko mówiło o zamiłowaniu do rzeczy pięknych, jak również o rozumieniu ich subtelnego wpływu. Przez uchylone drzwiczki we wnęce widać było symetrycznie ułożony stos książek; kilka leżało na małej kanapie. Skrzynka z książkami stała również pomiędzy ścianą a łóżkiem.

Rozglądałem się zaskoczony, gdyż pomieszczenie to nie mogło być biblioteką. Istotnie, Sinkrite w tej chwili powiedział:

- Proszę, jak mieszka kapitan. To jego kajuta. Pokazałem ją dlatego, że tu we wszystkim czuje się wykwinny smak. Ile książek! On bardzo dużo czyta. Widzi pan - tu wszędzie książki, i to najróżniejsze.

Nie mogłem opanować irytacji i oświadczyłem, że wchodzenie do cudzego mieszkania bez wiedzy i zgody gospodarza sprzeciwia się moim zasadom.

- To pańska wina - dodałem. - Nie wiedziałem, dokąd idę. Czy to jest biblioteka?

Sinkrite milczał przez chwilę, zaambarasowany - prawdopodobnie tak go zdumiały moje słowa.

- Dobrze - powiedział zgaszonym tonem. - Zwrócił mi pan uwagę. Przypuszczam, że jest to uwaga słuszna, ale przecież ja mam drugie klucze od wszystkich pomieszczeń i... - Nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, zakończył: - Myślę, to drobnostka. Tak, to drobnostka - powtórzył z przekonaniem. - My tu wszyscy jesteśmy swoi ludzie.

- Chodźmy do biblioteki - zaproponowałem, nie chcąc przedłużać jego zawitych wyjaśnień.

Sinkrite zamknął kajutę i zaprowadził mnie do salonu, tam zaś otworzył drzwi prowadzące do pomieszczenia, w którym wokół ścian stały szeregi półek. Na oko określiłem liczbę tomów na blisko trzy tysiące. W poprzek grzbietów książek umocowane były ruchome sztaby mosiężne, aby książki nie wypadły w czasie chwiejby. Prócz dębowego stołu z przyborami do pisania i składanego krzesła znajdowały się tu skrzynie po brzegi wypchane czasopismami i broszurami.

Sinkrite wyjaśnił, że bibliotekę założył poprzedni właściciel, lecz przez ten rok, gdy Sinkrite służy na statku, Hase zakupił jeszcze ze trzysta tomów.

- Brown nie jeździ z wami? - zagadnąłem. - Czy też na jakiś czas oddał statek Hase'owi?

Na moje podstępne pytanie, które miało na celu pociągnięcie Sinkrite'a za język, nawigator odparł wymijająco, tak że zrezygnowałem z tego tematu i zająłem się książkami. Za moimi plecami Sinkrite wykrzykiwał: „Niech pan patrzy, nowiusieńka książka i już karty rozcięte!” - albo: „W sam raz dla uniwersytetu taka biblioteka!” Jednocześnie skierował rozmowę na moją osobę, lecz ja, orientując się, że ludzie tego pokroju każde zbędne słowo wyzyskują dla własnych celów, ograniczyłem się do kilku uwag i dla urozmaicenia zacząłem się uskarżać na przemęczenie.

Lubię książki, lubię trzymać je w rękach, przeglądać tytuły, dźwięczące jak głos zza sekretnych drzwi lub naiwnie odsłaniające treść. Znalazłem książki w języku hiszpańskim, angielskim, francuskim, niemieckim i nawet rosyjskim. Treść ich dotyczyła różnych dziedzin - historii, matematyki, filozofii, były tu rzadkie wydania z opisami dawnych podróży, bitew morskich, książki o żegludze morskiej, przewodniki, lecz najwięcej było powieści, i tu obok Thackeraya i Maupassanta pstrzyły się bezwstydnymi okładkami paryskich romansidel.

Tymczasem zaczęło zmierzchać; wzięwszy kilka książek poszedłem do siebie. Po rozstaniu z Sinkrite'em spędziłem około dwóch godzin w mojej wytwornej kajucie oglądając karty, które podarował mi Filatre. Uśmiechnąłem się rzuciwszy okiem na koszulki - na jednej talii był miniaturowy okręt płynący pod pełnymi żaglami przy gwałtownym wichrze, koszulki drugiej zdobiła wspaniała martwa natura - złoty kubek napełniony po brzegi szkarłatnym winem na tle aksamitnych draperii i kwiatów. Filatre zastanawiał się, jakie koszulki wybrałby będąc na moim miejscu. Natychmiast rozłożyłem bardzo trudny pasjans i podejrzewam, że

wyszedł mi tylko dzięki temu, że się gdzieś niechcący pomyliłem.

O wpół do ósmej Horacy oznajmił, że kapitan prosi na kolację.

Kiedy wszedłem, Hase, Butler i Sinkrite siedzieli już przy stole w salonie.

ROZDZIAŁ X

Hase przywitał mnie krótko; zauważyłem, że nie jest w humorze, ponieważ unikał mego wzroku.

Butler, najsympatyczniejszy z tego towarzystwa, odchrząknawszy, spróbował nawiązać ogólną rozmowę podejmując temat czekającego nas rejsu, lecz Hase przerwał mu praktycznymi uwagami odnośnie prowizji i opłat portowych. Na moje pytania dotyczące żeglugi Hase odpowiadał krótko: „tak”, „nie”, „zobaczymy”. Podczas kolacji ani razu sam nie zwrócił się do mnie.

Przed jego nakryciem stała duża karafka z wódką, którą pił metodycznie, powoli i z przekonaniem, póki nie opróżnił całej karafki. Z jego rozmowy z zastępcami wywnioskowałem, że nowa, naprędce skompletowana załoga zaledwie w połowie składa się z coś niecoś wartych marynarzy; reszta to zwykła portowa zgraja, wymagająca czujnego nadzoru. Rozmawiali jeszcze o ludziach i sprawach, o których nie miałem pojęcia. Butler i Sinkrite pili, jeśli nie tak tego, jak Hase, to w każdym razie nie wylewali za kołnierz. Nikt nie nalegał, bym pił więcej, niż mam na to ochotę. Wypiłem niewiele. Usługujący Horacy krzątał się przy moim nakryciu z nieco większą skrupulatnością, niż przy innych, chcąc widocznie zaznaczyć, jak należy obchodzić się z gośćmi. Hase, zauważywszy to, spojrzał na niego krzywo, ale nic nie powiedział.

Ze wszystkiego, o czym mówiono przy tym krępującym i posepnym posiłku, zainteresowały mnie jedynie następujące słowa Sinkrite'a:

- Luiza pisze, że zaprosiła Mary, a tamta widać absolutnie nie może rozstać się z Julią, będziemy więc musieli oddać im dwie kajuty.

Wszyscy parsknęli znaczącym śmiechem, zapewne do wtóru jakimś ukrytym myślom.

- Będziemy gościli damy - rzekł Hase wstając od stołu i obserwując mnie uważnie. - Panu to nie przeszkadza?

Odpowiedziałem, że mi wszystko jedno.

- Tym lepiej - oświadczył Hase.

Na górze rozległ się krzyk, nie był to jednak krzyk świadczący o bójce, lecz o zamieszaniu przy pracy, co często się zdarza na statkach. Butler poszedł dowiedzieć się, o co chodzi; w chwilę po nim wyszedł Sinkrite. Kapitan stojąc palił papierosa, skorzystałem więc z nieobecności jego zastępców, by mu wręczyć pieniądze. Wziął banknoty wyniosłym gestem, przeliczył je bardzo skrupulatnie i skłonił się z pewną przesadą. W jego oczach mignął znaczący, wesoły błysk.

- Może partyjkę szachów? - powiedział uprzejmie. - Jeśli to panu dogadza.

Zgodziłem się. Ustawiliśmy stół do szachów i usiedliśmy. Figury z pięknej kości słoniowej rzeźbiła niewątpliwie ręka wybornego artysty. Wyraziłem zdziwienie, że na statku transportowym znajdują tyle pięknych przedmiotów.

Jakkolwiek Hase był z pewnością pijany - rzecz dla niego powszednia i naturalna - nic nie zdradzało jego stanu poza głosem, który stał się urywany, ponieważ walczył z żołądkiem.

- Tak - powiedział - wydało się trochę pieniędzy. Jak pan zapewne zauważył, „Biegnąca po falach” jest brygantyną, ale szczególnego typu. Zbudowana według osobistego gustu pewnego... on potem zszedł na dziady. Tak, tak - Hase obrócił w palcach królową - kobiety

wnoszą szum, krzątanie, krzyki, jednym słowem - niepokój. Co pan powie o podróżowaniu z kobietami?

- Nie urobiłem sobie poglądu na ten temat - odparłem przesuwając figurę.

- Powinno się panu podobać - ciągnął Hase wykonując kolejny ruch z takim roztargnieniem, że od razu cała partia stała się dla mnie przejrzysta. - Powinno dlatego, że pan, mówię to bez intencji urażenia pana, zjawił się na statku w sposób bardziej niż oryginalny. To coś mówi o człowieku.

- Mam nadzieję, że pan nie z myślą o mnie zaprosił te kobiety?

Milczał głowiąc się nad zadaniem, przed którym go postawiłem za pomocą królowej i konia. Nagle zmieszał figury i oświadczył, że przegrał partię; powtórzyło się to dwa razy; na koniec zwiódłem go fałszywą nadzieją, po czym dałem mata po siedmiu ruchach. Hase był czerwony z pasji. Kiedy wsypywał szachy do szuflady, ręce mu dygotały.

- Mocny z pana gracz - oświadczył.- Prawdziwą rozkosz sprawiła mi gra z panem. A teraz pomówmy rzeczowo. Rano wyruszamy do Dagonu, tam weźmiemy ładunek i popłyniemy do Hale-Gew. Nie był pan w Hale-Gew? Leży po drodze do Zurbaganu, ale w Zurbaganie będziemy nie wcześniej niż za dwadzieścia do dwudziestu pięciu dni.

Rozmowa się skończyła, poszedłem do siebie pod wrażeniem, że towarzystwo kapitana jest nieco nużące.

Resztę wieczoru spędziłem nad książką, lecz oblegające mnie myśli były tak natrętne, że chwilami zapominałem, co czytam. Zasnąłem późno. Ta pierwsza noc na statku minęła dobrze. Budząc się od czasu do czasu, żeby się przewrócić na drugi bok albo poprawić poduszki, czułem ledwie zauważalne kołysanie się mego pokoju - i znów zasypiałem myśląc o tym, co było jeszcze niewiadome, nowe, mgliste.

ROZDZIAŁ XI

Zbudziwszy się o świcie niezupełnie jeszcze wyspany spostrzegłem, że „Biegnąca po falach” już nie stoi u mola. Kajuta opadała i wznosiła się w powolnym tempie wysokiej fali. W kątach zaczęło się podzwanianie i skrzypienie; była to niewidzialna zazwyczaj współzależność przedmiotów, której zawdzięczamy świadomość ruchu. Pluskające bryzgi wzdłuż burty, nierówne wstrząsy, chwiejny ciężar własnego ciała, które raz zdawało się cięższe, raz lżejsze, odnotowywały każdy ruch statku.

Na pokładzie rozlegały się kroki, jak gdyby ktoś chodził po dachu nad moją głową. Popatrzyłem przez iluminator na morze - było omroczone drobnym deszczem niesionym przez wiatr. Radość, która mnie ogarnęła, świadczyła o tym, że jeszcze wczoraj podświadomie odczuwałem niepewność, że była to niepewność niesprecyzowana, której rozum nie może wyjaśnić określoną przyczyną, ponieważ brak mu materiału. Ubrałem się i zadzwoniłem, żeby mi podano kawę. Horacy, który zjawił się po chwili, oznajmił, że kucharz dopiero rozpala pod płytą, i zaproponował mi wino, lecz postanowiłem poczekać na kawę, za wino zaś podziękowałem poprzestając na pół szklance zimnego ponczu, który zawsze mam przy sobie w podróży i w domu. Zapytałem, gdzie się znajdujemy, na co otrzymałem odpowiedź, że gdyby nie deszcz, Liss byłby widoczny, dzieli nas bowiem godzina drogi.

- Wiatr jest pomyślny - dodał Horacy. - Kapitan Hase ma wachtę, będzie pan więc jadł śniadanie bez niego.

Spojrzał przy tym na mnie z prostotą, niby bez żadnej ukrytej myśli, lecz ja zrozumiałem, że nic nie ujdzie oku tego człowieka.

Pierwsze godziny po wyjściu w morze są zawsze jakieś uroczyste i pełne napięcia, nie-

zależnie od tego, czy świeci słońce, czy pada deszcz, toteż z niecierpliwością wyszedłem na pokład. Ogarnął mnie znany, ulubiony nastrój - poczucie pełni ruchu nie pozbawione nieumotywowanej dumy i świadomości współuczestnictwa w tym malowniczym widowisku. Zawsze byłem kiepskim znawcą sprzętu żaglowego zarówno jeśli chodzi o olinowanie ruchome, jak i stałe, lecz widok rozpiętych żagli nad przechyloną w tył głową - tak, by je widzieć płynąc razem z nimi - to jedna z najbardziej niewinnych przyjemności, nie wymagających specjalnego znawstwa. Przeświecające, ściągnięte ostrymi kątami do wierzchołków rei, piętrzą się majestatyczne płaty żagli w górze i dokoła. Ich lot jest zamknięty między linami. Żagle gnają nurzający się powoli kadłub, a uwikłany w nich wiatr wydyma je, ciśnie i prze naprzód.

„Biegnąca po falach” szła z silnym wiatrem, z prędkością - gdy spojrzałem na log - piętnastu węzłów. W szarych całunach nieba kryła się niejasna obietnica słonecznego promienia. Przed kompasem spacerował Hase. Zobaczywszy mnie, udał, że mnie nie spostrzeża, i odwrócił się mówiąc coś do sternika.

Spędziłem na pokładzie przeszło pół godziny, potem zszedłem na dół, gdzie zastałem Butlera, czekającego na śniadanie; zaczęliśmy rozmawiać. Spodziewałem się jakichś pytań z jego strony, tymczasem on zachowywał się tak, jakby mnie znał od dawna. Ten jego sposób bycia bardzo mi odpowiadał. Wkrótce nadszedł Sinkrite, przesycony wilgocią i wiatrem; po wczorajszym pijaństwie był blady, ręce mu drżały. W przeciwieństwie do małomównego ponuraka Butlera Sinkrite był gadatliwy i nudny. Pedantycznie, drobiazgowo wymyślał każdemu z marynarzy, zwracając się do mnie z wyjaśnieniami, o które nie prosiłem. Następnie zaczął przypominać Butlerowi szczegóły wczorajszego obiadu w hotelu, grzebiąc się w sprawach ludzi, których nie znałem. Opanowała go poalkoholowa nerwowość. Tymczasem, pragnąc dokładnie poznać marszrutę statku, zwróciłem się do Butlera z prośbą, by mnie o tym poinformował, ponieważ nie ufałem słowom Hase'a.

Nie dopuszczając do słowa Butlera, któremu raczej obojętne było, czy będzie mówił, czy nie, Sinkrite natychmiast zaproponował, bym poszedł z nim do kajuty Hase'a, gdzie jest szczegółowa mapa. Nie miałem chęci nachodzić Hase'a, z którym należało nawet w drobiazgach mieć się na baczności, a zwłaszcza iść tam z Sinkrite'em, którego maniery mocno mi się nie podobały, zawahałem się więc, lecz po chwilowym namyśle zdecydowałem, że lepiej będzie pójść, niż prosić Sinkrite'a o przysługę, czyli o przyniesienie mapy. Wstałem i udaliśmy się do kajuty Hase'a, gdzie Sinkrite wyjął z ceratowej teczki kilka map morskich i wyszukał właściwą.

- Słyszałem - zagadnął - że panu wszystko jedno, dokąd płyniemy, toteż w pierwszej chwili zdziwiłem się słysząc pańskie życzenie.

- Istotnie jest mi wszystko jedno - odparłem krzywiąc się z lekka na widok jego służalczego uśmiechu - lecz ten stan rzeczy nie wyklucza zwykłej ciekawości.

Sinkrite roześmiał się nienaturalnie i bez potrzeby, co wzbudziło we mnie chęć trzepnięcia go po ramieniu i powiedzenia bez ogródek: „Pan mi się podlizuje na wszelki wypadek, ale, mój drogi, ja to doskonale widzę”.

Stałem przy stole pochylony nad mapą. Rozkładając ją, Sinkrite odsunął górny róg w prawą stronę, machinalnie poszedłem wzrokiem za jego ręką i zobaczyłem obok przyborów do pisania fotografię za szkłem. Było to zdjęcie dziewczyny, którą widziałem siedzącą na walizkach.

ROZDZIAŁ XII

Poznałem ją natychmiast dzięki sztuce fotografa oraz tak charakterystycznym właściwościom pewnych osób, że poznaje się je bez wątpliwości na każdym nawet najmniejszym zdjęciu, rysy ich bowiem wyryła w naszej pamięci silna ręka wrażenia doznanego w okolicznościach specyficznych. Ale to nie była zła fotografia. Nieznajoma siedziała wsparta łokciem o stół, druga ręka spoczywała na zsuniętych kolanach, w charakterystycznym przegięciu głowy była jakaś intymność łagodząca sztywność pozy. Dziewczyna miała na sobie ciemną suknię z koronką przy wycięciu. Gdy ją fotografowano, uśmiechnęła się i ślad tego uśmiechu pozostał na jej jasnej twarzy.

W tej chwili troszczyłem się jedynie o to, żeby Sinkrite nie zauważył, gdzie patrzę. Poznawszy dziewczynę natychmiast spuściłem wzrok, lecz dalej widziałem portret wśród południków i równoleżników, przestając pojmować sens słów nawigatora. Wydało mi się, że nie zniósłbym tego, gdyby myśli moje zbiegły się na tym portrecie choćby przez ułamek sekundy z myślami Sinkrite'a.

Mimo że widziałem dziewczynę tylko raz z daleka i nie rozmawiałem z nią, wspomnienie to miało specjalny charakter. Widok tej fotografii pośród rzeczy Hase'a był dla mnie jakby realnym spotkaniem. Wrażenie powtórzyło się, lecz - tym razem - ostre i przygnębiające, sztucznie skojarzone z osobą Hase'a. Usłyszałem głos Sinkrite'a:

- Tędy idzie prąd; nawet przy słabym wietrze można zrobić...

- Od dziesięciu do dwunastu mil - dokończył Hase za moimi plecami. Nie słyszałem, jak wszedł. - Sinkrite, pańska wachta zaczęła się cztery minuty temu. Niech pan idzie, ja pokażę mapę.

Sinkrite, stropiony, ulotnił się natychmiast.

Ogorzała od wiatru twarz Hase'a nosiła ślady źle spędzonej nocy. Palił cygaro. Nie zdejmując płaszcz deszczowego zsunął czapkę na tył głowy, oparł rękę na mapie i wodził po niej dymiącym końcem cygara, tłumacząc znaczenie linii kropkowanych, linii czerwonych, znaków ostrzegawczych. Zrozumiałem tylko, że według jego obliczeń będziemy w Hale-Gew za jakieś pięć do sześciu dni. Następnie Hase zrzucił skórzany płaszcz i czapkę i usiadł wyciągnąwszy nogi. Ja usiadłem tyłem do fotografii, żeby uniknąć przypadkowej a drażliwej dla mnie rozmowy. Czułem, że w tej chwili moje zainteresowanie osobą Biczę Seniwell jest zbyt żywe, aby to uszło uwagi takiego wyjadacza jak Hase - była to natrętna autosugestia, która zazwyczaj prowadzi do rezultatu, jakiego raczej pragnęlibyśmy uniknąć.

Hase siedział ze wzrokiem utkwionym w guzik mojej kamizelki. Z wolna podnosił głowę; gdy na koniec spotkał mój wzrok, zakasłał i zaczął przecierać oczy rozpędzając ręką dym z cygara.

- Jak się panu podoba Sinkrite? - pochylił się i sięgnął biurka, żeby strząsnąć popiół. Przy tym nie odwracając się wiedziałem, że rzucił okiem na fotografię. To roztargnione spojrzenie nic mi nie powiedziało. Hase wydał mi się teraz kimś innym. Ujrzałem go na tle tajemnego, niespodziewanie stwierdzonego przeze mnie związku z tamtą dziewczyną i wskutek silnego pragnienia, by zrozumieć istotę tego związku - i to zrozumieć bez dociekań - przypisywałem jego spojrzeniu na fotografię różnorakie znaczenia. Jakkolwiek by rzecz się miała, Filatre miał słuszność, kiedy zauważył, że „akcja zaczyna się toczyć” - a tak właśnie powiedział. Ja sam, kiedy odkryłem fotografię, byłem już święcie, ostatecznie przekonany, że wypadki doprowadzą do akcji.

Odpowiedziałem na pytanie o Sinkrite'a:

- Cóż, Sinkrite, jak każdy człowiek, którego spotyka się w pierwszym dniu podróży, podobny jest do innych: ma ręce, głowę.

- Łajdak - oświadczył Hase. Jego znużenie i zły humor znikły; zgasił niedopałek, zaczął

się raptem uśmiechać i dokładnie wypytywać, jak się czuję na statku - i to pod każdym względem. Dałem odpowiedź konwencjonalną, to znaczy bezsensowną w treści i należycie sensowną w formie, po czym wstałem sądząc, że Hase wybiera się na śniadanie. Jednak na wzmiankę o tym Hase przecząco potrząsnął głową, wyprostował się, uderzył dłońmi po kolanach i wyjął z dolnej szuflady biurka skrzypce.

Zobaczywszy to, uległem pokusie i znów usiadłem. Hase, wpatrując się we mnie w skupieniu, jak gdybym był stronicą z nutami, dotknął strun, przykręcił kołki i wypróbował smyczek:

- Jeśli tego nie da się słuchać, niech pan od razu powie.

Czekałem w milczeniu. Widok mężczyzny z żółtą twarzą i zapuchniętymi oczami, trzymającego skrzypce pod brodą i czyniącego przeróżne ruchy głową, żeby wygodniej ułożyć instrument, wywołał na mojej twarzy uśmiech, który Hase zauważył i natychmiast sam się uśmiechnął wyrozumiale i nieśmiało. Nie spodziewałem się dobrej gry po jego dużych dłoniach, toteż byłem zaskoczony, już pierwsze bowiem tony świadczyły o wysokiej klasie wykonawcy. Była to etiuda Szopena. Grając, Hase podniósł się i przez jakiś czas patrzył w róg kajuty za moimi plecami, potem jego błyszczący wzrok zatrzymał się na fotografii. Znów przeniósł go na mnie i kończąc grę, spuścił oczy.

Spencer doradza, by koncerty skrzypcowe urządzać w lokalach obitych cienkimi sosnowymi deskami z luzem szerokości pół stopy od głównej ściany, co ma na celu wywołanie rezonansu, który - jego zdaniem - jest konieczny przy ograniczonej mocy dźwięku skrzypiec. Ale nie każdej kompozycji służy owa recepta, są rzeczy, których siła polega na ich treści. Szept na ucho może wstrząsnąć jak grom, a grom - spowodować wybuch śmiechu. Ta namiętna etiuda i burzliwy sposób gry Hase'a wywołały atmosferę napięcia, jakim reagujemy na dźwięk orkiestry. Dwukrotnie Hase zachwiał się przy podrzutach statku, ale z niecierpliwością wracał do przerwanej gry. Usłyszałem ostre i dumne tony, skargę i wołanie; potem kilka warknięć, uśmiechów, cichnąca nuta przeszłości - Hase opuścił skrzypce i zaczął je z ponurą miną nastrojać, przy czym usiadł spoglądając na mnie pytająco.

Pochwaliłem jego grę. Jeśli nawet czuł się pochlebiony, niczym tego nie dał poznać. Znów ująwszy instrument, zaczął wygrywać dzikie fioritury, męczące, zgrzytliwe dysonanse - i na pozór tak go to pochłonęło, że zrozumiałem, iż powinienem odejść. Chciał się mnie pozbyć.

Widząc, że wstałem zdecydowanie, Hase opuścił smyczek i życzył mi przyjemnego spędzenia dnia - trochę drwiącym tonem, na który już teraz nie zwracałem uwagi. Ja też chciałem być sam, żeby przemyśleć to, co zaszło.

ROZDZIAŁ XIII

Szukając sposobności, by rozwiązać zagadką fotografii, chociaż nie miałem na to żadnych określonych nadziei ani obmyślonego planu, wyszedłem na pokład i usiadłem na szezlongu.

Jedynym człowiekiem, którego bez większych sprzeciwów moralnych mógłbym wciągnąć w interesującą mnie rozmowę, był Butler. Pałac cygaro czekałem na niego. Miałem przecucie, że Butler przyjdzie.

Tymczasem wypogodziło się, wiatr złagodniał, z powietrza znikła wilgoć, a blask słoneczny nabrał mocy; choć jeszcze całkiem nie przedarł się przez chmury, stał się cieplejszy w tonacji. Uplłynął kwadrans i Butler rzeczywiście zjawił się, jeśli nie pod gazem, to w każdym razie osłabiwszy skutki wczorajszego pijaństwa szklaneczką okazałych rozmiarów.

Wydało mi się, że był zadowolony ujrzawszy mnie. Nie tracąc czasu poczęstowałem go cygarem, zacząłem żywym, wesołym tonem opowiadać anegdotę, a kiedy zobaczyłem, że jego sztywność ustępuje, obejście staje się niewymuszone i że zaczyna mówić jasnymi, dość długimi zdaniem, oświadczyłem mu, że „Biegnąca po falach” jest najwspanialszym żaglowcem, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Byłby jeszcze lepszy - powiedział - oczywiście dla nas, gdyby mógł zabrać więcej ładunku. Jest tylko jedna ładownia. A i ta obliczona nie na transportowe operacje. Uzyskaliśmy coś niecoś usuwając wewnętrzne przegródki i w ten sposób zwiększając pojemność, ale i tak ładunek powyżej dwustu ton jest wykluczony. Obecnie, przy wysokiej cenie frachtów, można jakoś egzystować, ale w zeszłym roku Hase pozaciągał mnóstwo długów.

Dowiedziałem się również, że statek został zbudowany przez Neda Seniwella czternaście lat temu. Na dźwięk nazwiska „Seniwell” poczułem ucisk w gardle. Zachowałem uprzejmy, obojętny wyraz twarzy.

- Statek był zbudowany do przejażdżek - mówił Butler - i raz odbył podróż naokoło świata. Widzi pan, rzecz polega na tym, że nieżyjąca już żona Seniwella była spokrewniona z pierwszymi osiedleńcami, założycielami Hale-Gew; byli oni rozbitkami z brygantyny, która nazywała się tak samo jak i nasz statek - „Biegnąca po falach”. Jest to więc historia w pewnym sensie familijna i żona Seniwella wybrała dla statku tę samą nazwę. Jakies pięć lat temu, kiedy spadła cena bawełny, Ned Seniwell zbankrutował. Sprzedał okręt Hase'owi. Hase był od początku kapitanem „Biegnącej”; ja przyszedłem niedawno. Całą tę historię znam od Hase'a.

- A zatem - spytałem - Hase kupił statek po bankructwie Seniwella?

Butler się zmieszał i zaczął w milczeniu przyklejać śliną odstający liść cygara. To, co odpowiedział, nie było zręcznym wyjściem z sytuacji:

- Zdaje się, że teraz statek przeszedł na własność Browna. Zresztą sprawy pieniężne to nie moja rzecz.

Licząc na to, że w najbliższych dniach porozmawiamy bardziej szczegółowo, nie zadawałem więcej pytań na temat statku. Kto powiedział „a”, ten powie i „b”, jeśli go nie zamięczać. Skierowałem rozmowę na Hase'a, wyraziwszy bardzo delikatnie ubolewanie, mocno złagodzone w swoim sensie, że kapitan jest bezdietny i że z tego powodu jego życie pozbawione normalnych trosk o rodzinę jest zapewne trochę rozwiązłe.

- Dzieci?! - powiedział Butler robiąc okrągłe oczy. Był nieprawdopodobnie zdumiony. Myśl, że Hase mógłby mieć dzieci, zaskoczyła go .w najwyższym stopniu. - Ale on nigdy nie był żonaty. Co panu przyszło do głowy?

- To normalne. Byłem przekonany, że kapitan jest żonaty.

- Skądże. Może dlatego przyszło to panu na myśl, że widział pan na jego biurku fotografię kobiety; to jest właśnie córka Seniwella.

Milczałem. Butler zaczął się wpatrywać w czubek swego buta. Obserwowałem go uważnie. Na jego surowej, zamkniętej twarzy ukazał się uśmiech - raczej zapowiedź uśmiechu.

Nie oczekiwałem nadzwyczajnych konfidencji, czułem bowiem, że stanąłem tuż przed rozwiązaniem zagadki, o której, jako o czymś bez wątpienia intymnym, Butler raczej nie rozwodziłby się szczegółowo wobec mało znanego sobie człowieka. Po tym uśmiechu, jaki pojawił się na jego twarzy, ja sam uznałbym podobne wyjaśnienie za zdradę.

Butler mocniej zaciągnął się cygarem, strząsnął popiół z kolan i odszedł tłumacząc się pracą.

Zostałem sam. Zastanawiałem się, czy nie należałoby opowiedzieć mu o moim spotkaniu na brzegu z Biczem Seniwell, lecz przypomniałem sobie, że w gruncie rzeczy nic mi nie wiadomo, jakie stosunki łączą go z Hase'em. Mógł przecież powtórzyć tę rozmowę kapitanowi, powodując tym samym nowe komplikacje. Poza tym, niemal jednoczesne przybycie do Lissu dziewczyny i statku - czy nie odbyło się za wiedzą i zgodą obydwu stron?

Rozmowa z Butlerem doprowadziła mnie jak gdyby do zamkniętych drzwi, nie dając mi klucza do nich; dowiedziawszy się tego i owego, dalej wiedziałem bardzo niewiele o tym, dlaczego fotografia Bicze Seniwella zdobi biurko Hase'a. Stosunki pomiędzy ludźmi są niesłychanie różnorodne; stykałem się z faktami, kiedy olbrzymie zainteresowanie tajemniczą sytuacją rozbiło się o bardzo proste rozwiązanie, czasami o drobiazg. Z drugiej strony musiałem przyznać, że fotografia córki Seniwella, dziewczyny bardzo pięknej, o rzadko spotykanym uroku, nie mogłaby znajdować się u Hase'a, gdyby kapitan nie był zaangażowany uczuciowo. Przy tym wszystkim trudno było zakładać wzajemną bliskość tych dwojga tak niepodobnych istot.

Nie wyciągając ostatecznych konkluzji, to znaczy wyobrażając je sobie, lecz zostawiając pod znakiem zapytania, spostrzegłem, że moje rozmyślenia o Bicze Seniwell stały się subiektywne i niespokojne. Wspomnienie o niej budziło lęk; jeśli przelotne wrażenie, jakie wywarła na mnie jej osoba, było tak uporczywe, to bezpośrednia znajomość mogła wywołać uczucie jeszcze znacznie silniejsze i zapewne nękające jak choroba. Nieraz obserwowałem to zupełne wchłonięcie jednej istoty przez drugą. Bywałem w sytuacjach, które wymagały, bym dokładnie zdał sobie sprawę ze swego stanu, a ja nigdy nie potrafiłem ustalić, gdzie jest prawdziwe źródło owego bolesnego oddania, tak silnego, że nie było w nim żadnych intencji zdobywczych; spotkanie, spojrzenie, dotknięcie ręki, głos, śmiech, żart - już przynoszą tak ogromną ulgę w tym unieważniającym wszystko inne opętaniu jedyną istotą, że radość równa jest ocaleniu. Lecz ja znajdowałem się bardzo daleko od cudownego ocalenia i byłem spokojny, jeśli spokojem można nazwać uparte rozmyślanie, pozbawione dokuczliwej chęci ujrzenia obiektu tych rozmyślań.

Tymczasem słońce przedarło się wreszcie przez mgliste warstwy chmur; na rozmigotanym morzu tańczyła piana. Po chwili zszedłem na dół do siebie, gdzie, przez nikogo nie niepokojony, spędziłem na lekturze około trzech godzin. Czytałem dwie książki, jedna była w mej duszy, druga w rękach.

Zbliżała się pora obiadu, który według regulaminu okrętowego podawano o pierwszej w południe. Kołysało nie tak silnie, jak z rana. Postanowiłem zjeść obiad sam z tego względu, że wypadł w godzinach wachty Butlera, a więc musiałbym siedzieć z Hase'em i Sinkrite'em. Nigdy nie czułem się dobrze w towarzystwie ludzi wtedy, gdy głowiłem się nad jakimiś faktami z ich życia, nie mając możliwości wprost im o tym powiedzieć. Mam na myśli Hase'a, co się zaś tyczy Sinkrite'a, to jego płaszczący się uśmiech i lepkie spojrzenie były dla mnie nie do zniesienia.

Przywołałem Horacego i zakomunikowałem mu moją decyzję, dowiedziawszy się przedtem, że obiad będzie za niecałą godzinę, ponieważ zbliżamy się do Dagonu, gdzie, jak wiadomo, Hase miał zabrać ładunek żelaza.

Wkrótce podano mi obiad do kajuty. Zjadłem go i słysząc ożywienie na pokładzie, wyszedłem na górę.

ROZDZIAŁ XIV

„Biegnąca po falach” zbliżała się do zatoki, spoczywającej w szerokim objęciu cofniętego w głąb brzegu. Dochodził stamtąd zmacony, przerywany zgiełk. Hase, Butler i Sinkrite stali przy burcie. Załoga ściągała fały i brasy przechodząc od masztu do masztu.

Brzeg ciągnął się w mrocznej perspektywie kominów fabrycznych, opasanych warstwami czarnego dymu. Linia brzegu, gdzie posępne fasady domów, akwedukty, mosty, dźwigi, cysterny i magazyny tłoczyły się obok szyn kolejowych, przypominała jakiś groteskowy

szkic, tak tu wszystko było czarne od węgla i sadzy. Jęśliwy odgłos uderzeń w żelazo wpadał w ucho ze wszystkich stron. Nie ustający huk młotów parowych, cykady małych młoteczeków, przenikliwe zgrzytanie pił, niezmierzony turkot furmanek - wszystko to, kiedy się słuchało nie wyodrębniając dźwięków, było jednym wielkim krzykiem. Pośród huku metali setki kominów wypływały w spiesznym wystukiwanym rytmie zgniłą parę. Obok mol osłoniętych rusztowaniami, przypominającymi narzędzia tortur - takie mnóstwo haków i łańcuchów kołysało się na tych podobiznach wieży Eiffla - stały barki i statki rozsiewające tumany pyłu przy wyładunku węgla.

„Biegnąca po falach” rzuciła kotwicę. Żagle opadły, potem znikły. Spotkawszy Butlera zapytałem, czy długo będziemy stali w Dagonie. Odrzekł, że niedługo rozpocznie się załadunek i rzeczywiście nie minęło pół godziny, kiedy holownik podciągnął ku nam czworokątny ciężki barkas, a z jego ładowni tragarze zaczęli wnosić po trapie mocne drewniane skrzynie. Czysty pokład „Biegnącej” pokrył się błotem i kurzem. Poszedłem do siebie i tam przez pewien czas odbierałem monotony obraz dźwiękowy: tupot bosych nóg, stuk rzucanej na pochylnię skrzyni i ochryple głosy. Ciągnęło się to ze dwie godziny. Wreszcie nastąpiła względna cisza. Wszyscy robotnicy, jak to widziałem przez iluminator, zeszli na szkutę, a holownik pociągnął ją do portu. W jakiś czas potem do trapu spuszczonego po tej stronie statku, gdzie znajdowała się moja kajuta, podpłynęła łódź kierowana przez najemnego przewoźnika. Przeszła tak blisko iluminatora, że mogłem pobieżnie przypatrzeć się jej pasażerom. Były to trzy kobiety: rudowłosa, szczuplutka, z zaciśniętymi ustami i zmrużonymi oczami; tęga blondyna z arogancką miną oraz trzecia - blada, czarnowłosa, o nerwowej, astenicznej budowie ciała. Machając rękami trzy te kobiety wstały i spoglądając w górę wykrzykiwały jakieś śmiałe powitania. Na ramionach miały koronkowe narzutki, włosy upięte z wulgarnym szykiem, którym zwykło się olśniewać gości w pewnego typu lokalach; całe to towarzystwo ująwszy się teatralnie pod boki, mocno upudrowane, w jedwabnych sukniach, pierścionkach i naszyjnikach, szybko przemknęło na okrągłym ekranie przestrzeni, którą ukazywał iluminator. Zauważyłem tekturowe pudła i walizki. Hase przyjmował gości.

Nawet nie wychodząc na pokład mogłem sobie doskonale wyobrazić scenę powitania kobiet. Nie potrzeba było na to studiów obyczajowych. Gdy tak w myśli oglądałem kiepską zabawę w dobre maniere, jak również sztucznie akcentowaną galanterię - usłyszałem z daleka, że cała grupa zmierza powoli na dół. Drobne kroki kobiet i ciężkie stapania mężczyzn minęły moje drzwi, przy czym na czyjeś półgłosem wypowiedziane słowa rozległ się wybuch śmiechu.

W kajucie Hase'a stała fotografia nieznajomej dziewczyny. Uczestnicy orgii zebrali się w komplecie. Płynąłem na statku, którego historia była ciemna, a kapitan podejrzany, i oczekiwałem mających nadejść wydarzeń w imię celu mglistego i poczynającego zmieniać się w głos uczucia tyleż dziwnego w tych warunkach, co zazdrosna chęć usłyszenia, o czym ktoś szepce za ścianą.

We wszystkim krył się wielki i niebezpieczny sarkazm, z którego wylęgła się trwoga. Spodziewałem się, że Hase zachowa w swojej rozpuście przynajmniej pozory kurtuazji - tak sądziłem po pewnych jego cechach osobistych; lecz postępowanie Hase'a nie zapowiadało nic dobrego i to mnie utwierdziło w zamiarze kompletnej izolacji. Najbardziej ze wszystkiego dręczyła mnie myśl, że wychodząc w dzień na pokład narażę się na ryzyko, wbrew woli bowiem mogę być wciągnięty do obojętnej kompanii. Zostawał mi więc wczesny senny ranek i głucha noc.

Gdy tak rozmyślałem, zaczęło się ściemniać. Zgiełk od brzegu dochodził teraz bardziej przytłumiony; słyszałem, jak na rozkaz Butlera marynarze rozpinają żagle, czynią przygotowania do dalszej podróży. Winda zaczęła wyciągać kotwicę i zgrzytliwe pobrząkiwanie łańcucha kotwicznego było przez pewien czas dominującym dźwiękiem na statku. Na koniec statek wykonał obrót. Widziałem, jak czarny brzeg z plamami świateł ucieka w lewo, a ocean

rozściela czysty horyzont w poblaskach zachodu. Patrząc w iluminator, po ruchu fal biegnących wprost na mnie i cofających się daleko od burty, zorientowałem się, że „Biegająca” płynie dość szybko.

Z jadalni doleciał triumfujący okrzyk kobiety, później długo śmiał się Sinkrite. Korytarzem przebiegł Horacy dzwoniąc naczyniami. Usłyszałem, jak go besztano. Potem nagle za moimi drzwiami rozległy się kroki i ktoś zapukał. Natychmiast otworzyłem.

Był to wyperfumowany i o wiele pewniejszy siebie Sinkrite w pierwszym ferworze hulaszczego nastroju. Kiedy drzwi się otworzyły, z salonu wśród głośniejszej rozmowy dobiegło pobrzękiwanie gitar.

Pod wpływem mego wzroku Sinkrite zamknął drzwi i skłonił się z przesadną uprzejmością.

- Kapitan Hase prosi, by pan uczynił nam zaszczyt i raczył przyjść do stołu - oznajmił.

- Proszę wyrazić kapitanowi moje szczere podziękowanie - odparłem z niechęcią - niestety nie mogę przyjąć zaproszenia.

- Mam nadzieję, że da się pan przekonać - ciągnął Sinkrite - zwłaszcza że to nam wszystkim zrobi wielką przykrość.

- Wątpię, czy pan mnie przekona. Zamierzam spędzić dziś wieczór w samotności.

- Trudno! - rzekł ze zdziwieniem i wyszedł powtarzając: - Szkoda, wielka szkoda!

Przeżuwałem dalsze zamachy, wziąłem więc pióro, papier i usiadłem przy stole. Zacząłem pisać do Lercha, licząc na to, że wyślę ten list przy pierwszym postoju. Chciałem mieć większą sumę pieniędzy.

Gdy pisałem drugą stronicę, znów rozległo się natrętne stukanie do drzwi; nie czekając na pozwolenie do kajuty wszedł Hase.

ROZDZIAŁ XV

Odwróciłem się z nieprzyjemnym uczuciem zależności, jakiego doznaje każdy, kiedy gospodarze stają się bezceremonialni.

Hase był w smokingu. Z jego nienagannie eleganckim wyglądem dziko kłócił się pijacki grymas twarzy. Był straszliwie, na umór pijany. Podeszedł tak blisko, że wstałem i odsunąłem się w obawie, że się zatoczy, lecz on wsparł się prawą ręką o stół, a lewą pod bok. Dyszał nerwowo, usiłując stać prosto, i utrzymywał równowagę przy huśtaniu statku w ten sposób, że zginał i rozprostowywał kolano. Na to, że byłem zajęty pisaniem listu, Hase nawet nie zwrócił uwagi.

- Chce się pan zabawić? - rzekł mrugając do mnie znacząco, podczas gdy jego ostry, zimny wzrok badał mnie uważnie. - Pragnę, by stosunki między nami ułożyły się prosto i przyjaźnie. Nie ma sensu dalej się boczyć.

- Był tu Sinkrite - zauważyłem tonem możliwie najbardziej pokojowym. - Powtórzył panu zapewne moją odpowiedź.

- Nie uwierzyłem Sinkrite'owi, w przeciwnym razie nie byłbym tutaj - oświadczył Hase.

- Niech pan z tym skończy. Wiem, że jest pan na mnie zagniewany, ale każda waśń powinna mieć koniec. Tam jest pyszna zabawa.

- Kapitanie Hase - zacząłem starannie dobierając słów. Czuję przyływy wściekłości i nie chciałem mu ulec, widziałem jednak, że muszę położyć kres temu bezczelnemu wtargnięciu, przerwać scenę, dzięki której zaczynałem wyglądać na głupca w swoich własnych oczach. - Kapitanie Hase, proszę, by pan raz na zawsze zapomniał o mnie jako o towarzyszu pańskich uciech. Pański sposób spędzania czasu, jak sądzę, ma według pana i sens, i uspra-

wiedliwienie. Dalej nie mogę sobie pozwolić na roztrząsanie pańskich czynów. Jest pan gospodarzem i jest pan u siebie. Lecz ja również jestem człowiekiem wolnym i jeżeli pan to niezupełnie pojmuje, gotów jestem powtórzyć moje argumenty i dowieść, że mam słuszość.

Powiedziawszy to czekałem, że Hase warknie przeproszenie i opuści kajutę. Tymczasem on nie zmienił pozy, nie poruszył się, tylko zbladł jeszcze bardziej. Nieklamana, obłądana nienawiść świeciła w jego oczach. Westchnął i wsunął ręce do kieszeni.

Pan mi wyrządził zniewagę - wycedził powoli. - Jeszcze nikt... Dał mi pan odczuć pogardę i ostrzegam pana, że cios był celny. Tego panu nie wybaczę. A teraz chciałbym wiedzieć, jak pan sobie wyobraża nasze stosunki na przyszłość?! Chciałbym wiedzieć, tak! Mój rejs potrwa najmniej trzydzieści dni. Daję słowo, że pożałuje pan tego.

- Nasze stosunki są ściśle określone - powiedziałem, nie widząc sensu, by mu ustępować co do tonu. - Otrzymał pan dwieście funtów, przy czym nie targowałem się z panem. W zamian otrzymałem tę kajutę, lecz pańskie towarzystwo na dokładkę - czy to nie zbyt wielka kompensata?

Była chwila, kiedy śledząc wyraz twarzy Hase'a, myślałem, że będę musiał wyrzucić go za drzwi. Pohamował się jednak. Uporczywie patrząc mi w oczy wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni, powściągnął tam jej gwałtowne ruchy i rzekł wyniośle:

- Natychmiast cisnę panu te pieniądze z powrotem!

Wyjął rękę, która okazała się pusta, z gniewem opuścił ją i powtórzywszy, że zwróci zapłatę, dodał: „Nie będzie się pan chwalił swoimi pieniędzmi” - po czym wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Zamknąłem kajutę na klucz i stałem przy drzwiach, nasłuchując.

W jadalni nastąpiła względna cisza; melancholijnie dźwięczała gitara. Niektórzy z gości spacerowali, od czasu do czasu słyhać było rozmowę; jeszcze raz przeleciał Horacy, wołając w biegu: „Już, już, gotowe!” Wszystko wskazywało, że libacja bynajmniej nie ma się ku końcowi, lecz trwa w najlepsze. Potem usłyszałem głośną sprzeczkę, gorzki płacz kobiety i na zakończenie - chóralną pieśń.

Zmęczyło mnie nasłuchiwanie, usiadłem i pograżyłem się w myślach. Hase powiedział prawdę - trudno było w tych warunkach spodziewać się czegoś dobrego na przyszłość. Postanowiłem, że jeśli najbliższy dzień nie zmieni całej tej złowrogiej ohydy w bodajby pozór spokojnego życia - najlepiej dla mnie będzie, gdy opuszczę statek w najbliższym porcie. Byłem głęboko zaniepokojony zachowaniem się Hase'a. Choć nie znałem bezpośrednich przyczyn jego nienawiści do mnie, zdawałem sobie jednak sprawę, że tak być musi. Nienawiść ta była naturalna. Hase nie rozumiał mnie, ja nie rozumiałem jego, toteż przy jego charakterze musieliśmy się znaleźć na stopie wojennej. Z gniewem, z przykrym uczuciem, jakie mi zostawiła skandaliczna scena, położyłem się, ale w ubraniu, gdyż nie wiedziałem, co jeszcze może się zdarzyć.

Zamknąłem oczy, lecz zaraz znów je otworzyłem. W moim obecnym stanie sen był pomysłem wspaniałym, lecz naiwnym. Leżałem tak długo, jeszcze raz zastanawiając się nad zajściami tego wieczoru, a także nad jutrzejszymi wyjaśnieniami między mną a Hase'em, które uważałem za nieuniknione. Powziąłem w końcu nadzieję, że kiedy Hase oprzytomnieje - jeżeli tylko zdoła oprzytomnieć - potrafię go zmusić do ekspiacji za dziki wybryk, którego bodaj czy już teraz nie żałuje. Niestety bardzo mało znałem tego człowieka!

ROZDZIAŁ XVI

Minęło około piętnastu minut od chwili, kiedy nieco uspokojony, wyobraziłem sobie taką ewentualność. Nagle hałas, od którego oddzielał mnie korytarz i który dochodził jak gdyby zza ściany, przeniósł się na korytarz. Wszyscy lub prawie wszyscy wyszli z salonu, kręcąc się pod moimi drzwiami i wydając okrzyki groźby i przerażenia. Słyszałem każde słowo.

- Proszę ją zostawić! - krzyknęła kobieta.

Druga gniewnie powtarzała:

- Ty głupia, głupia! Po co cię tu diabli z nami przynieśli?

Rozległ się płacz, szarpanina; potem przeraźliwy, histeryczny krzyk:

- Ja nie mogę, nie mogę! Precz, precz do diabła, proszę mnie nie dotykać!

- Milcz! - wrzasnął Hase. Widocznie zaciskał jej usta. - Chodź tu. Bierz ją, Sinkrite!

Szarpanina, milczenie, szuranie nogami o ścianę, przyspieszony oddech wskazywały, że ktoś chce gwałtem złamać czyjś upór lub innego rodzaju sprzeciw. Potem długi, niesamowity pisk przerwany krzykiem Hase'a: „Ona gryzie, diabolic!” - i haniebny odgłos siarczystego policzka, który rozległ się wśród gwałtownych szlochów. Szloch przeszedł w wycie - otworzyłem więc drzwi.

Moje nagłe pojawienie się sprawiło, że gorszące widowisko na krótką chwilę jak gdyby zamarło. Na tylnym planie w drzwiach salonu stał ponury Butler, obejmując w pół zarumienioną blondynkę, i obserwował zajście z niezmaconym spokojem ulicznego przechodnia. Hase włókł do salonu ciemnowłosą dziewczynę. Ciągnął ją za rękę. Stanik miała rozpięty, suknia zsunęła się jej z ramion, a ona, zupełnie oszalała, pijana, z zamkniętymi oczami, łkała spazmatycznie; usiłując wyrwać się, prawie że padała na Sinkrite'a, który, ujrawszy mnie, puścił drugą rękę ofiary. Ruda kobieta, nonszalancko ująwszy się pod boki, z pogardliwą miną patrzyła na ciemnowłosą i paliła papierosa odrywając rękę od ust gwałtownym gestem istoty pijanej.

- Czas zakończyć ten skandal! - powiedziałem twardo. - Dość tej ohydy. Hase, pan uderzył tę dziewczynę.

- Precz! - wrzasnął pochyliwszy głowę.

Równocześnie puścił rękę dziewczyny, która nie spodziewając się tego, okręciła się w kółko i uderzyła plecami o ścianę. Oczy jej rozwarły się dziko. Wyglądała żałośnie, zmięta i sinoblada.

- Bydle! - mówiła ochryple, łapiąc oddech i wskazując palcem na Hase'a. - To on! Ty łajdaku! Niech pan posłucha, jak to było - zwróciła się do mnie. - Założyliśmy się. Ja przegrałam. Ten, kto przegra, miał wypić butelkę. Ja więcej pić nie mogę. Niedobrze mi. Wypiłam tyle, że daleko im do mnie, tym łachudrom. Gwałtem nic się u mnie nie wskóra. Chora jestem.

- No, idziesz? - powiedział Hase chwytając ją za szyję.

Zachnęła się i plunęła mu w twarz. Zdażyłem złapać kapitana za rękę w chwili, gdy jego wzniesiona pięść mignęła przede mną.

- Proszę stąd odejść, proszę odejść - zawołał przestraszony Sinkrite. - To nie pańska rzecz!

Mocowałem się z Hase'em. Dziewczyna, widząc, że stanąłem w jej obronie, wywinęła się i schowała za moimi plecami. Hase zgiał się i rozpaczliwym wysiłkiem wyrwał mi swoją rękę. Był w ślepej furii. Trzęsły mu się ramiona, ręce; rozdygotaną twarz wykrzywił grymas. Zamachnął się; cios trafił mnie w łokieć lewej ręki, którą osłoniłem głowę. Wówczas, ze szczerym żalem rezygnując z postawy pokojowej, zmierzyłem wzrokiem odległość i trzasnąłem go prosto w usta; runął jak długi, stuknąwszy głową.

- Dość! dość! - krzyknął Butler.

Kobiety wrzasnęły i uciekły. Butler stanął między mną a powalonym kapitanem, którego Sinkrite przytrzymał pod pachy i usiłował oprzeć o ścianę. Wreszcie Hase otworzył oczy i podgiął nogę; widząc, że żyje, wszedłem do kajuty i przekręciłem klucz.

Rozmawiali we trzech za drzwiami, od czasu do czasu słyszałem dosadne przekleństwa. Rozmowa przeszła w podejrzany szept; potem któryś z nich wydał krótki okrzyk zdziwienia i dość szybko ruszył na górę. Zdawało mi się, że to Sinkrite. Przez ten czas przygotowałem rewolwer, ponieważ należało oczekiwać dalszego ciągu. Jakkolwiek honor nakazywał mi stanąć w obronie kobiety - bez względu na jej reputację - w moich uczuciach powstał obrzydliwy cierpki osad.

Usłyszałem kroki wracającego Sinkrite'a. Upewniłem się, że to on, gdy powiedział głośno:

- Swoją drogą nasz pasażer nie fajtłapa! I prawdę powiedziawszy, pan pierwszy zaczął.

- Tak, uniosłem się - przyznał z westchnieniem Hase. - No cóż, zostałem słusznie ukarany; nie powinienem tak się zapominać. Zachowałem się niegodziwie. Jak pan myśli, co teraz począć?

- Dziwne pytanie. Na pańskim miejscu natychmiast załagodziłbym całą historię.

- Niech pan uważa, Hase! - odezwał się Butler i zniżywszy głos dodał: - Mnie tam wszystko jedno, ale niech pan weźmie pod uwagę to, co powiedziałem. I niech pan pamięta.

Hase roześmiał się ironicznie.

- Doprawdy! - powiedział. - Zrobię to natychmiast.

Podszedł do moich drzwi i zastukał pięścią z determinacją natury nerwowej i szczerzej.

- Kto tam? - zapytałem przyjmując za dobre tę niedorzeczną grę.

- To ja, Hase. Proszę otworzyć bez obawy. Żałuję tego, co się stało.

- Jeśli pan rzeczywiście żałuje - odparłem, niezbyt wierząc w jego deklarację - niech pan mi to powie, lecz jutro z rana.

Rozległ się dziwny odgłos, przypominający zgrzytnięcie.

- Słyszysz pan? - zapytał Hase ponuro, przygnębionym tonem. - Przysięgam panu. Może mi pan zaufać. Wstyd mi za siebie. Gotów jestem zrobić wszystko, czego pan sobie życzy, byle tylko móc natychmiast uściskać pańską dłoń.

Wiedziałem, że ci, których obito, często nabierają szacunku i - choć to bardzo dziwne - czasem nawet sympatii do tych, którzy im fizycznie przemówili do rozumu. Wnioskując z tonu i treści natarczywych zapewnień Hase'a, uważałem, że dalszy sprzeciw byłby zbytecznym okrucieństwem. Otworzyłem drzwi i nie wypuszczając rewolweru stanąłem na progu.

Spojrzenie Hase'a wyjaśniło wszystko, lecz było już za późno. Sinkrite przytrzymał drzwi. Pięciu lub sześciu marynarzy, którzy zapewne zesłi cichaczem, ponieważ nie słyszałem ich kroków, stało w pogotowiu czekając na rozkaz. Hase ocierał chusteczką spuchniętą wargę.

- Zdaje się, że byłem na tyle głupi, by panu uwierzyć - powiedziałem.

- Trzymajcie go - Hase zwrócił się do marynarzy. - Odbierzcie mu rewolwer!

Zanim kilka rąk zdążyło uwięzić moją rękę, wywinąłem się i strzeliłem dwukrotnie, lecz Hase zgiął się tylko i uskoczył w bok. Szturchańce utrudniły mi celowanie. W następnej chwili byłem rozbrojony i przyciśnięty do ściany. Trzymali mnie tak mocno, że mogłem tylko poruszyć głowę.

- Pan mnie uderzył - powiedział Hase. - Przez cały czas znieważał mnie pan. Dał mi pan do zrozumienia, że go ograbiłem. Zachowywał się pan tak, jak gdybym był pańskim sługą. Wpakował mi się pan na kark, a teraz usiłował mnie pan zabić. Ja pana nie tknę. Mógłbym pana zakuć i wrzucić do ładowni, lecz nie zrobię tego. Opuści pan niezwłocznie statek. Nie głową w dół - nie jestem tak okrutny, jak bają o mnie różni durnie. Dam panu łódź i wiosła. Ale dłużej nie chcę pana tu widzieć.

Tego się nie spodziewałem i choć byłem poważnie zaniepokojony, gniew mój osiągnął

już to stadium, że wolałem wszystkie niebezpieczeństwa morza i lądu niż dalsze szyderstwa Hase'a.

- Pan knuje morderstwo - powiedziałem. - Lecz proszę pamiętać, że do Dagonu jest najwyżej sto mil i jeśli dostanę się na brzeg, odpowie pan za wszystko przed sądem.

- Chętnie służę - odparł Hase. - Za tak niepowszednią przyjemność gotów jestem zapłacić głową. Proszę jednak nie zapominać, w jakich niezwykłych okolicznościach znalazł się pan na statku. Są na to świadkowie. Opuścić „Biegnącą po falach” p o t a j e m n i e to całkiem w pańskim stylu. B ę d ą na to świadkowie.

Deklamował rozkoszując się groźną rolą i nie licząc się z niczym. Spojrzałem na marynarzy. Była to podchmielona ponura zgraja, która nie miała nic do stracenia, nawet gdyby kazano im mnie powiesić. Tylko milczący dotychczas Butler zdobył się na protest:

- Czy to trochę nie za wiele, kapitanie?

Hase zmierzył go takim wzrokiem, że tamten splunął i odszedł. Kapitan był całkiem niepoczytalny. Dziwna rzecz, ale właśnie słowa Butlera umocniły mnie w postanowieniu, by wsiąść spokojnie do łodzi. Żadne prośby nie zdołałyby mnie teraz zatrzymać. Oburzenie moje było bezmierne i głuche na głos rozwagi.

- Dawaj łódź, nędzniku! - powiedziałem.

Szybko wyszliśmy na pokład. Było ciemno, lecz zaraz przyniesiono latarnię. „Biegnąca” położyła się w dryf. Wszystko to odbywało się w milczeniu - takie odnosiłem wrażenie - znajdowałem się bowiem w stanie pełnej napięcia, bolesnej izolacji. Marynarze przynieśli moje rzeczy. Nie liczyłem ich i nie sprawdzałem. Znaczenie tego, co się działo, mgliście majaczyło w dalekim zakątku świadomości. Spuszczono talię, wszedłem do łodzi zawieszanej nad wodą. Ze mną wszedł marynarz powtarzając wystraszonym głosem: „Niech pan patrzy, tu są wiosła”. Potem czyjeś ręce wrzuciły mój bagaż. Postaci przy burcie nie rozróżniałem. „Z diabłem!” - krzyknął Hase. Marynarz z latarnią, której jasne światło stwarzało w łodzi dziwnie zaciszny nastrój, trzymał się burty czekając, kiedy spuszczą mnie na wodę. Wreszcie łódź poszła uderzywszy o poddającą się, gładką falę. Zaczęło kołysać. Marynarz odczepił talię i zniknął wdrapując się po niej na górę.

Wszystko było skończone. Fale odniosły już łódź od statku, tak że widziałem jakby po drugiej stronie ulicy rząd okrągłych oświetlonych okien niskiego domu.

ROZDZIAŁ XVII

Wstawiłem wiosła, lecz siedziałem dalej nieruchomo w mimowolnym i bezcelowym oczekiwaniu. Wtem na pokładzie rozległy się wołania, krzyki, klótnia i gwar, tak raptowne i głośnie, że nie rozumiałem, o co chodzi. Wreszcie usłyszałem władczy głos kobiety, który wymówił ostro i chłodno:

- To moja rzecz, kapitanie Hase. Dość, że ja tego żądam!

We wszystkim, co usłyszałem dalej, brzmiało zdumienie i wściekłość. Hase krzyknął:

- Hej tam, na łodzi! Zabierać ją! - I dodał zwracając się do kogoś: - Nie mam pojęcia, gdzie on ją ukrywał!

Znów krzyknął do mnie, tak samo, jak za pierwszym razem, bezosobowo:

- Hej tam, na łodzi!

Nie zaszczyliłem go odpowiedzią.

- Niech pani sama mu powie, do diabła! - krzyknął.

- Harvey! - zabrzmiał świeży, jak gdyby znajomy głos niewidocznej kobiety.- Niech pan skieruje łódź do trupu, zaraz go spuszczą. Idę z panem.

Nic nie rozumiejąc, zdawałem sobie jednocześnie sprawę z tego, że nie mógł to być głos żadnej z kobiet należących do towarzystwa Hase'a. Nie wahałem się ani chwili, przedłożyć bowiem łódź nad bezpieczny statek może tylko ktoś znajdujący się w sytuacji nad wyraz trudnej, zagrażającej jego życiu. Trap stuknął przy opuszczeniu i spadłszy ukośnie w dół, dotknął wody. Podpłynąłem bliżej i uchwyciłem się go, patrząc w górę aż do bólu w źrenicach, nie mogłem jednak rozróżnić postaci.

- Niech pan zabiera swoją damę - powiedział Hase. - Widzę, że z pana szczwany lis.

- Niech go diabli, jeżeli zrozumie, jak on to wykombinował! - wykrzyknął Sinkrite.

Nie słyszałem kroków. Na dolnym szczeblu ukazała się smukła zakwefiona postać, machnęła ręką i skoczyła do łodzi zwinnym ruchem. Na dole było widniej, niż kiedy patrzyłem w górę na pokład. Kobieta, spojrzawszy na mnie badawczo, poruszyła nerwowo rękami pod otulającym ją płaszczem i siadła na ławeczce vis-à-vis mnie. Jej twarzy, ukrytej pod koronkowym rąbkiem zasłony, nie widziałem, pochwyciłem tylko błysk czarnych oczu. Odwróciła się i patrzyła na statek. Ciągle jeszcze trzymałem się trapu.

- Jak to się stało? - zapytałem, tracąc głowę ze zdziwienia.

- Co za bezczelność! - zawołał Hase z góry. - Płyńcie, dokąd się wam podoba, z całego serca życzę, byście się stali żerem dla rekinów!

- Morderco! - krzyknąłem. - Odpowiesz jeszcze za tę podwójną nikczemność! A ja ci życzę, żebyś jak najprędzej dostał kulę w łeb!

- On dostanie kulę - spokojnie, niemal z roztargnieniem oświadczyła nieznajoma, aż się wzdrygnąłem. Jej obecność zaczynała mnie męczyć, szczególnie ten chłodny, nieustraszony wzrok.

- Od statku! - powiedziała nagle i zwróciła się ku mnie. - Niech pan się odepchnie wiosłem...

Odepchnąłem się i fala uniosła łódź. Grad docinków posypał się z pokładu. Nadto były nikczemne, by je tutaj powtarzać. Głosy i światła okrętowe oddaliły się. Wiosłowałem machinalnie patrząc, jak statek nastawiwszy żagle rozwinął szybkość. Wkrótce światła zmalowały przypominając rząd iskier.

Wiatr dał nam w plecy. Według moich obliczeń za dwie godziny powinno świtać. Spojrzawszy na świecąca tarczę zegarka stwierdziłem, że była za pięć minut czwarta. Spokojna fala nie przedstawiała niebezpieczeństwa. Miałem nadzieję, że przygoda, mimo wszystko, zakończy się pomyślnie, ponieważ wiedziałem z rozmów na „Biegnącej”, że w tej części oceanu między Haribą a półwyspem jest wyjątkowo ożywiony ruch. Lecz najbardziej nurtowało mnie teraz pytanie, kto i dlaczego wsiadł do mej łodzi w tę niesamowitą noc.

Tymczasem zaczęło się chyba rozwidniać, w każdym razie było jaśniej. Fale połyskiwały jak ciemne szkło. Już chciałem zwrócić się z całym mnóstwem naturalnych i zrozumiałych pytań, gdy kobieta przemówiła:

- Co pan teraz czuje, Harvey?

- Pani mnie zna?

- Wiem, jak pan się nazywa; powiem też panu moje nazwisko: Fraisy Grant.

- Raczej ja winienem zapytać panią - powiedziałem znowu dziwiąc się jej spokojnemu tonowi - tak, właśnie zapytać, jak pani się czuje po swoim rozpaczliwym postępku, dzięki któremu znalazła się pani przy mnie w tej łodzi pośrodku oceanu? Byłem wstrząśnięty; teraz jestem w dodatku oszołomiony. Nie widziałem pani na statku. Czyż mam przypuszczać, że trzymano panią przemocą?

- Przemocą?! - roześmiała się cicho i figlarnie. - O nie, nie! Nikt i nigdzie nie mógłby zatrzymać mnie przemocą, gdziekolwiek by to było. Nie słyszał pan, co krzyczeli do pana z pokładu? Mają pana za spryciarza, który ukrył mnie w ładowni czy też gdzie indziej, i uważali, że nie chcą pana opuścić.

- Nie mam prawa wiedzieć nic o pani wbrew jej woli. Jeśli pani zechce, sama mi opo-

wie.

- O, to nieuniknione, Harvey. Ale jeszcze poczekajmy. Dobrze?

Przypuszczając, że jest zdenerwowana, choć zadziwiająco panuje nad sobą, zapytałem, czy nie napiłaby się dla wzmocnienia nerwów trochę wina, które miałem w kufrach.

- Nie - powiedziała. - Nie potrzebuję tego. Ale pan zapewne chciałby zobaczyć, jak wygląda pańska nieproszona towarzyszka. Tu jest latarnia.

Przebiegła się w tył i wydobyła z kambuza na rufie latarnię, w której znajdowała się świeca. Rzadko odczuwałem takie wzburzenie, jak w owej chwili, kiedy podałem jej zapalki i czekałem, aż zapali światło.

Kiedy to robiła, widziałem delikatną rękę i żelazną oprawę latarni ożywiającej się wewnątrz jasnym światłem. Pełgające cienie pomknęły w łodzi. Wówczas Fraisy Grant zatrzasnęła wieko latarni, postawiła ją między nami i zrzuciła koronkową zasłonę. Zawsze ją będę pamiętał taką, jaką widziałem w tej chwili.

Odblask światła otaczał ją kręgiem i nikał w załamaniach fal. Regularna, prawie okrągła twarz z pięknym subtelnym uśmiechem grała czarującą zmiennością wyrazu, co w danej chwili oznaczało, że bawi ją moje rosnące zdumienie. Ale w czarnych oczach był jakiś nieruchomy punkt; oczy, jeśli im się dokładniej przypatrzeć, mówiły o dręczącym, groźnym uporze, o przedziwnej zaciętości, o milczeniu - większym niż milczenie zaciętych warg. W czarnych włosach lśniły perły grzebieni. Koronkowa suknia w odcieniu kości słoniowej, odsłaniająca smukłe ramiona, białości równie nieskazitelnej jak twarz, spływała wokół jej kibici szerokim wachlarzem, a z jego piany wysuwała się kołyszącym ruchem maleńka stopa w złotym pantofelku. Siedziała wsparta rękami o daszek na rufie, z lekka pochylona ku mnie, jak gdyby chciała, bym lepiej mógł się przyjrzeć jej zaskakującej piękności. Rzekłbyś - nie wśród niebezpieczeństw nocy na morzu, lecz w dalekim zakątku królewskiego pałacu, zmęczona muzyką i tłumem spoczęła ta urzekająca postać.

Patrzyłem dziwiąc się, że nie szukam wyjaśnienia. Wszystko uleciało, zmieniło się we mnie i choć uczucia reagowały bezbłędnie, ich natężenie pokonało wszelką myśl. Słyszałem bicie mego serca w piersi, szyi, skroniach; łomotało raz szybciej, raz wolniej, szybciej i wolniej. Nagle ogarnął mnie strach, zatrzęsł mną i znikł.

- Niech się pan nie boi - powiedziała ona. Głos jej się zmienił, zabrzmiał dla mnie jak sygnał i przypomniałem sobie, k i e d y go słyszałem. - Niedługo pana opuszczę, ale proszę słuchać, co powiem. Kiedy zacznie świtać, niech pan weźmie kierunek na południe i wiosłuje szybko, ile sił w ramionach. O wschodzie słońca spotka pan żaglowiec, który zabierze pana na pokład. Statek płynie do Hale-Gew i kiedy pan tam przybędzie, zobaczymy się znowu. Nikt nie powinien wiedzieć, że byłem z panem, poza jedną osobą, która na razie pozostaje w cieniu. Pragnie pan zobaczyć Biczę Seniwell i spotka ją pan, lecz proszę pamiętać, że n i e w o l n o o p o w i a d a ć j e j o m n i e. Byłem z panem dlatego, żeby pan nie odczuwał grozy i osamotnienia.

- Noc ciemna - powiedziałem, z trudem podnosząc wzrok, ponieważ zmęczyłem się patrzeniem. - Fale, nic, tylko fale dokoła!

Ona wstała i położyła mi dłoń na głowie. Jak marmur świeciła jej ręka.

- Dla mnie tam - była cicha odpowiedź - same tylko fale, a pośród nich jedna jest wyspa; jaśnieje wciąż dalej, wciąż silniej. Ja śpieszę, biegnę; zobaczę ją o świcie. Żegnaj! Czy ciągle jeszcze splata pan swój wieniec? Czy błyszczą kwiaty w tym wieńcu? Nie smutno panu na ciemnej drodze?

- Cóż mam pani odpowiedzieć? Pani jest tutaj, i to starczy za odpowiedź. Gdzie leży wyspa, o której pani mówi? Dlaczego pani jest sama? Co pani grozi? Co panią chroni?

- O - powiedziała smutno - niech pan nie rozmyśla o ciemności. Jestem posłuszna sobie i wiem, czego chcę. Lecz o tym mówić nie wolno.

Świeca paliła się płomieniem; jego blask tak oślepił, że znów odwróciłem oczy.

Zobaczyłem czarne płetwy przecinające fale na podobieństwo pław; ich drapieżne ruchy dokoła łodzi, ich niespokojne miotanie się w tył i wprzód napawały grozą.

- Kto to? - zapytałem. - Co to za potwory dokoła nas?

- Niech pan nie zwraca na nie uwagi i nie boi się o mnie - odrzekła. - Kimkolwiek byłyby w swojej pożądlivej nadziei, ani tknąć mnie, ani wyrządzić mi krzywdy już więcej nie mogą.

Kiedy to mówiła, podniosłem oczy.

- Fraisy Grant! - zawołałem przejęty smutkiem i żalem. - Wróć!...

Była na wodzie, niedaleko, z prawej strony i fala unosiła ją powoli. Oddalała się, na wpeł odwrócona i podniósłszy rękę spoglądała na mnie, jak gdyby odchodziła od łóża śpiącego lękając się zbudzić go nieostrożnym ruchem. Widząc, że patrzę za nią, skinęła ręką i uśmiechnęła się.

Już coraz słabiej dostrzegałem, jak szybko i lekko biegnie w dal - niby dziewczyna w ciemnej, ogromnej sali.

I od razu diabelskie płetwy rekinów czy innych monstrualnych stworów, ukazujące się niby czarne, tnące od dołu skalpel, zawróciły na łeb, na szyję w tamtą stronę, gdzie skryła się Fraisy Grant, biegnąca po falach, i śmignąwszy gwałtownymi susami, znikły.

Byłem sam; kołysałem się na falach i wpatrywałem się w latarnię; świeca w niej dogorywała.

Tłum myśli przeleciał i ucichł. Przez pewien czas nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię i gdzie się znajduję; później świadomość ta zaczęła się pojawiać fragmentarycznie. Chwilami usiłowałem zrozumieć, przypomnieć sobie - z kim i kiedy siedziała w łodzi młoda kobieta w koronkowej sukni.

Zacząłem z wolna wiosłować, ponieważ ocean zmienił wygląd. Niewyraźnie zarysował się obszar fal; daleko nad nimi ruszyła świetlista lawina wschodu, wymierzywszy naprzód jaskrawe kopie nacierającego spoza chmur światła. Teraz już wiedziałem, gdzie jest południe. Chmury przemknęły jak żagle obok wschodzącego słońca. Fale zaśniły, ciepły wiatr zmagął się z chłodem, wreszcie promienie ranka rozpedziły widmowy nastrój przedświtu i zaczął się dzień.

Teraz nie odczuwałem już tak żywego związku z nocną sceną, jak w momencie jej przeżywania, a każda upływająca chwila coraz bardziej zwiększała ten dystans - tak jak między pociągiem a uroczym krajobrazem, który mignął w jego oknie i ledwie zdążył się ukazać, już pomknął w otchłań horyzontu. Zdawało mi się, że upłynęło kilka dni i że ledwie sobie coś przypominam. Doznanie zostało rozsądzone na skutek swojej własnej siły. Ten olbrzymi dystans w czasie nastąpił szybciej, niż wiatr wyrывa chustkę z rąk. Nie byłem wtedy zdolny uświadomić sobie jasno stanu mego ducha. Przeszedłem drogę skomplikowaną i trudną, nie do powtórzenia nawet przy najwyższej ekscytacji umysłu. Byłem sam w łodzi, wiosłowałem na południe i z zamyślnym uśmiechem wpatrywałem się w wodę, jak gdybym rzeczywiście spodziewał się dostrzec ślad maleńkich stóp Fraisy Grant.

Poczułem pragnienie, a ponieważ beczułka na wodę okazała się pusta, opróżniłem do dna butelkę wina. Tym razem nie wywarło takiego skutku jak zwykle. Mój stan nie był ani normalny, ani zbytnio odbiegający od normalnego - szczególny stan, który z niczym nie da się porównać, chyba tylko z wyjściem z mrocznych pieczar na życzliwą trawę. Wiosłowałem na południe, bacznie obserwując horyzont.

O jedenastej dwadzieścia na widnokręgu pojawiły się ukośne żagle. Był to zapewne niewielki statek idący przy półwietrze na południowy zachód, jak wskazywało położenie żagli. Przyjrawszy mu się przez lornetę, obliczyłem, że płynąc pod kątem do linii jego kursu, mogę spotkać go najdalej za trzydzieści, czterdzieści minut. Był porządnie naładowany, szedł równo, z niewielkim przechyłem.

Wkrótce zauważyłem, że mnie dostrzeżono z pokładu. Statek wykonał obrót i ruszył w

moim kierunku, a ja również wiosłowałem ze wszystkich sił. Kiedy się zbliżyłem na odległość głosu, mogłem rozróżnić już bez posługiwania się lornetą kilku ludzi, patrzących w moim kierunku. Jeden, z lunetą przy oku, chwycił za ramię swego sąsiada wskazując mnie ręką. Przez pewien czas pojawienie się statku wydawało mi się czymś nierealnym, dopiero kiedy zacząłem rozróżniać twarze, ocknąłem się i uprzytomniłem sobie swą sytuację. Statek położył się w dryf, przygotowując się do zabrania mnie; miałem przed sobą dziesięć minut szybkiego wiosłowania. Podpływając do statku zobaczyłem ośmiu ludzi, między nimi kobietę siedzącą bokiem na burcie i trzymającą się wanty. Z ich twarzy wyczytałem, że wszyscy są w najwyższym stopniu zdumieni.

Kiedy odległość pomiędzy mną a szkunerem pozwalała już na rozmowę, nie zdążyłem odezwać się pierwszy. Ledwie otworzyłem usta, zawołano, bym szybciej podpływał. Następnie przy wtórze współczujących okrzyków na dno łodzi upadła cuma rzucona przez jednego z marynarzy, ja zaś przeciągnąłem ją przez pierścień na dziobie.

- Wszyscy zatonęli prócz pana? - zapytał mnie niedźwiedziowaty szyper, kiedy wchodziłem po spuszczonej trapie.

- Ile dni na morzu? - wtrącił drugi marynarz.

- Nie rzucajcie się od razu na jedzenie! - powiedziała załężnionym tonem kobieta. Okazało się, że była to młoda dziewczyna; lewe oko miała przewiązane czarną chusteczką. Zdrowe błękitne oko patrzyło na mnie z przestachem i zachwytem.

Wszedłszy na pokład zachwiałem się przypadkowo i natychmiast zostałem podtrzymany.

- Moja przygoda jest zupełnie wyjątkowa- oświadczyłem. - Pozwólcie mi spocząć. - Usiadłem na odwróconym wiadrze, które mi niezwłocznie podsunęli. - Dokąd płyniecie?

- On nie jest taki słaby! - zauważył szyper.

- Płyniemy do Hale-Gew - oznajmiło błękitne oko. - Jest pan teraz bezpieczny. Przyńsioś whisky.

Przyjrzałem się tym pocziwcom. Wszyscy byli przejęci tym, co się zdarzyło. Dopiero po pewnym czasie oswoili się z moją obecnością, która ich tak bardzo wytrąciła z równowagi, i wtedy przystąpiliśmy do wyjaśnień.

ROZDZIAŁ XVIII

Statek, który mnie zabrał na pokład, nazywał się „Nurek”. Płynął z San-Riol do Hale-Gew z ładunkiem szylkretu. Szyper i w jednej osobie właściciel statku, Fineasz Proktor, miał sześciu ludzi załogi; jednym z nich był zastępca Proktora, Ned Tobbogan, wyjątkowo mało-mówny mężczyzna około trzydziestki, piękny, o smagłej cerze. Dziewczyna z opaską na oku była siostrzenicą Proktora i udała się w drogę dlatego, że Tobbogan, jej oficjalny narzeczony, nie mógł się z nią rozstać; jak się dowiedziałem później, nie mniej ważną przyczyną było to, że Tobbogan żywił nadzieję zaślubienia Daisy w Hale-Gew. Słowem, powody były wyraźne i znaczne. Korzystając z okazji, że mają na statku kobietę, choćby nawet kuzynkę, Proktor zachował w kieszeni pensję kucharza, odprawivszy go pod niewinnym pozorem; strawę gotowała Daisy. Po tych wyjaśnieniach wracam do przerwanej opowieści.

Przez ten czas, gdy rozmawiałem z załogą „Nurka”, moja łódź została podciągnięta do rufy, umocowana na bloku i ustawiona obok szalupy „Nurka”. Bagaż mój leżał już na pokładzie u moich nóg. Tymczasem żagle chwyciły wiatr i szkuner ruszył zgodnie ze swoim kursem.

- No - powiedział Proktor, kiedy wszyscy odzyskaliśmy jaką taką równowagę - proszę

nam teraz wytłumaczyć, skąd się pan wziął i co pan za jeden.

- Jest to historia, która pana zadziwi - odpowiedziałem wyraziwszy mu najpierw swą wdzięczność mocnym uściskiem dłoni. - Nazywam się Harvey. Płynąłem tak jak i pan do Hale-Gew na statku „Biegąca po lalach” należącym do kapitana Hase'a. Wczoraj wieczorem, po bardzo poważnym zajściu, zostałem wysadzony w łodzi na morze.

W mojej sytuacji należało być szczerym omijając podtekst całej historii. A zatem wszystko wyglądało naturalnie i prosto: wsiadłem na okręt za opłatą (nie wymieniając cyfry napomknąłem, że była ona przyzwoita i uiszczona w terminie). Musiałem również wymyślić cel, dla którego wybrałem się w podróż, aby umożliwić sobie szczerotę w obecnej sytuacji. Na innym miejscu i komuś innemu opowiedziałem prawdę, sądziłem bowiem, że... Jednym słowem, załoga „Nurka” tylko czasami nabijała fajki, żeby z tym większym zapałem słuchać mojej relacji. Uwierzyli mi, ponieważ nie ukrywałem tej prawdy, której się spodziewali.

Pragnąłem (tak brzmiało moje wyjaśnienie) praktycznie zaznajomić się z operacjami handlowymi zagłowca, a także zbadać potrzeby i sytuację na rynku w bezpośrednich kontaktach handlowych. Pomysł był fortunny. Proktor, rosły szpakowaty mężczyzna z twarzą spokojną o gładko napiętych mięśniach, wtrącił od razu:

- To była słuszna myśl. Zawsze mówiłem, że jak się siedzi na miejscu i czyta biuletyny giełdowe, to akurat można kupić bawełną zamiast konopi albo melasy.

Reszta w moim opowiadaniu mogła zostać nie sfalszowana, toteż kiedy wtajemniczyłem słuchaczy w historię z pijaną kobietą, charakter Hase'a natychmiast stał się przedmiotem zapalczącej dyskusji.

- Trzeba go było po prostu ukatrupić - rzekł Proktor. - Wcale by pan za to nie odpowiadał.

- Nie zdążył... - wtrącił jeden z marynarzy.

- Nigdy bym nie wsiadł do łodzi, chyba że użyliby przemocy - ciągnął Proktor.

- On był sam - wmieszała się stojąca obok Daisy. Opaska przeszkadzała jej patrzeć, kręciła więc główką. - A ty, Tobbogan, czy też byś się opierał?

- To wuj powiedział - odparł Tobbogan.

- I cóż z tego!

- Co ci się stało, Daisy? - zapytał Proktor. - Patrzcie, jaka wścibska.

- Słusznie pan postąpił - zwróciła się do mnie. - Lepiej umrzeć niż zostać pobitym i wyrzuconym za burtą, jeżeli się ma do czynienia z łotrami. Czemu nie dacie panu whisky? Aha, u ciebie utknęła!

Wyjęła z roztargnionej ręki Proktora butelką, którą szyper, pochłonięty całą historią, trzymał między kolanami, nalała pół blaszanego kubka i dopełniła go wodą. Podziękowałem zauważając, że nie czuję się tak bardzo wyczerpany.

- No, mimo wszystko - zauważyła tonem perswazji, który oznaczał, że stan mój wymaga pewnych starań - to panu dobrze zrobi.

Wypiłem, ile mogłem.

- O, to nie po naszymu! - powiedział Proktor wychylając resztę.

Przez ten czas przyjrzałem się dziewczynie. Była ciemnowłosa, nieduża, mocnej, lecz nerwowej, niespokojnej konstytucji, o czym świadczyła porywczosć ruchów. Kiedy się uśmiechała, przypominała kulkę śniegową w płatkach róży. Miała małe, opalone ręce i szczupłe, boscie nogi, które pod rąbkiem spódnicy robiły wrażenie samodzielnych żywych stworzeń, bez przerwy bowiem przestępowała z nogi na nogę lub krzyżowała je przebierając palcami. Zauważyłem również, jak na nią spogląda Tobbogan. Był to wymowny wzrok, jakim zakochany patrzy na swoje bóstwo, które łaskawie nauczyło się przynosić whisky i udawać, że boli je oko. Tobbogan był to poważny młody człowiek o rysach regularnych, męskich, z mgielką zamyślenia. Jego ruchy nieco przeczyły powierzchowności, na przykład gestykulował do siebie, zamiast od siebie, a kiedy siedział, miał zwyczaj obejmowania kolan rękami.

Na ogół robił wrażenie człowieka zamkniętego w sobie. Czterej marynarze „Nurka” byli to ludzie starsi, spokojni w obejściu i pracowici; w wolnym czasie jeden z nich kruszył liście tytoniu albo przyszywał odpruty kołnierz przy kurtce; drugi pisał listy, trzeci majstrował z piasku i wiórków pejzaż w szklanej butelce, operując jak Japończyk niesłychanie cieniutkimi palczkami. Piąty, najmłodszy z nich i najżywszy, często grywał sam z sobą w karty, daremnie starając się skusić innych do wzięcia udziału w tej nie rujnującej rozgrywce. Nazywał się Bolt. Wszystkie te spostrzeżenia zebrałem w ciągu trzech dni spędzonych na szkunerze, a mój pierwszy dzień zakończył się nagłym przystępem znużenia i głębokim snem. Przeznaczono dla mnie łóżko w kubryku. Wypiłem whisky, zjadłem trochę smażonej peklowiny i zasnąłem, a kiedy otworzyłem oczy, nad stołem kołysała się już zapalona lampa.

Pałiłem, pogrążony w myślach, gdy nadszedł Tobbogan. Oznajmił, że Proktor prosi mnie do swej kajuty, jeśli mogę utrzymać się na nogach. Poszedłem. Przed nocą fala stała się znacznie silniejsza. Szkuner poskrzypywał siadając przy podrzutach. Zszedłem przez ciasny luk po stromej drabince i prowadzony przez Tobbogana znalazłem się w kajucie Proktora. Było to czyste pomieszczenie, surowe w charakterze i tak niewielkie, że między stołem a łóżkiem mogła się zmieścić tylko mata do wycierania nóg. Wszystko było gruntownie przesycone dymem tytoniowym.

Tobbogan wszedł ze mną, po czym ulotnił się, zajęty widać swoimi sprawami, usłyszałem bowiem, jak gdzieś w pobliżu rozmawia z Daisy. Wszedłszy, zorientowałem się od razu, że Proktor zamierza uciąć pogawędkę: na stole stał czysty talerz z pokrajanym w plastry wędzonym ozorem oraz butelka. Szyper nie zwiódł mnie tym, że rozpoczął od spraw handlowych: „Nie ma pan jakich informacji co do nasion bawełny?” Następnie wrócił do tematu najbardziej go interesującego - do mojej historii. Wypowiadał się teraz dokładniej niż rano, spodziewając się zapewne i ode mnie usłyszeć właściwą opinię.

- Musimy się porozumieć – rzekł - jak mamy działać przeciwko kapitanowi Hase. Ja jestem świadkiem, ja pana zabrałem i choć zdarzyło się to jedyny raz w moim życiu, taki jeden raz starczy za wszystkie. Moi ludzie również będą świadkami. Mówił pan, że „Biegnąca po falach” płynie do Hale-Gew, powinien pan więc bardzo niedługo spotkać tego łajdaka. Nie sądzę, żeby zmienił kurs, jeśli nawet stchórzy po wytrzeźwieniu. Nie przyjdzie mu na myśl, bo i skąd, że pan znalazł się na moim szkunerze. Umówimy się w takim razie, że pan da mi znać, gdyby śledztwo rozpoczęło się już po wyjściu „Nurka” z Hale-Gew. To jest kryminalna sprawa.

Zaczął snuć głośne rozważania, obliczał dni, ale ponieważ nic to nie dało, gdyż trudno przewidzieć wszystkie okoliczności, zaproponowałem, byśmy pomówili o tym w Hale-Gew.

- Zgoda, to jeszcze lepiej - przyznał Proktor. - Ale pan musi wiedzieć, że stoję po pańskiej stronie, bo to niesłychana historia. Bywało, że wyrzucano ludzi za burtę, ale przynajmniej nie wysadzano ich jak na ląd - sto mil od brzegu. Może pan być przekonany, że historia pańska będzie głośna wszędzie, gdziekolwiek rozwijają żagle i rzucają kotwicę. Hase jest człowiekiem skończonym - zapewniam pana. Rozum stracił, jeśli mógł tak postąpić. No, ale musimy wypić, bez tego ocalenie byłoby niepełne. Teraz pan jest jak nowo narodzony i przyjmuje pan chrzest morski. Podziwiam pana - zauważył napełniając szklanki. - Podziwiam pański spokój. Jak mi Bóg miły, miałem wrażenie, że pan wchodzi na pokład „Nurka” jak do własnego domu! Dobrze mieć takie mocne nerwy. Inaczej...

Postawił szklankę i spojrzał na mnie badawczo.

- Słucham pana - powiedziałem. - Niech pan się nie obawia mówić ze mną otwarcie.

- Widział pan tu młodą dziewczynę - ciągnął Proktor. - Oczywiście, nie należy myśleć o tym nic takiego... Jednym słowem, co tu gadać, kobieta na żaglowcu jest zjawiskiem wyjątkowym. Wiem o tym.

Nie okazywał zmieszania i jak trafnie się zorientowałem, uważał za przykrą konieczność poruszyć ten temat w związku z awanturą na „Biegnącej”. Toteż natychmiast odpo-

wiedziałem:

- Bardzo miła dziewczyna; to pewnie pańska córka?

- Prawie jak córka, jeśli zanadto nie bryka - odrzekł Proktor. - To moja siostrzenica. Sam pan rozumie, że taszczyć dziewczynę na szkunerze to jakby dwa stery naraz obracać, ale ona nie jest tu sama. Poza tym ma bardzo dobry charakter. Tobbogan za jedną kopiejkę dostał prawdziwy majątek - tak można o nich powiedzieć, więc rozumie pan, diabli mnie biorą, że choćbyś na łbie stawał, oni i tak się pożenią prędzej czy później; nie ma na to rady.

Zapytałem, co ma do zarzucenia Tobboganowi.

- Sam sobie zadawałem to pytanie - odparł - i proszę mi wybaczyć tę szczerość w sprawach rodzinnych, które pana na pewno nudzą. Ale czasami... hm... chce się człowiek z kimś podzielić. Pytałem więc sam siebie i licho mnie brało. Nie znajduję właściwej odpowiedzi. Mówiąc otwarcie, obrzydło mi, że on chodzi koło niej jak nieprzytomny, a jeśliby mu powiedziała: „Tobbogan, wleź na maszt i zejdź głową w dół”, uczyni to natychmiast, żeby się waliło, paliło. Według mnie, inny mąż jej potrzebny. No, ale to tak nawiasem mówiąc, a wszystko niech się toczy swoim torem.

Rum w butelce znajdował się w tej chwili na jednym poziomie z etykietą i stąd wrażenie, że chwiejba się wzmogła. Poruszałem się razem z krzesłem i kajutą, jak na huśtawce, od czasu do czasu rozstawiając nogi, żeby nie spaść w pustkę. Wtem drzwi się otworzyły wpuszczając Daisy, która jak gdyby wypadła z nachylonej ku mnie ściany, i chwyciwszy się stołu, zatrzymała się w pozie linoskoczka. Była w bucikach, w szarej bluzce spiętej broszką i w czarnej spódnicy. Opaska, założona znacznie staranniej, równo zakreślała lewą część twarzy.

- Tobbogan kazał wujowi powiedzieć - oznajmiła Daisy, świdrując mnie równocześnie jednym błękitnym okiem - że postoi na wachcie, jak długo będzie trzeba, jeżeli wuj nie ma czasu - powiedziawszy to, uśmiechnęła się promiennie.

- No to dobrze - odrzekł Proktor - bo już myślałem, że mnie wysadzi, tym bardziej że mamy teraz zapasową szalupę.

- A więc trafił pan do nas - przemówiła Daisy patrząc na mnie z onieśmieleniem.- Pomyśleć tylko, ile to rzeczy zdarza się na morzu!

- Zdarza się także - zaczął Proktor i odczekawszy, aż z niewyczerpanego zapasu uśmiechów wypłynął na jej twarz nowy, oczekujący, dokończył: - Zdarza się, że ona wychodzi, a oni zostają.

Daisy zmieszała się. Uśmiech jej gasł, ja zaś rozumiejąc, że płonie z ciekawości i że bardzo chciałyby zostać, powiedziałem:

- Jeżeli mnie pan ma na myśli, to obecność pańskiej siostrzenicy sprawi mi tylko przyjemność.

Proktor, wyraźnie zadowolony z mej odpowiedzi, rzekł:

- Siadaj, jeśli masz ochotę.

Daisy usiadła przy drzwiach, w nogach łóżka i przycisnęła ręką opaskę.

- Ciągle jeszcze boli - powiedziała. - Co za przykrość! Bardzo głupio człowiek się czuje z taką przepołowioną fizjonomią.

Należało się zainteresować, spytałem więc, co się stało z okiem.

- Zawiało ją - odpowiedział za nią Proktor. - A na to nie ma żadnego lekarstwa.

- Niech pan nie wierzy - zaprzeczyła Daisy - to było znacznie prostsze. Pobiłam się z Boltem, no i podbił mi oko...

Uśmiechnąłem się z niedowierzaniem.

- Nie, nie - powiedziała - nie było żadnej bójki. Po prostu od węgla, pył węglowy wpadł mi do oka.

Poradziłem okłady z mocnej herbaty.

Wypytała mnie szczegółowo, jak się to robi.

- Chociaż jednym okiem, ale pierwsza pana spostrzegłam - oświadczyła. - Zobaczyłam

łódź i pana. Tak oniemiałam ze zdziwienia, aż mi się wydało, że łódź wisi w powietrzu. Jest zimna esencja - dodała wstając. - Pójdę i zrobię, jak mi pan radził. Czy podać jeszcze butelkę?

- N-nie - odrzekł Proktor i spojrzał na mnie jakby czekał na pretekst, by powiedzieć „tak”. Nie chciałem już pić i dlatego milczałem.

- Nie, nie trzeba - powiedział zdecydowanie. - Jutro taki sam dzień jak dzisiejszy, a butelek zaledwie trzy. Tak, tak, ona pierwsza spostrzegła pana, a kiedy przyniosłem lunetę, zobaczyliśmy, że pan stoi w łodzi z opuszczonymi rękami. Potem pan usiadł i zaczął szybko wiosłować.

Rozmowa jeszcze kilkakrotnie nawracała do mojej historii, wreszcie Daisy wyszła, a w jakiejś pięć minut później wstałem i ja. Proktor odprowadził mnie do kubryku.

- Nie możemy panu zaofiarować lepszego pomieszczenia - powiedział. - Ciasno u nas. Jakoś pan wytrzyma, już nam niewiele zostało drogi do Hale-Gew. Myślę, że będziemy tam pojutrze na wieczór albo nawet przed wieczorem.

W kubryku było dwóch marynarzy. Jeden spał, drugi owijał rękojeść noża cienkim jak sznurek rzemieniem. Na moje szczęście był to człowiek nierozmowny. Zасыpiając słyshałem, że nuci niskim, głębokim głosem:

*Mknie fala bez końca,
W krąg ziemię całą obiega.
Nie zna, igrająca,
Ni głębi, ni nieba!*

ROZDZIAŁ XIX

Rankiem wiatr przycichł, lecz nadal dał pomyślnie; na niebie nie było chmurki. „Nurek” robił jedenaście węzłów na godzinę przy miarowym wzdłużnym kołysaniu. Wstałem ze spokojem w duszy i myjąc się w wiadrze na pokładzie czułem zapach morza. Tobbogan wyjrzał z łuku na rufie, kiwnął ręką i zawołał:

- Niech pan idzie, kawa gotowa!

Ubrałem się i przechodząc obok kuchni, zobaczyłem Daisy, która, zawiąawszy rękawy, smażyła ryby. Nie miała już opaski, a z opuchlizny, jak mi oznajmiła, pozostało tylko lekkie zgrubienie pod dolną powieką.

- Aż cała przemokłam – oznajmiła - tak się zapamiętałe leczyłam herbatą!

Wyraziwszy zadowolenie, że przypadkowo dałem skuteczną radę, zszedłem do niewielkiej kajuty z małym okienkiem, która służyła za jadalnię. Siadłem na ławie przy prostym drewnianym stole, przy którym siedział już Tobbogan. Patrzył na mnie przyjaźnie i kilka razy chrząknął, lecz nie znajdował słów lub też nie uważał rozmowy za konieczną, dość że milczał oglądając się od czasu do czasu. Prawdopodobnie czekał na rybę albo na narzeczoną, raczej - na jedno i drugie. Zapytałem, co robi Proktor. „Śpi” - odpowiedział Tobbogan, potem zaczął zgarniać dłonią okruchy ze stołu i znów się obejrzał: Daisy wniosła skwiercząca patelnię ze smażoną rybą. Raptem Tobbogan odzyskał dar słowa. Zaczął chwalić rybę i zapytał, dlaczego dziewczyna chodzi boso.

- Ostatnim razem nadepnęła na gwóźdź - rzekł przysuwając mi patelnię i sam zabierając się do jedzenia. - Jest trochę nieostrożna; kiedyś, wie pan, omal nie wypadła za burtę.

- Bardzo lubię chodzić boso - odpowiedziała Daisy, nalewając kawę do grubych szklanek; potem usiadła i ciągnęła dalej: - Płynęliśmy akurat przez takie miejsce, gdzie jest głębia na pięć mil. Przechyliłam się i patrzyłam w wodę - może nic nie zobaczę, a może zobaczę, jak

tam głęboko...

- Na północ od Poketu - wyjaśnił Tobbogan.

- O właśnie tam. Nagle zakręciło mi się w głowie i zawisłam na burcie; coś mnie ciągnie do wody. Tobbogan złapał mnie jak wariat i powlókł za sobą. Byłeś wtedy okropnie blade, Tobbogan!

Popatrzył na nią; głód zdrowego mężczyzny i czułość zakochanego odmalowały się na jego twarzy nerwowym cieniem.

- Jedna chwila i można wypaść - powiedział.

- Musiało być strasznie tam w łodzi? - zapytała mnie dziewczyna postukując nożem.

- Połóż ten nóż - zaniepokoił się Tobbogan. - Spadnie ci na nogę i znów będziesz skakała na jednej.

- Nieznośny jesteś dzisiaj - zauważyła Daisy z uśmiechem i demonstracyjnie wbiła nóż obok łokcia Tobbogana. Wetknięty nóż zadrżał, jakby miał za chwilę wyskoczyć. - O, ty tak samo się trzęsiesz! Pan z pewnością ma książki! Nudzi mi się czasem bez książek.

Obiecałem, mając nadzieję, że znajdę coś odpowiedniego dla niej. - Poza tym - dodałem chcąc sprawić przyjemność komuś, kto jednym okiem dostrzegł mnie na morzu - oczekuję w Hale-Gew przesyłki książek i będzie pani mogła wybrać sobie kilka nowych powieści. - W istocie rzeczy zełgałem, mając zamiar kupić jej kilka tomów według mego wyboru.

Daisy zmieszała się i z pewną zalotnością powoli podniosła na mnie spuszczone oczy. Efekt był bardzo miły - w kajucie zrobiło się błękitnie. Tobbogan zaczął dziękować mi ze wzruszeniem; widziałem, że szczerze go raduje niewinna uciecha dziewczyny.

ROZDZIAŁ XX

Szybko mija dzień na statku. Początkowo wydaje się długi; o wschodzie słońca nad oceanem mieszają się pojęcia czasu i przestrzeni. Jak daleko jeszcze do wieczora! Tymczasem, zapomniawszy o zegarku, widzimy, że podano obiad i że nadciąga noc. Po obiedzie, to znaczy po kartoflach z peklowiną, kompocie i kawie, spostrzegłszy karty, zaproponowałem Tobboganowi partię pokera. Miałem w tym cel, chciałem mianowicie stracić dziesięć lub dwadzieścia funtów, lecz tak, by im nadać pozór wygranej. Ludzie ci, rzecz jasna, odmówili by przyjęcia pieniędzy, ja zaś nie chciałem odejść nie zostawiwszy im przez wdzięczność pewnej sumy. Z przypadkowych, oderwanych wzmianek można się było domyślić, że interesy Proktora nie przedstawiają się najlepiej.

Kiedy padła moja propozycja, Daisy zamieniła się w znak zapytania, a Proktor, wzięwszy karty, odrzucił je z westchnieniem i rzekł:

- Ta przekłeta tekturowa banda drogo mnie kosztowała w swoim czasie, dlatego przysięgam sobie - i przysięgi dotrzymam - że nie będę grał nawet za darmo.

Tobbogan tymczasem zgodził się zagrać, jak sądziłem, przez uprzejmość, ale kiedy obaj wyłożyliśmy na stół po kilka złotych monet, oczy jego zdradziły gracza.

- Grajcie - powiedziała Daisy opierając na stole białe łokcie z dołeczkami i ujmując twarz w dłonie - a ja będę się przyglądała. - Siedziała w ten sposób przez cały czas wstrzymując oddech lub wybuchając śmiechem, kiedy któryś z nas przegrywał. Proktor siedział jak przykuty do miejsca, zapominając o swojej fajce; tylko po jego nerwowym oddechu można było poznać, że stara karciańska żyłka drga w nim jak napięta linka u wędki. Wreszcie wyszedł, ponieważ nadeszła godzina jego wachty.

A zatem rzuciwszy się w bój, obnażyłem pierś i złamałem koniec mej szpady. Mogłem bezkarnie oszukiwać sam siebie, ponieważ myśl, że świadomie przegrywam, ani by powstała

w głowie Tobbogana. Kiedy gra się we dwójkę, poker często przynosi mocne układy. Nic mnie nie kosztowało rzucić karty, oświadczając, że przegrałem, jeśli Tobbogan stawiał znaczną dla niego sumę. Czasami, jeżeli rzeczywiście miałem słabszą kartę, odkrywałem ją, żeby nie budzić podejrzeń. Zaczęliśmy od drobnych stawek. Tobbogan okazał się graczem gadatliwym; śmiał się, rozmawiał sam ze sobą, wygrywając krytykował moją taktykę. Dzięki mej wspaniałomyślności wiodło mu się i to wprawiało go w coraz większe podniecenie. Już osiemnaście funtów leżało przed nim, starałem się więc tak nagiąć okoliczności, żeby wypadło równe dwadzieścia. Nagle, po moim nowym rozdaniu, Tobbogan odrzucił karty, dokupił pięć nowych i zadeklarował dwadzieścia funtów.

Czy miał tak mocną kartę, czy po prostu grał na zastraszenie, traf sprawił, że i sobie dałem tym razem pięć kierów nadzwyczajnej piękności; dziesiątka, walet, dama, król i as. I z taką kartą musiałem mu wypłacić własną w gruncie rzeczy wygraną!

- Przyjmuję - rzekłem. - Niech pan odkryje karty.

Tobbogan trzęsącą się ręką wyłożył carré i patrzył na mnie oślepiiony powodzeniem. Cóż by było, gdyby zobaczył moje kiery! Rzuciłem karty koszulką do góry i podsunąłem mu garść złotych monet.

- Zdrowo pana oczyściłem! - wykrzyknął zgarniając pieniądze.

Rzuciwszy przypadkowo okiem na Daisy, zobaczyłem, że tasuje rzucone przeze mnie karty z resztą talii. Z jej zarumienionej z podniecenia twarzy powoli odpływała krew, znikając wraz z uśmiechem, który już nie powrócił.

- Co on miał? - zapytał Tobbogan.

- Trzy damy, dwie dziewiątki - odpowiedziała dziewczyna. - Ile wygrałeś, Tobbogan?

- Trzydzieści osiem funtów - rzekł śmiejąc się. - A ja myślałem, że pan też ma carré!

- Zwróć te pieniądze.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparł Tobbogan. - Lecz jeśli p a n sobie życzy...

- Moje życzenie jest wręcz przeciwne - oświadczyłem. - Daisy nie powinna tak mówić, ponieważ jest to obraźliwe dla każdego gracza, a więc i dla mnie.

- No widzisz - zauważył z ulgą Tobbogan - i dlatego powściągnij swój język.

Daisy roześmiała się zagadkowo.

- Żle pan gra - rzekła porywczo, patrząc na mnie trochę gniewnie, trochę z rozrzewnieniem, na co mogłem tylko odpowiedzieć:

- Proszę mi wybaczyć, następnym razem zagram lepiej.

Moja odpowiedź zapewne wydała się jej zabawna, teraz bowiem wybuchnęła już szczerym i dźwięcznym śmiechem. Żartem, tak jednak, by mogła zrozumieć, o co proszę, powiedziałem:

- Niech pani nikomu nie mówi, Daisy, że tak źle gram, bo podobno później gracz przez całe życie będzie tylko płacił.

Tobbogan nieświadomy niczego, wciąż jeszcze rozogniony wygraną, rzekł:

- Może pan na mnie polegać. Będę wszystkim mówił, że grał pan wspaniale!

- Niech będzie - zgodziła się dziewczyna - i ja powiem wszystkim to samo.

Byłem ogromnie zmieszany, choć starałem się to ukryć, odszedłem więc pod pozorem wybrania książek dla Daisy. Wyszukałem dwie powieści i dałem je marynarzowi z prośbą, by odniósł dziewczynie.

Resztę dnia spędziłem na pokładzie, siedząc pośród lin.

Koło kuchni pojawiała się i znikwała Daisy; była zajęta praniem. „Nurek” siedł teraz przy umiarkowanym wietrze i łagodnej fali. Siedziałem i patrzyłem na morze.

Kto powiedział, że morze bez brzegów to nudny, monotony widok? Powiedział to j e d e n z w i e l u, bezimienny. Nie ma brzegów - to prawda, lecz jest to prawda piękna. Horyzont czysty, regularny, głęboki. Idealna precyzja koła, wypełnionego samymi tylko fala-

mi, które z bliska są widoczne dokładnie, z daleka kryją się jedna za drugą, a na widnokręgu już zaledwie muskają wyrazistą kresę nieba, jak gdyby się patrzyło przez wadliwe szkło. Ogrom wyzwolonej przestrzeni i głębi, którą najpierw zaczyna się stopniowo odczuwać, a potem widzi się przed sobą bez pomocy oczu. W tym braku odpowiedzialności potęg morskich, nieuchwytnych, nie pozwalających objąć rozumem swej rzeczywistej mocy, jaką ukazuje nam ów odwieczny obraz, jest jakaś zaraźliwa trwoga. Przypomina ona instynkt twórczy w chwili jego ocknienia.

Usłyszawszy kroki odwróciłem się i zobaczyłem Daisy. Szła ku mnie z twarzą zakłopotaną, lecz zaraz się uśmiechnęła i nie spuszczać ze mnie wzroku, siadła na linach.

- Musimy porozmawiać - rzekła wsuwając rękę do kieszeni fartucha.

Choć domyślałem się, o co chodzi, udałem jednak, że nie rozumiem. Zapytałem:

- Czy coś poważnego?

Daisy wzięła moją rękę i zarumieniwszy się po uszy, wsunęła w nią - tak szybko, że nie zdążyłem się zorientować - ciężkie zawiniątko. Rozwiązałem je. Były to pieniądze - trzydzieści osiem funtów, które przegrałem do Tobbogana. Daisy zerwała się zamierzając uciec, lecz zatrzymałem ją. Czuję się bardzo głupio i chciałem, żeby się uspokoiła.

- To już wszystko - powiedziała Daisy pokornie wracając na swoją linę. W jej oczach świeciły łzy zawstydzienia, które ją doprowadzały do irytacji. - Niech pan schowa te pieniądze, żebym ich więcej nie widziała. Po co było urządzać takie rzeczy? Zepsuł mi pan cały dzień. Przede wszystkim jak miałam to wytłumaczyć Tobboganowi? Nawet by nie uwierzył. Pobiłam się z nim i dowiodłam, że pieniądze trzeba zwrócić.

- Miła Daisy - powiedziałem wzruszony jej dumą - jeżeli zawiniłem, to chyba wyłącznie w tym, że nie potasowałem kart. A gdyby rzecz się miała inaczej, to znaczy, gdyby zabrakło dowodu, jakby się pani wtedy do tego odniosła?

- Normalnie. Przegrana jest przegraną, to jasne. Chociaż i tak byłabym bardzo zmartwiona. Sądzi pan, że nie rozumiem, o co panu chodziło? Ponieważ nie mógł pan zaproponować nam pieniędzy, postanowił pan przegrać je przez tak zwaną wdzięczność, a to nie było potrzebne. I ja bym nie potrzebowała robić panu wymówek. Teraz pan zrozumiał?

- Zrozumiałem doskonale. Jak się pani podobały książki?

Milczała przez chwilę nie będąc w stanie przejść tak od razu na tory pokojowe.

- Tytuły interesujące. Przejrzałam tylko tytuły, na więcej nie miałam czasu. Wieczorem siadę i poczytam. Proszę mi darować moją wybuchowość. Sama się tego wstydzę, ale co robić? A teraz niech mi pan powie, że się pan nie gniewa i że nie obraziłam pana.

- Nie gniewam się, nie gniewałem i gniewać się nie będę.

- No to wszystko dobrze i teraz już pójdę. Ale j e s z c z e chciałabym z panem o czymś porozmawiać...

- Proszę mówić od razu, inaczej rozmyśli się pani.

- Nie, rozmyślić się nie mogę, bo to bardzo ważne. A dlaczego ważne? Nie dlatego, że jest to coś nadzwyczajnego, tylko że nie daje mi spokoju i ciągle myślę: zgadłam czy nie zgadłam? Przy okazji porozmawiamy. Muszę was nakarmić, a tymczasem nic jeszcze nie gotowe, niech pan przyjdzie za pół godziny.

Podniosła się, kiwnęła mi głową i pospieszyła do kuchni czy też gdzie indziej, do swoich zwykłych obowiązków.

Scena ta zawstydziła mnie: dziewczyna znalazła się jak prawdziwa pani domu, podczas kiedy - trzeba to przyznać - ja zamierzałem odegrać rolę pana. Ale o czym j e s z c z e chciała ze mną podyskutować? Nie zastanawiałem się nad tym wiele, toteż prędko wyleciało mi z pamięci; kiedy się ściemniło, wszyscy zasiedliśmy do kolacji, z powodu upału - na pokładzie, koło kuchni. Tobbogan przywitał mnie dosyć oschle, a ponieważ nikt, jakby na mocy milczącej umowy, nie wspominał o zajęciu z kartami, wkrótce mu to przeszło; czasami tylko spoglądał na mnie zamyślonym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ona miała rację, ale, u

diabła, trudno rezygnować z pieniędzy”. Proktor natomiast zwracał się do mnie ze wzmożoną serdecznością i jeśli wiedział cokolwiek od Daisy, to jej postępek z pewnością sprawił mu przyjemność; wyraził to w sposób aluzyjny: „Człowiek rachuje, Daisy dysponuje!” A że w tym czasie wszyscy jedli, Daisy zaś sprzątała i podawała, jeden z marynarzy odezwał się:

- Ja na przykład rachowałem na indyczkę. A Daisy zadysponowała peklowiną.

- Cicho - odparł drugi - jutro zabiorę cię do restauracji.

Na „Nurku” odżywiano się monotennie, co jest rzeczą normalną na małych żaglowcach, które w ciągu dziesięciu czy dwudziestu dni żeglugi nie mają gdzie zaopatrzyć się w świeży prowiant ani gdzie go przechowywać. Konserwy, mięso peklowane, makaron, kompot i kawa - to było wszystko, ale za to pochłaniane w ogromnych porcjach. Na znak pogody ducha, a może i rozlicznych nadziei, które częściej są jako muchy niż jako pszczoły, Proktor nalał wszystkim po szklance rumu. Słońce dawno zaszło. Przyświecała nam lampa naftowa ustawiona na okapie kuchennym.

Marynarz na baku zawołał:

- Światła z lewej!

Proktor stanął przy sterze. Ujrzałem z przodu liczne światła olbrzymiego parowca. Przeszedł tak blisko, że słychać było stukot śruby. Na oświetlonych pokładach siedzieli i spacerowali pasażerowie. Ów olbrzym o trzech kominach minął nas wykręciwszy się rufą usianą ognistymi punktami i oddalił się ścieląc falujący, rozświetlony całun piany.

„Nurek” wykonał manewr, wszyscy byli zajęci przy żaglach, tylko ja i Daisy staliśmy obserwując oddalający się statek.

- Powinien pan być trafić na taki parowiec - rzekła dziewczyna. - Tam są dopiero wspaniałości. Wszystkie wygody, wszystko na miejscu, jak w wielkim hotelu. I nawet są tańce. Ale ja nigdy nie byłam na luksusowym statku. Zdaje mi się, że nawet słyszałam muzykę.

- Lubi pani tańczyć?

- Lubię cukierki i taniec.

W tej chwili podszedł Tobbogan i stanął z tyłu, wsunąwszy rękę do kieszeni.

- Lepiej byś mnie nauczyła tańczyć - powiedział.

- T e r a z tak mówisz. A przecież nie potrafisz, już cię uczyłam.

- Nie wiem dlaczego - zgodził się Tobbogan - ale kiedy trzymam w pól dziewczynę i nagle zagra muzyka, nogi mam jak worki. Stoję - i ani w tył, ani naprzód.

Stopniowo znów wszyscy się zebrali przy stole, ale kolacja już się skończyła i rozmowa zesłała na temat parowca, w którym Proktor rozpoznał „Leo”.

- On płynie z Australii; to liniowiec Towarzystwa Transpacyficznego. Dwadzieścia tysięcy ton.

- Mówiłam właśnie, że na „Leo” lepiej jest niż u nas - powiedziała Daisy.

- A ja się cieszę, że dostałem się do was - zaprotestowałem - chociażby dlatego, że tamten statek zdąży w kierunku, który nie byłby mi na rękę.

Proktor opowiedział o wypadku, kiedy pewien statek nie zatrzymał się, by zabrać z łodzi rozbitków. I tak popłynęły opowieści o najrozmaitszych wydarzeniach na oceanie. Wytworzył się nastrój gawędziarski, jak to bywa w ciepłe wieczory przy pięknej pogodzie, kiedy wiadomo, że bliski jest kres podróży.

Ale choć marynarze ci mieli w zapasie mnóstwo historii o pływających butelkach, o spotykanych nocą górach lodowych, o buntach załóg i straszliwych huraganach, zauważyłem, że nie znali historii „Marii Celesty”, jak również pięciomiesięcznej tułaczki sześciu ludzi w łodzi, o czym pisał Mark Twain zapoczątkowując tym swój rozgłos pisarski.

Jak tylko skończyłem opowieść o „Celeście”, bujna wyobraźnia Daisy oszołomiła nas wszystkich najbardziej niespodziewanymi pomysłami. Daisy była ogromnie przejęta i zdradzała taką wynalazczość w swoich dociekaniach, że nie nadażalem z odpowiedzią.

- A może - mówiła - to było tak...

- Ludzie myśleli nad tym pięćdziesiąt lat - argumentował Proktor, ale ktokolwiek chciałby się sprzeciwić, słyszał w odpowiedzi:

- Nie przerywajcie mi! Zrozumcie: obiad stał na stole, w kuchni palił się ogień! Mówię wam, że zapadli na jakąś chorobę! Ale może to nie była choroba, tylko zobaczyli miraż! Przepiękny brzeg, wyspę albo śnieżne góry! Pojechali tam wszyscy...

- A dzieci? - wtrącił Proktor. - Czyż nie zostawiłabyś dzieci, a z nimi przynajmniej ze dwóch marynarzy?

- No, jak to! - Daisy niczym nie dała się speszzyć. - Przede wszystkim dzieci chciały jechać. Niech mi kto spróbuje wytłumaczyć...

Siedziała podwinawszy nogi i opierając się rękami o pokład kiwała się z przejęcia w przód i w tył.

- Ale nic nie wiadomo, rozumiesz? - odpowiedział Tobbogan.

- Jeżeli nie dżuma i nie miraż - oznajmiła Daisy ani trochę nie zbita z tropu - znaczy to, że w części znajdującej się pod wodą była dziura. No tak, a wyście ją zatkali językiem. Dobrze. Wyobraźcie sobie, że oni chcieli stworzyć zagadkę...

Pośród niezliczonych wersji, którymi sypała jak z rękawa, tak że wiele z nich zapomniałem, słowa o „zagadce” wydały mi się interesujące; poprosiłem, by je wyjaśniła.

- Rozumie pan, oni zabrali się i poszli - rzekła Daisy wymownie - a dlaczego - sam pan teraz widzi. Choćby pan nie wiem jak myślał, rozwiązać tego zadania nie potrafi ani pan, ani ja, ani nikt na świecie. Bo oni to zrobili naumyślnie. Był pewnie między nimi człowiek, który lubił wymyślać kawały. To był kapitan. „Niech zostanie o nas pamięć, legenda i nikt nie potrafi jej rozwikłać!” Tak powiedział. Po drodze spotkali statek. Umówili się z jego załogą, że się na niego przesiądą, i przesiedli się, a swój opuścili.

- I co dalej? - zapytałem, gdy wszyscy wlepili oczy w dziewczynę, nic nie pojmując.

- Nie wiem, co dalej. - Roześmiała się z miną zmęczoną, ochłonawszy nagle, i z lekka klepnęła się po policzkach, naiwnie otwierając usta.

- Wszystko wiedziała, a teraz nagle zapomniała - rzekł Proktor. - Nikt nie zrozumiał, co chciałaś powiedzieć.

- To mi obojętne - odparła Daisy. - Ale pan zrozumiał?

Odpowiedziałem „tak” i dodałem:

- Ten wypadek jest tak zdumiewający, że każdy komentarz, nawet najbardziej prawdopodobny, okazuje się w końcu bezzasadny.

- Ciemna historia - rzekł Proktor. - Dużo słyszałem baśni, a i teraz lubię posłuchać. Pewne z nich jednak zasługują na zastanowienie. Słyszał pan o Fraisy Grant?

- Nie - odrzekłem drgnawszy z zaskoczenia.

- Nie?

- Nie? - podchwyciła Daisy o ton wyżej. - To opowiedzmy Harveyowi o Fraisy Grant. No, Bolt - zwróciła się do marynarza stojącego przy burcie - to twoja specjalność. Nikt nie potrafi tak jak ty opowiadać historii Fraisy Grant. Ile razy ją opowiadałeś?

- Tysiąc pięćset dwa - powiedział Bolt, krzepki mężczyzna z czarnymi oczami i ironicznymi ustami, ukrytymi w kędzierzawej scytyjskiej brodzie.

- Już kłamiesz, ale to tym lepiej. No, Bolt, siedzimy w towarzystwie, w bawialni, mamy gości. Uważaj, popisz się.

Bolt usiadł na składanym krześle. Używał chwytów ceniącego się narratora. Przeczesał brodę rozwartymi palcami, otworzył usta, wysunął leciutko język, powiódł spojrzeniem po wszystkich obecnych, przesunął ogromną dłoń po twarzy, odchrząknął i przysiadł się bliżej.

- Jakies sto pięćdziesiąt lat temu - zaczął Bolt - płynęła z Bostonu do Indii fregata „Admirał Foss”. Między innymi pasażerami znajdował się na tym statku generał Grant, a z nim jego córka, prawdziwa piękność, imieniem Fraisy. Muszę wam powiedzieć, że Fraisy była zaręczona z pewnym dżentelmenem, który już blisko dwa lata przebywał w Indiach na

bardzo poważnym stanowisku. Jakie to było stanowisko - czy warto o tym mówić? Jeśli odpowiecie „warto”, przegraliście, ponieważ nic o tym nie wiem. Trzeba wam wiedzieć, że kiedy dawniej opowiadałem tę przedziwną historię, Daisy za wszelką cenę usiłowała dowiedzieć się, jaki urząd piastował narzeczony-dżentelmen, i jeśli nie dopytuje się teraz...

- To tobie nic do tego - przerwała Daisy. - Jeżeli zapomniałeś, co dalej, zapytaj mnie, ja ci podpowiem.

- Doskonale - rzekł Bolt. - Proszę zwrócić uwagę, że ona się złości. Bądź co bądź „Admirał Foss” znajdował się w drodze półtora miesiąca, kiedy o świtaniu wachta zauważyła ogromną falą idącą z południowego wschodu przy spokojnym morzu i umiarkowanym wietrze. Posuwała się z szybkością lawiny. Rzecz prosta, wszyscy się przerazili, zrobiono, co się dało, by zatonać, jak to się mówi, pięknie, by nikt nie pomyślał, że giną jacyś tępi marynarze, którzy nigdy nie widzieli fali wysokiej na sto metrów. Tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. „Admirał Foss” wywindował się w górę, stanął na wysokości dzwonnicy św. Piotra i zjechał na dół, tak że jego szybkość już po wszystkim wynosiła trzydzieści węzłów. Oczywiście, marynarze zdążyli zwinąć żagle, inaczej wiatr przeciwny zatraciłby fregatę jak bakiem.

Fala przeszła, oddaliła się i następnych nie było. O zachodzie słońca ujrzano wyspę, nie oznaczoną na żadnej mapie; wykluczone, by „Foss” mógł na tej szerokości napotkać wyspę. Obserwując ją przez lunetę, kapitan spostrzegł, że nie ma na niej ani jednego drzewa, lecz była prześliczna jak klejnot, leżący na granatowym aksamicie - aż korci, by go zabrać. Były na niej żółte skały i błękitne góry, niesłychanie piękne.

Kapitan natychmiast zapisał w dzienniku okrętowym całe wydarzenie, lecz nie zbliżał się do wyspy, ponieważ zobaczył mnóstwo raf, brzegi zaś stanowiły pionowe skały. Żadnej zatoki ani płycizny. Podczas kiedy tłum pasażerów zebrał się na mostku i roztrząsał z oficerami dziwne zjawisko, ukazała się Fraisy Grant i zaczęła błagać kapitana, żeby przybił do wyspy i zobaczył, co to za ziemia. „Miss - odparł kapitan - mogę odkryć nową Amerykę i uczynić panią jej królową, ale nie jestem w stanie podejść do wyspy przy tym zanurzeniu fregaty, ponieważ przeszkadza mi kipiela i skały podwodne. Jeżeli wyszukujemy szalupę, narażamy nas to na zwłokę, a czas jest drogi, gdyż w obawie przed ciszą morską musimy spieszyć na południe, gdzie jest prąd powietrzny.”

Fraisy Grant, choć była dobrą dziewczyną - ot, dajmy na to, jak nasza Daisy... Zwróćcie uwagę, dżentelmeni, na jej minę, kiedy to mówię. Wracam więc do Fraisy. Lubili ją wszyscy na okręcie. Jednakże siedział w niej diabeł, jak to w kobiecie, i jeżeli coś sobie umyśliła, to powstrzymać ją od tego było trudnym zadaniem.

- Słuchajcie! Słuchajcie! - zawołała Daisy opierając brodę na ręce i otwierając szeroko oczy. - Teraz się zaczyna!

- Masz rację, Daisy - rzekł Bolt ogryzając brudny paznokieć.

- Właśnie się zaczęło, jak to bywa z paniami. Inaczej mówiąc, Fraisy stała, przygryzając wargę. W tej chwili młody oficer jak na złość wyskoczył z komplementem: „Pani jest tak lekka - rzekł - że gdyby pani zechciała, mogłaby przebiec do wyspy po falach i wrócić nie zamoczywszy nóg”. No i co myślicie? „Niech się stanie, jak pan rzekł, sir - powiedziała Fraisy. - Dałam już sobie słowo, że tam będę, i dotrzymam go albo umrę”. I zanim ktokolwiek zdążył wyciągnąć rękę, wskoczyła na burtę, zamyśliła się, zbladła i kiwnęła wszystkim ręką: „Żegnajcie - powiedziała. - Nie wiem, co się dzieje ze mną, ale cofnąć się już nie mogę”. Z tymi słowami zeskoczyła, krzyknęła i zatrzymała się na fali jak kwiat. Nikt, nawet jej ojciec nie był w stanie wymówić słowa, tak wszyscy byli wstrząśnięci. Fraisy odwróciła się i powiedziała z uśmiechem: „To nie jest takie trudne, jak myślałam. Powiedzcie mojemu narzeczonemu, że mnie już więcej nie zobaczy. Żegnaj i ty, kochany ojczu! Żegnaj, moja ojczyzno!”

Wszyscy stali jak przykuci do miejsca. I oto przeskakując z fali na falę, Fraisy Grant pobiegła ku wyspie. Nagle wszystko zasnęła mgła, woda drgnęła, a kiedy mgła się rozproszy-

ła, nie widać było ani dziewczyny, ani wyspy - jak się wyłoniła z morza, tak znowu opadła na dno. Daisy, weź chusteczkę i wytrzyj oczy.

- Zawsze płaczę, kiedy dochodzi do tego miejsca - powiedziała Daisy, ze złością wycierając nos w chusteczkę, którą wyciągnęła z kieszeni Tobbogana.

- To już koniec historii - zakończył Bolt. - Co się potem działo na statku, to już nie ciekawego, ale od tej pory chodzą wieści, że widziano Fraisy Grant to tu, to tam, w nocy albo o świcie. Podobno opiekuje się ona rozbitkami i ten, kto ją zobaczy, będzie o niej myślał do końca życia.

Bolt nawet nie podejrzewał, że nigdy nie miał tak uważnego słuchacza jak ja. Ale spostrzegła to Daisy:

- Tak pan słuchał jak kot, kiedy poluje na mysz. Nie spotkał pan czasem tej biednej Fraisy Grant? Niech pan się przyzna.

Jakkolwiek pytanie było żartobliwe, wszyscy marynarze od razu odwrócili głowy i zaczęli mi się przypatrywać.

- Jeżeli to była tamta dziewczyna - powiedziałem naturalnym tonem, jakby nigdy nie - dziewczyna w sukni z koronek i w złotych pantofelkach, z którą rozmawiałem o świcie, to znaczy, że ją spotkałem.

- A jednak! - wykrzyknął Proktor. - Daisy, hę, to dopiero zagadka.

- Tak właśnie była ubrana - powiedział Bolt. - Czy pan słyszał kiedyś tę legendę?

- Nie, nie słyszałem - zaprzeczyłem pragnąc nagle wstać i odejść - ale tak mi się jakoś wydało.

Na tym rozmowa się skończyła i wszyscy się rozeszli. Długo nie mogłem zasnąć - leżałem w kubryku słuchając plusku wody i chrapania marynarzy; zasnęłem dopiero około czwartej, kiedy zmieniła się wachta. Tego rana wszyscy spali trochę dłużej niż zwykle. Dzień minął bez jakichś szczególniejszych wydarzeń, o których warto by wspomnieć szerzej. Płynęliśmy przy doskonałym wietrze i Bolt powiedział do mnie:

- Doszliśmy do wniosku, że pan przyniósł nam szczęście. Słowo honoru. Przez cały rok nie mieliśmy tak spokojnego rejsu.

Od rana już opanowała mnie niecierpliwość, chciałem jak najprędzej znaleźć się na brzegu. Wiedziałem, że dzień ten jest ostatnim dniem żeglugi i dlatego wlecze się dłużej niż inne, jak zwykle pod koniec podróży. Któż nie zna mrowia w plecach? Poczucia chyżości w nieruchomych nogach? Odległość nabiera wrogiego odcienia. Całą naszą istotą pragniemy zwiększyć szybkość statku; myśl, która tylekroć w wyobraźni odwiedzała brzeg, musi niechętnie wracać do powoli pełzającego ciała. Słońce z ociąganiem wznosi się do zenitu, a kiedy go osiągnie, zaczyna się zniżać z szybkością człowieka starannie zamiatającego schody.

Po obiedzie, snując się między pokładem a kubrykiem, spotkałem Daisy, która wyszła z kuchni, żeby wylać za burtę wodę z wiadra.

- Właśnie potrzebuję pana - rzekła uśmiechając się nieśmiało, a potem spoważniała. - Niech pan przyjdzie do kuchni, jak wyleję wodę z wiadra, przy burcie jakoś niezręcznie rozmawiać, choć oprócz głupstw nic pan ode mnie nie usłyszy. Wczoraj nie dokończyliśmy rozmowy. Tobbogan nie lubi, kiedy rozmawiam z mężczyznami, stoi teraz przy sterze i udaje, że zapala fajkę.

Zgodziłem się, posiedziałem chwilę na pokładzie, a potem za skrzydłem żagla przesunąłem się do kuchni. Daisy siedziała na stołku. Powiedziała do mnie: „Niech pan spocznie” i uderzyła się rękami po kolanach. Siadłem na beczulce, czekając na jej słowa.

- Chociaż to nietaktowne - zaczęła dziewczyna - ale strasznie bym chciała dowiedzieć się wszystkiego. Pan nam nie wszystko powiedział o sobie. Myślałam o tym wczoraj. Tu jest coś zagadkowego. Właściwie powiedział pan prawdę, tylko jedno pan przemilczał. Co to jest, to - j e d n o? Panu się coś przytrafiło na morzu. I nie wiem, dlaczego żal mi pana. Dlaczego tak jest?

- To o tym chciała pani wczoraj mówić?

- Właśnie. Czy mam prawo wiedzieć? Absolutnie żadnego. W takim razie niech pan nie odpowiada.

- Daisy - powiedziałem wierząc w jej naiwną ciekawość, którą zdradzała pewnie tylko dlatego, że nie była w mocy jej ukrócić, a także wierząc w jej przenikliwość - nie omyliła się pani. Lecz znajduję się teraz w osobliwym stanie, nader osobliwym, w takim, że nie potrafiłbym powiedzieć tak od razu. Natomiast obiecuję, że nie będę skrywał przed panią nic z tego, co się stało na morzu, i że uczynię to w Hale-Gew.

- Coś pana przestraszyło? - zapytała Daisy i po chwili milczenia dodała: - Niech pan się nie gniewa. Czasami coś mnie n a p a d a, aż wszyscy się zdumiewają. Ja teraz ciągle myślę o pańskiej historii i nie chciałabym, żeby pan mnie wspominał jak ciekawską dziewczynkę.

Byłem wzruszony. Daisy podała mi obie ręce, potrząsnęła moimi i rzekła:

- To wszystko. Dobrze panu było u nas?

- A jak pani myśli?

- Czy ja wiem. Statek nieduży, dość brudny i nie ma żadnych rozrywek. Jedzenie też zostawia dużo do życzenia. A dlaczego pan wczoraj mówił o sukni z koronek i złotych pantoflach?

- Żeby się pani zrobiły okrągłe oczy - odpowiedziałem ze śmiechem.- Daisy, czy ma pani ojca, matkę?

- Miałam, oczywiście, jak każdy przyzwoity człowiek. Ojciec nazywał się Richard Benson. Zaginął bez wieści na Morzu Czerwonym. A moja matka przeżyła się śmiertelnie jakieś pięć lat temu. Za to mam dobrego wuja; trochę zgorzkniała co prawda, ale dla mnie skoczy w ogień i wodę. Nie ma więcej krewnych. A pan wierzy, że Fraisy Grant istniała?

- A pani?

- To mi się podoba! Pan, pan, pan! - wierzy czy nie? Bo ja święcie wierzę i powiem panu dlaczego.

- Sądzę, że to mogło się zdarzyć - odrzekłem.

- Pan znowu żartuje. Ja wierzę dlatego, że z powodu tej historii chciałoby się zrobić coś takiego... Na przykład trzasnąć pięścią i powiedzieć: „Człowiek nie znajduje zrozumienia”.

- Kto nie rozumie?

- Nikt. Człowiek sam też siebie nie rozumie.

Rozmowę przerwał nam marynarz, który przyszedł po ogień do fajki. „Niedługo pan odpocznie” - powiedział do mnie i zaczął grzebać w węglach. Wyszedłem z kuchni, pochwycając badawczy wzrok dziewczyny, którym mnie odprowadzała. Co to było? Dlaczego tak ją interesowała historia, której jedna połowa spoczywała w cieniu dnia, a druga w świetle nocy?

Przed przybyciem do Hale-Gew gawędziłem trochę z marynarzami i dowiedziałem się od nich, że żaden z moich wybawców nie był jeszcze w tym mieście. W dziejach małych statków typu „Nurka” zdarzają się odyseje po tysiąc, a nawet po dwa i trzy tysiące mil - wypadu w szeroki świat. Poprzedni kapitan „Nurka” został aresztowany za celne strzały w kasynie „Fortuna”. Proktor był właścicielem „Nurka” oraz połowy szkunera „Ksymena”. Po aresztowaniu kapitana sam poprowadził „Nurka” i wziął fracht do Hale-Gew nie spieszony odległością, gdyż chciał poprawić swoją sytuację finansową.

ROZDZIAŁ XXI

O godzinie dziesiątej wieczorem ukazało się światło latami morskiej; zbliżaliśmy się do Hale-Gew.

Staliśmy z Proktorem i Boltem przy prawej burcie, obserwując niezwykle zjawisko. W miarę jak światło latami nabierało siły, górna linia długiego przyładka oddzielającego przystań od oceanu stawała się wyraźnie widoczna, gdyż za nią pływała złocista mgła - szeroka smuga świetlna. Zjawisko to, właściwe tylko dużym miastom, wydało mi się niezwykle w niewielkim stosunkowo Hale-Gew, o którym słyszałem, że liczy pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Za przyładkiem jaśniało coś na podobieństwo żółtej zorzy. Proktor przyniósł lunetę, ale nie zobaczył nic prócz budynków na przyładku, wyraził więc przypuszczenie, że to odbłask wielkiego pożaru.

- Przecież nie ma dymu - rzekła Daisy podchodząc do nas.- Widzicie, że światło jest jasne, niemal przejrzyste.

W ciszy wieczoru zacząłem rozróżniać dźwięki niewyraźne jak pomruk, dźwięki z powtarzającym się refrenem, głosem trąb, i nagle zorientowałem się, że jest to muzyka. Już otworzyłem usta, by o tym powiedzieć, kiedy rozległy się wystrzały, co od razu zwróciło uwagę wszystkich.

- Strzelają i grają! - powiedział Bolt. - Nielicho strzelają.

Mijaliśmy właśnie latarnię.

- Zaraz dowiemy się, co to znaczy - rzekł Proktor idąc do steru, by wprowadzić statek na redę. Zmienił Tobbogana, który natychmiast podszedł do nas, również wyrażając zdziwienie z powodu tej jasności i strzałów.

Statek wykonał obrót, przy czym żagle przesłoniły widoczny przedtem port. Wszyscy pospieszaliśmy na bak, nic nie rozumiejąc, tak byliśmy zdziwieni i zachwyceni widowiskiem przejmująco pięknym w ciemności pełnej gwiazd.

Połowa horyzontu ukazała się naszym oczom w blasku iluminacji. W powietrzu wisiała oślepiająca złota sieć. Migotliwe girlandy, gwiazdozbiory, ogniste róże i kule latami elektrycznych wyglądały jak olbrzymie perły wśród złotych ozdób. Zdawało się, że spłynęły tu światła całego świata. Statki na redzie jaśniały osypane białymi promienistymi punktami. Na barce, czarnej od dołu, z oświetlonym jak w czasie pożaru pokładem, obracało się sypiąc iskry, ogniste diamentowe koło, kilka rakiet wyleciało spoza dachów na czarne niebo i z wolna zawróciwszy na dół, pogasło roniąc zielone i błękitne gwiazdy. Jednocześnie wyraźniej zabrzmiała muzyka. Głośny jak w dzień gwar tłumu, dolatujący z nabrzeża, zagłuszał ją chwilami, zostawiając tylko warkot bębna, a potem znów ją wyzwalał i niosła się po wodzie mocnym rezonansem, jak to się mówi, „dzwonieniem w uszach”. Grała niejedna orkiestra, lecz dwie, trzy, a może i więcej, gdyż chwilami następowała zbitka dźwięków, rozciasz, w którym tylko bęben wiedział, co ma czynić. Reda i port roily się od łodzi pełnych pasażerów i świateł lampionów. Znów rozległy się wystrzały. Na łodziach dźwięczały gitary, słysząc było śmiech i okrzyki.

- Więc to jest Hale-Gew - powiedział Tobbogan. - Można rzec, że pięknie nas wita.

Blask od brzegu był tak silny, że widziałem twarz Daisy. Twarz ta, promieniejąca i urzeczona, drgała leciutko. Daisy usiłowała patrzeć wszędzie; ledwie dostrzegając, z kim rozmawia, i tak była podniecona, że paplała bez ustanku.

- Nigdy nie widziałam takich rzeczy. Jak by się dowiedzieć, co to jest? Zresztą... O! o! o! Patrzcie, jeszcze rakiet! I tam. A tu - od razu dwie. Trzy! Czwarta! Wiwat! - wykrzyknęła nagle, roześmiała się, otarła wilgotne oczy i usiadła ze skamieniałą twarzą.

Fok opadł. Podeszliśmy z opuszczonym grotem i „Nurek” rzucił kotwicę w pobliżu pławy, przez której pierścień szybko przeciągnięto linę rufową. Błądziłem wśród tego rwetusu

spotykając od czasu do czasu Daisy, która kręciła się przy burtach, chciwie przypatrując się roziskrzonej redzie. Wszyscy znajdowaliśmy się w nastroju podniosłym, niemal w transie.

-Już postanowione - oznajmiła Daisy wpadając na mnie. - Jedziemy wszyscy. Zostanie jeden marynarz. Pan też na pewno chciałby czym prędzej znaleźć się na brzegu?

- Naturalnie!

- Nic innego nam nie pozostaje - powiedział Proktor. - Rozumie się, że jedziemy natychmiast. Gdybyśmy przybili do ciemnej redy i usłyszeli, że wybija trzecia szklanka, wiadomo, że nie trzeba byłoby się spieszyć, ale w takiej sytuacji to i mnie nogi tańczą.

- Umieram z ciekawości! Idę się przebrać! Ach! Och! - Daisy zerwała się z pośpiechem, potknęła się i skoczyła do burty. - Zawołajcie do nich! Prędzej, wołajcie! Hej! Hej! Hej!

Odnosiło się to do dużego kutra, na którego rufie i dziobie powiewały flagi, a burty i tent obwieszane były kolorowymi latarenkami.

- Hej, na kutrze! - krzyknął Bolt tak donośnie, że wiosłarze i damy mimo rozbawienia przestali wiosłować. - Zbliźcie się, jeśli to wam nie sprawia trudności, i wytłumaczcie, co wam nie daje spać!

Kuter podszedł do „Nurka”, pełen krzyków i śmiechu.

Kiedy się zbliżył, na naszym pokładzie zrobiło się zupełnie jasno, my widzieliśmy wyraźnie tamtych, a oni nas.

- Ależ to karnawał! - zawołałem w odpowiedzi na okrzyki Daisy. - Oni są w maskach, widzi pani, kobiety mają maseczki.

Rzeczywiście, część mężczyzn tworzyła teatralne zbiorowisko Indian, markizów, błaznów; kobiety miały na sobie jedwabne i aksamitowe kostiumy różnych narodowości. Ich maseczki przysłaniające połowę twarzy, figlarne małe bródki i obnażone ramiona przyprawiały o wesoły maskaradowy dreszcz.

Na łodzi wstał mężczyzna ubrany w czerwoną kamizelę ze srebrnymi guzami i wysoki kapelus z zielonym piórem.

- Dżentelmeni! - rzekł zgrzytając straszliwie zębami i dobywszy noża, potrząsał nim. - Jak śmiecie pokazywać się tu niby zasmoleni kominiarze u olśniewająco białych piekarzy? Zapalajcie czym prędzej wszystko, co może się palić. Podpalcie swój statek! Czego od nas chcecie?

- Powiedzcie nam - wykrzyknęła ze śmiechem trochę zawstydzona Daisy - dlaczego tak u was jasno i wesoło? Co to się stało?

- Dzieci, skąd przybywacie? - rzekł smutno pijany grubas w białym kitlu z błękitnymi pomponami.

- Z San-Riol - odparł Proktor. - Bądźcie łaskawi powiedziec nam kilka słów do rzeczy.

- Oni naprawdę nic nie wiedzą! - zawołała kobieta w maseczce. - To przecież karnawał, rozumiecie? Prawdziwy karnawał ze wszystkimi uciechami, jakich dusza tylko zapragnie!

- Karnawał! - cicho i uroczyście wymówiła Daisy. - Boże, zmiłuj się!

- Karnawał, dżentelmeni - powtórzył jegomość w czerwonej kamizeli. Był w ekstazie. - Nigdzie nie ma karnawału, tylko u nas, z okazji stulecia założenia miasta. Rozumiecie? Dziewuszka niczego sobie. Dajcie ją tutaj, niech śpiewa i tańczy. Biedactwo, jak płoną jej oczki! Co, możecie ją skądś wykradli? Widzę, że ma ochotę przejechać się z nami.

- Nie, nie! - zawołała Daisy.

- Szkoda, że rozdziela nas woda - powiedział Tobbogan - pokazałbym wam nową piękną maskę.

- Cóż to, nie zna się pan na karnawałowych żartach? - spytał pijany grubas. - Przecież to żart!

- Ja... ja... wiem, że to karnawałowy żart - odpowiedział Tobbogan wahająco po chwili milczenia - ale wiem również, że słyszałem takie rzeczy nie tylko podczas karnawału czy jak to się tam nazywa.

- Z całego serca współczujemy! - zawołały kobiety. - Niech pan dalej pilnuje swojej kochaneczki!

- Na pamiątkę! - krzyknął właściciel czerwonej kamizeli. Zamachnął się i wstęga serpentyny długą spiralą opadła na rękę Daisy, która pochwyciła ją z zachwytem. Odwróciła się ściskając serpentynę w dłoni i zaniósła się śmiechem.

Tymczasem towarzystwo na łodzi oddaliło się obsypując nas dziwacznymi błazeńskimi przekleństwami i radząc spieszyć na brzeg.

- To taka historia! - rzekł Proktor drapiąc się w głowę.

Daisy już nie było przy nas.

- Rozumie się. Poszła się stroić - zauważył Bolt. - A ty, Tobbogan?

- Ja też pojedę - odrzekł powoli Tobbogan nad czymś rozmyślając. - Trzeba jechać. Na pewno tam jest wesoło, a już ona będzie miała prawdziwą frajdę.

- No to jedźcie - zakończył Proktor - ja z chłopcami też posiedzę w barze. Myślę, że pan również wybierze się z nami? Proszę pamiętać o noclegu. Może pan nocować na „Nurku”, jeśli pan sobie życzy.

- Jeżeli zajdzie potrzeba - odpowiedziałem nie wiedząc jeszcze, co mnie czeka - skorzystam z pańskiej uprzejmości. Rzeczy na razie zostawię.

- Niech pan się czuje jak w domu - rzekł Proktor. - Miejsca wystarczy.

Po tej rozmowie wesoło i z pośpiechem zaczęliśmy się ubierać. Zdawałem sobie sprawę z tego, że radosny nastrój nocnej zabawy, który się nagle wytworzył po wielu dniach zagubienia na morzu, wymagał jakiegoś ujścia, toteż nie dziwiłem się jednomyślniej decyzji. Widziałem karnawał w Rzymie i w Nicei, niemniej byłem ciekaw zobaczyć go nad oceanem, w bliskości tropików. A co najważniejsze - wiedziałem, byłem przekonany, że spotkam Bicze Seniwell, dziewczynę, której wspomnienie przez cały ten czas snuło się w moich myślach jasne i nieuchwytnie.

Ubierałem się razem z marynarzami, przeszkadzaliśmy więc sobie wzajemnie. W ciasnym kubryku, między otwartymi kuferkami, ledwo można się było obrócić. Bolt pożyczył pieniędzy od Perlina, Chenkker od Smitha. Przeliczali gotówkę i golili się na łapu capu namydlając twarz kawałkiem zwykłego mydła. Jeden sznurował buty, drugi liczył pieniądze. Bolt powinszował mi szczęśliwego przybycia, a ja odwoławszy go na bok wręczyłem mu pięć złotych monet na wspólną zabawę. Ucisnął mi rękę, zmrużył oko i zapowiedział, że olśni kolegów szumnym zamówieniem w hotelu, a dopiero potem wyjawia cały sekret.

Żegnany życzeniami wesołej nocy, wyszedłem na pokład, gdzie zastałem Daisy w nowej muślinowej sukni i złocistoszarej koronkowej chusteczce, pod rękę z Tobboganem, na którym trochę workowato leżał granatowy mundur z malinowym krawatem do kompletu. A przecież jego regularną opaloną twarz tak pięknie podkreślał otwarty kołnierz płóciennej bluzy. Czapka z paskiem i złotą kotwicą zdecydowanie gryzła się z krawatem, lecz uśmiech Tobbogana był tak szczęśliwy, że nie wolno mi było uczynić najmniejszej uwagi. Wreszcie, grząc obcasami, wytarabanił się z kajuty Proktor; staruszek pozostał wierny swej podniszczonej kurtce z czesuczy i błękitnej chustce na szyję, tylko biała czapka z czarnym prostym daszkiem tchnęła świeżością świadcząca o macierzyńskiej troskliwości Daisy.

Daisy denerwowała się, co zauważyłem po jej stłumionym westchnieniu, z jakim obciągnęła rękaw, i po niepewnym uśmiechu. Oczy jej błyszczały. Nie była całkiem przekonana, że wygląda dobrze. Powiedziałem:

- Ma pani bardzo ładną suknię.

Roześmiała się i kokieteryjnie zsunęła chusteczkę bliżej wąskich brwi.

- Naprawdę pan tak uważa? - spytała. - A wie pan, że sama ją szyłam?

- Ona wszystko szyje sama - rzekł Tobbogan.

- Jeżeli, jak on się przechwala, Daisy zostanie jego żoną, to... - tu Proktor dokończył jakoś dziwnie: - takie żony nie rodzą się na kamieniu.

- Chodźmy już, chodźmy! - zawołała Daisy oglądając się radośnie na podchodzących ku nam marynarzy. - Czemuście się tak długo grzebali?

- Prosimy o wybaczenie, Daisy - rzekł Bolt. - Spryskiwaliśmy się perfumami i przygotowaliśmy zapas pamiętek dla tutejszych damulek.

- Kłamiesz od początku do końca. Wiem, że jesteś żonaty. A pan, co pan będzie robił w mieście?

- Będę błądził w tłumie i będę się przyglądał, potem wstąpię gdzieś na kolację i - albo znajdę dach nad głową, albo wrócę i zanocuję na „Nurku”.

Przez ten czas marynarze zdążyli już umieścić się w łodzi spuszczonej na wodę koło rufy. Łódź „Biegającej” była zawieszona na blokach. Daisy poklepała ją ręką i rzekła:

- Oto pańskie schronienie, w którym pan się napodróżował. Jak sądzisz - zwróciła się do Proktora - czy przybył już ten statek „Biegająca po falach”?

- Jestem przekonany, że Hase znajduje się tutaj - Proktor odpowiedź na jej pytanie skierował do mnie. - Przypuszczam, że jutro zajmie się pan tą sprawą, proszę więc na mnie liczyć.

Sam oczekiwałem spotkania z Hase'em i nieraz myślałem o tym, jak się ono odbędzie, lecz wiedziałem także, że chodzi tu o coś więcej niż o zwykłe dochodzenie karne. Dlatego, dziękując Proktorowi za życzliwość i słuszny gniew, nie zamierzałem ani się śpieszyć, ani zaznaczać swej gorliwości.

- Dziś mamy dzień wolny - powiedziałem - a jutro wszystko obmyślę.

Wsiedliśmy wreszcie do łodzi; uderzenia wioseł, unoszące nas coraz dalej od „Nurka” z jego samotną latarnią na maszcie, wprowadziły nasz niecierpliwy pęd wewnętrzny w krąg powszechnego pędu tej nocy. Pośród ciemnych fal połyskiwał blask ogni rozsypując się podwodnymi iskrami. Ogniste zygzaki płynęły z nabrzeża w ciemność, muzyka stała się głośna jak w sali. Spotkaliśmy kilka bogato udekorowanych łodzi i kutrów parowych, wyglądających jak wesołe widma, tak były jaskrawo oświetlone na wieczornej fali. Czasami wołano coś do nas chóralnie, nie można było rozróżnić słów, lecz ja rozumiałem, że spacerowicze łają nas za brak iluminacji. Wyminęliśmy jakiś statek przedzierzgnięty w żyrandol i zaczęliśmy zbliżać się do nabrzeża. A tam płynęła, pędziła we wszystkie strony ciżba ludzka. W jaskrawym świetle ujrzałem osiem koni w pióropuszcach; ciągnęły one olbrzymią konstrukcję z wieżyczek i dywanów, oplecioną kwiatem pomarańczy. Na platformie tańczyli mężczyźni w zielonych cylindrach i żółtych surdutach; zamiast twarzy mieli komiczne tłustogębe maski i potworne okulary. Między nimi kręciły się również damy w krótkich błękitnych spódniczkach i maseczkach; ujawszy się pod boki, machały długimi szarfami i tańczyły z zapałem. Dokoła niesiono pochodnie.

- Co oni robią? - wykrzyknęła Daisy. - Co to za jedni?

Wytłumaczyłem jej, co to są pochody karnawałowe i jak się je urządza na południu Europy. Tobbogan zauważył melancholijnie:

- Pomyśleć tylko, ile pieniędzy wyrzuca się na marne!

- Nie na marne, Tobbogan - żywo zaprotestowała dziewczyna. - To jest święto. Ludzie potrzebują radości choćby raz na jakiś czas. A to przecież piękna rzecz - święto! I w dodatku takie!

- W każdym razie ja myślę - odpowiedział Tobbogan po chwili milczenia - że gdyby mi dali jedną tysięczną część tych zmarnowanych pieniędzy, wybudowałbym dom i założył niezgorsze gospodarstwo.

- Możliwe - powiedziała z roztargnieniem Daisy. - Nie będę się sprzeczała, tylko że teraz, po dwudziestu sześciu dniach na oceanie, nie zobaczylibyśmy tych wszystkich cudów! A ile jeszcze mamy przed sobą!

- Kierunek schody! - zawołał Proktor do marynarza. - Skróć wiosła!

Łódź podeszła do wyznaczonego miejsca - do kamiennych schodów z kwadratową platformą u dołu, po czym została przywiązana do pierścienia wkręconego w płytę. Proktor

zaciśnął łańcuch wokół wioseł, zamknął go na kłódkę i rozeszliśmy się. Akurat niedaleko znajdował się hotel.

- No, my na razie jesteśmy u celu - powiedział Proktor odchodząc z marynarzami - a wy decydujcie bez nas, co robić z damą.

- Do widzenia, Daisy! - powiedziałem do podskakującej z niecierpliwości dziewczyny.

- A... - zaczęła i rzuciła okiem na Tobbogana.

- Życzę panu wesołej zabawy - rzekł marynarz. - No, Daisy, chodźmy.

Obejrzała się na mnie, pomachała ręką i prawie natychmiast straciłem ich z oczu w sunącym jak lawa tłumie. Potem rozejrzałem się z pełnym niepokojem oczekiwaniem; po raz pierwszy od trzech dni zadźwięczało znów, jakby wyraźnie wypowiedziane tuż obok imię: „Bicze Seniwell”. I zobaczyłem jej niezapomnianą twarz.

Od tej chwili myśl o niej już mnie nie opuszczała; ruszyłem w kierunku głównego nurtu ludzkiego, który skręcał od nabrzeża w otwarty z jednej strony plac. Byłem w nieznanym mieście - szczególnie lubię to uczucie. Poza tym, zobaczyłem owo miasto w blasku nieznanego uroczystości, a więc pograżywszy się w zaraźliwy, gorączkowy wir, zacząłem obserwować wszystko, co się działo dokoła mnie. Szedłem nie spiesząc się i nikogo o nic nie pytałem, podobnie jak nigdy nie pragnąłem poznać nazwy kwiatów, które mnie olśniły swym powabem i oryginalnością. Później poznawałem te nazwy.

Ale czy dodawały one kwiatom kolorów i płatków? Przeciwnie, miałem wrażenie, że na kwiecie usiadł chrząszcz, którego już nie da się strącić.

ROZDZIAŁ XXII

Wiedziałem, że rano ujrzę inne miasto - miasto w prawdziwej postaci, odmienne od tego, jakie teraz mam przed oczyma, wyłożone na tle ciemności złotymi taflami blasku oświetlającego fasady domów. Były to w większości jednopiętrowe murowane budynki opasane daszkami werand i balkonów. Stały ciasno obok siebie, jaśniejac otwartymi na oścież oknami i drzwiami. Tu i ówdzie za krawędzią dachu czerniały wachlarze palm; niekiedy ich jaskrawozielone lśnienie, intensywniejsze u dołu, wskazywało na niewidoczną za murami iluminację. Obfitość papierowych lampionów wszystkich kolorów, kształtów i wzorów nie pozwalała dostrzec prawdziwego oblicza miasta. Lampiony wisiały w poprzek ulic, płonęły pośród dywanów na balustradach balkonów, festonami ciągnęły się w dal. Czasami perspektywa ulicy przypominała balet: światła, kwiaty, konie i malownicza ciżba ludzi w maskach lub bez masek, którzy jak gdyby wyszli z bajek łącząc karnawałowy gwar z rozbrzmiewającą w całym mieście muzyką.

Im dłużej obserwowałem to, co się działo dokoła mnie, dwukrotnie przemierzając nadbrzeżny plac, nim ostatecznie obrałem kierunek, tym wyraźniej widziałem, że karnawał ten nie był uciechą sztuczną ani też z obowiązku czy rozkazu - mieszkańcy byli naprawdę porwani rozmachem, jakiego nabrała zabawa, i teraz rozmach ten bezgranicznie ich zachwycał, kojąc, być może, od dawna rosnące pragnienie powszechnego barwnego odurzenia.

Ruszyłem wreszcie długą ulicą po prawej stronie placu i trafiłem tak szczęśliwie, że co jakiś czas musiałem się zatrzymywać, by przepuścić procesję jeźdźców - jakichś średniowiecznych rozbójników w łachmanach lub diabłów w czerwonych trykotach, którzy jechali na mułach przystrojonych dzwoneczkami i wstęgami. Wybrałem tę ulicę dlatego, że bardzo dogodnie wstępowała w górę i w głąb miasta rozciągającego się rzędem tarasów, mianowicie na końcu każdej dzielnicy znajdowało się tu po kilka schodków z płyt kamiennych, wskutek czego samochody i masywne karnawałowe pojazdy nie mogły się tędy posuwać. Lecz ja nie

byłem jedynym szukającym takich udogodnień. Ludzie szli gromadnie zajmując nawet jezdnię. Był to ruch bezcelowy, spowodowany ruchliwością całego widowiska. Wymijały mnie domina, błazny, diabły, Indianie, pseudo-Murzyni oraz autentyczni, których z trudem można było odróżnić od tamtych, kobiety spowite w gazę, wstęgi i pióra; fruwały kolorowe spódnice, krótkie i długie, usiane cekinami lub oblamowane białym futrem. Blask oczu, filuterna tajemniczość maseczek, oddziały marynarzy torujących drogę ciosami butelek i chwytających kogoś w tłumie wśród śmiechu i pisku; na słupkach pijani mówcy, których nikt nie słuchał albo ktoś zniecierpliwiony strącał łokciem; dźwięk dzwonek, kawalkady księżniczek i gryzetek, dumnie siedzących na atlasowych czaprakach rasowych rumaków; tłok przy drzwiach i błyskające we mgle rozwścieczone twarze, zaciśnięte pięści; pijacy plackiem leżący na jezdni; koty tchórzliwie przemykające się do domów; melodyjne głosy i ochryple wrzaski; pieśni i dźwięk strun; odgłos pocałunków i chóralne okrzyki z daleka - to wszystko niech zobrazuje nastrój panujący w Hale-Gew tego wieczoru. Pod fantastyczną flagą ciągnęły się brudne płócienne daszki straganów, gdzie sprzedawano lemoniadę, wodę pistacjową, wodę z lodem, sodową i whisky, wino palmowe i orzechy, cukierki i confetti, serpentyny i pukawki, petardy i maski, kulki z lepkiego ciasta i suche kolczaste orzechy w rodzaju rzepów, które tak mocno wczepiały się we włosy lub w tkaninę, że wydarcie ich było sprawą skomplikowaną. Od czasu do czasu pojawiał się wśród tłumu rowerzysta przebrany za niedźwiedzia, mnicha, małpę lub pierrota, którego zabot natychmiast oblepiały te celnie rzucone kolczaste pociski. Widziałem wielkoludów z piszczałką w kształcie gumowej lali lub ogromnymi bębniami, w które z hukiem walili. Na werandach tańczono; natknąłem się na bal odbywający się pośrodku jezdni i nie bez trudu udało mi się przedostać dalej. Na balkonach i pod nogami leżały takie masy serpentyn, że szeleściło powietrze. Po drodze otrzymałem kilka propozycji najróżnorodniejszego rodzaju: żeby się z kimś napić, kogoś pocałować, zagrać w karty, towarzyszyć komuś, zatańczyć, żeby coś kupić, a ręce kobiecie bez przerwy trzepotały przede mną, wabiąc czułym gestem, bym się dał porwać powszechnemu entuzjazmowi. Wiedząc, że im dalej, tym trudniej będzie iść, skręciłem w zaułek, gdzie ruch był mniejszy. Jeszcze jeden zakręt - i znalazłem się na ulicy prawie pustej. Na prawo ode mnie, skręcając w lewo i pnąc się w górę, ciągnęła się pochyła ściana z głazów, zabezpieczająca urwisko. Nad nią, po niewidocznych z dołu drogach bez ustanku turkotały koła, migotały latarnie i ogieńki cygar. Nie orientowałem się, w jakim znajduję się punkcie licząc od centrum, przystanąłem na chwilę zastanawiając się i wyskubując z mego flanelowego ubrania kolczaste kulki i pociski z lepkiego ciasta, których rzucanie powinno być zakazane, po czym ruszyłem pod górę, gdzie panowała względna ciemność. Przeszedłem obojętne werandy i w jej półświatle ujrzałem kobietę; podbiegła do balustrady, przechyliła się ku mnie i zawołała cicho: „Czy to pan, Suit?” - z miłością i obawą w drżącym głosie. Kiedy padło na mnie światło, roześmiała się skonfundowana i znikła.

Idąc pod górę znalazłem się znów pośród zgiełku dnia i jasności nocy; obrałem kierunek na lewo, jak gdyby orientując się, że powinienem dojść do wierzchołka kąta, jaki tworzyły dwie linie, po których szedłem na początku i później. Byłem na szerokiej, asfaltowej ulicy. Niedaleko, u jej wylotu, znajdował się plac i tam właśnie płynęły tłumy z całego zaułka. Poprzez głowy, które migotały przede mną jak w starciu bitewnym, dostrzegłem posąg wznoszący się nad ciżbą ludzką. Była to marmurowa postać kobiety z twarzą wzniesioną i wyciągniętymi rękami. Póki przepychałem się w tłumie, jej poza i cała postać niezupełnie były dla mnie zrozumiałe. Wreszcie podszedłem tak blisko, że zobaczyłem napis wyryty u jej stóp. Składał się z trzech wyrazów:

„BIEGĄCA PO FALACH”

Gdy to przeczytałem, świat pociemniał mi w oczach - jedno jedyne słowo mogłoby wszystko wyjaśnić. Lecz tego słowa nie było. Żadna siła nie potrafiłaby teraz odciągnąć mnie od tego napisu. Był on we mnie, a jednocześnie musiało minąć tajemnicze działanie czasu,

ażebym niespodziewany fakt poddał się analizie rozumu. Podniosłem głowę i przyjrzałem się posagowi. Rzeźbiarz tworzył go z miłością. Poznałem to po nieomylnym wrażeniu artystycznej doskonałości. Wszystkie linie ciała dziewczyny, która jedną nogę miała uniesioną, a drugą jakby odbijała się od czegoś, były wyraziste i prawdziwe w rysunku. Widziałem, że jej oddech jest przyspieszony. Twarz jej nie była tą, którą znałem, niezupełnie tą samą, ale już to, że natychmiast ją poznałem, świadczyło, jak artysta był bliski tematu i jak spośród mnóstwa twarzy, które mu się jawiły, wybrał tę, mówiąc: „Taka powinna być jej twarz i jedynie taką mogę wyrzeźbić”. Dał jej szatę nieuchwytnego kroju, jak gdyby utkaną w wyobraźni, pozbawioną materialności - fałdy przejrzyste i rozwiane. Z przodu wiatr obciskał je na ciele dziewczyny. Nie było fal, nie dających się wyobrazić w marmurze, lecz ruch kształtnej nogi sugerował, że odbija się ona od czegoś lekkiego. Marmurowe oczy - te umownie widzące, lecz ślepe oczy posagu, jeśli artysta nie potrafi ich otworzyć - zdawało się, że patrzą w marmurową ciemność. Twarz się uśmiechała. Smukłe ręce, wyciągnięte w jakimś wewnętrznym porwie, w pragnieniu wyprzedzić nawet pęd, były prześliczne. Jedna ręka, odwrócona dłonią do góry, miała palce lekko zgięte, palce drugiej układały się w niecierpliwy, pełen uroku gest, obrazujący grę uczuć dziewczyny.

Rzeczywiście, zdawało się, że ona ogrzewa i raduje serca. I choć w oderwaniu od wszystkiego, na wysokim piedestale, który tworzyły wykute w marmurze morskie dziwa, stała „Biegająca po falach” - nie była sama. Za nią zdawał się majaczyć wzlatujący na wysokiej fali bukszpryt olbrzymiego statku, unoszącego ponad wodą tę postać - gdzieś prosto, przed siebie, prując miasto i noc.

Na tyle panowałem nad uczuciami, by odróżnić wrażenie niezależne od wrażenia, które narzuciło mi się z wielką siłą tylko na skutek szczególnych okoliczności. Ten posąg był ośrodkiem - głównym wyrazem wszystkich innych wrażeń. Teraz wydaje mi się, że słyszałem wtedy gwar tłumu, ale nie mógłbym twierdzić tego z pewnością. Ocknąłem się, gdy na moim ramieniu twardo i energicznie spoczęła męska ręka. Cofnąłem się i zobaczyłem przyglądającego mi się badawczo mężczyznę w trójkątnym kapeluszu i staroświeckim surducie ściągniętym srebrnym pasem. Czerwona twarz z siwymi włosami i drgającą ze zdziwienia brwią natychmiast zmieniła wyraz, kiedy zapytałem, czego chce ode mnie.

- A! - rzekł mężczyzna, a ponieważ potracali nas bohaterowie i bohaterki wszystkich sztuk ze wszystkich epok, przysunął się do pomnika i dał znak, bym się zbliżył. Było z nim jeszcze kilku mężczyzn w różnych kostiumach i w maskach. Ludzie ci stali, jak gdyby żądając czy też oczekując wyjaśnienia.

Mężczyzna, który rzekł „A!”, ciągnął:

- Chyba nic się nie stało. Trąciłem pana dlatego, że stoi pan już blisko godzinę na tym miejscu zupełnie nieruchomo, i to nam się wydało podejrzane. Widzę, że się omyliłem, więc proszę o wybaczenie.

- Chętnie panu wybaczam tę podejrzliwość - powiedziałem - skoro zainteresowanie przybysza tym wspaniałym pomnikiem budzi w panu obawę, by go nie ukradł.

- Mówiłem, że pan się myli - wmieszał się młody człowiek z leniwą twarzą.- Ale - dodał zwracając się do mnie - rzeczywiście łamaliśmy sobie głowę nad tym, jak może ktoś trwać w takim głębokim bezruchu pośród krzykliwej karuzeli tłumu.

Wszyscy ci nieznajomi, choć nie byli pijani, ponad wszelką wątpliwość spędzili dzień na różnorodnych uciechach.

- To przyjezdny - rzekł trzeci z tej grupy drapując się w ognisto-żółty płaszcz, przy czym rude pióro na jego kapeluszu zachwiało się jak pijane. Miał również twarz rudzielca - piegowatą, białą, pulchną, o trochę smutnym wyrazie żółtych brwi, chociaż bezbarwne błyszczące oczy uśmiechały się kpiąco. - Jedynie Hale-Gew ma taki pomnik.

Pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, skorzystałem z okazji, ukloniłem się i wymieniłem swoje nazwisko. Natychmiast wyciągnęło się ku mnie kilka rąk, padały nazwiska i

prośby, bym nieporozumienia nie poczytał za obrazę lub złą intencję. Zacząłem od pytania, jakiego rodzaju podejrzenie mogli powziąć.

- Otóż - powiedział Boves, mężczyzna w trójkątnym kapeluszu - może zechciałby pan posiedzieć z nami? Nasz obóz jest niedaleko, o, tam.

Obejrzałem się i zobaczyłem duży stół wyciągnięty zapewne z restauracji, znajdującej się naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Na obrusie, który zwisał dotykając bruku, stały kwiaty, talerze, butelki i puchary, leżały damskie maseczki - prawdopodobnie trofea sekretnych pogawędek. Gitary, kokardy, serpentyny i maskaradowe szpady zderzały się na tym stole z łokciami zasiadających wokół niego dziesięciu czy dwunastu ludzi. Podszedłem do stołu z moimi nowymi znajomymi, ale ponieważ zabrakło krzeseł, Boves złapał przebiegającego obok chłopaczka, dał mu kopniaka i srebrną monetę, a nagrodzony przytaszczył z restauracji trzy krzesła, po czym westchnął, pociągnął nosem, i już go nie było.

- Przyprawiliśmy świeżo przeistoczonego - oznajmił Trite, właściciel płomiennego płaszcza. - Oto on. Nazywa się Harvey, stał przed pomnikiem, jak urzeczony, nie spuszczać zeń wzroku.

- Dopiero co przyjechałem - rzekłem siadając - i rzeczywiście jestem pełen zachwytu dla tego, czego nie rozumiem, a co działa na mnie w najprzedziwniejszy sposób. Poza tym wzbudziłem niejasne podejrzenia.

Rozległy się okrzyki o treści tyleż przyjaznej, co nedorzeczej. Spośród nich jednak wyróżnił się głos mężczyzny w masce. Był to jeden z tych wielomównych ludzi, którzy swoim monotonnym głosem uparcie przepychają się wśród innych głosów o znacznie żywszej barwie i których twarz na skutek owej właściwości namolnego gadulstwa nabiera cech charakterystycznych, widocznych nawet pod maską.

Słuchałem go bardziej niż uważnie.

- Czy pan słyszał - zaczął - o Wiliamie Hobsie i jego dziwnych losach? Sto lat temu był tutaj pustynny jak na księżycu brzeg, a Wiliam Hobs, jak głosi legenda, w którą wierzy ten, kto chce wierzyć, płynął z Europy do Bombaju na statku „Biegnąca po falach”. Jakie sprawy łączyły go z Bombajem - o tym mówią wzmianki w archiwum miejskim...

- Zacznijmy od podejrzeń - przerwał Boves.- Istnieje partia czy, jeśli pan woli, po prostu zdecydowana grupa ludzi, którzy postawili sobie za punkt honoru...

- Oni nie mają honoru - powiedział pijany jak bela mężczyzna w zielonym domino - dobrze znam tego węża Parana, ukatrupić go, i basta!

- Otóż sądziliśmy - Boves skorzystał z króciutkiej pauzy w rozmowie - że pan jest ich stronnikiem, upłynęła bowiem okrągła godzina...

- ...mówią wzmianki w archiwum miejskim - pospiesznie wcisnął swoje słowo gadulski. - Opowiem więc legendę o założeniu miasta. Pierwszy dom wybudował Wiliam Hobs, kiedy został wyrzucony na płyciznę pośród skał. Statek szamotał się w sztormie, lękając się nieznanego brzegu i nie będąc w mocy wyrwać się z powietrznego leja. Wtem kapitan zobaczył piękną młodą dziewczynę, która wbiegła na pokład na grzywie fali. „Sud-sud-ost i trzy czwarte rumbu!” - powiedziała do kapitana. Można sobie wyobrazić, co odczuwał ten człowiek.

- Nic podobnego - przerwał Boves - rozmowa raczej wyglądała tak: „Mówi z panem Fraisy Grant, proszę się nie obawiać i zrobić to, co powiem...”

- Sud-sud-ost i trzy czwarte rumbu - pospiesznie dokończył za niego mężczyzna w masce. - Ale już to mówiłem. Otóż wszyscy się uratowali dzięki jej wskazówce. Wskoczyli na płyciznę, a dziewczyna oczywiście znikła, jak tylko kapitan uwierzył jej słowom. Hobs był z żoną, którą tak przeraziło to zdarzenie, że kategorycznie nie chciała już podróżować morzem. Po miesiącu sygnałem z brzegu zatrzymano bryg „Polina”, który zabrał rozbitków, lecz Hobs nie chciał jechać, nie mógł bowiem dojść do ładu z żoną, tak się przestraszyła w czasie sztormu. Zaopatrzone go w zapasy, poza tym został z nim jeszcze pewien człowiek, który nie chciał opuścić Hobsa, gdyż miał wobec niego jakiś poważny dług wdzięczności. Człowiek ten

nazywał się Ned Hort. I tak rozpoczęło się życie pierwszych kolonistów, którzy znaleźli tu urodzajną ziemię i wspaniały klimat. Pomarli jakieś osiemdziesiąt lat temu. Czas płynie wolno...

- Przeciwnie, bardzo szybko - zaprotestował Bowes.

- Podałem panu, ma się rozumieć, najgłówniejszy motyw - ciągnął mój rozmówca - nakreśliłem jedynie prostą linię, a wszystkie okoliczności i szczegóły tej legendy znajdzie pan w naszym archiwum. Ale proszę słuchać dalej.

- Czy wiadomo panu - spytałem - że istnieje statek o nazwie „Biegnąca po falach”?

- O, tak! - odpowiedział Bowes. - To była fantazja Seniwella. Znałem go. On pochodzi z Hale-Gew, ale jakieś dziesięć lat temu zbankrutował i wyjechał do San-Riol. Jego krewni jeszcze dotychczas tu mieszkają.

- Widziałem ten statek w porcie Liss, więc pana zapytałem.

- Dziwna z nim była historia - rzekł Bowes. - Ze statkiem, nie z Seniwellem. Zresztą możliwe, że Seniwell go sprzedał.

- Tak, ale stała się rzecz następująca-niecierpliwie przerwał mu mężczyzna w masce.- Pewnego razu...

Wtem jeden z mężczyzn siedzących przy stole zerwał się i wyciągnął zaciśniętą pięść w kierunku limuzyny, która, okrążywszy pomnik, zatrzymała się o kilka kroków od nas. Natychmiast zerwali się wszyscy.

Elegancka czarna limuzyna na tle kolorowego, ogłuszająco zgietkliwego tłumu pędzącego przez plac, była tak wyrazista, jak nie rozżarzony kawałek węgla wśród ogarniających go płomieni. Siedziało w niej pięciu mężczyzn bez strojów maskaradowych, w czarnych wieczorowych ubraniach i cylindrach, oraz dwie damy - jedna brzydka z twarzą oschłą i wyblakłą, druga młoda, blada, spoglądająca wyniośle. Między mężczyznami byli dwaj starcy. Pierwszy, podobny do spasionego buldoga z wyszczerzonymi kłami, rozpierał się szeroko łokciami i palił obracając w ustach ogromne cygaro. Drugi śmiał się i właśnie ten drugi wywarł na mnie szczególnie przykre wrażenie. Był barczysty, chudy, z posępnie zapadłymi policzkami, wysokim czołem. Małą twarzyczkę o wydatnych mięśniach wykrzywił zjadliwy, sarkastyczny grymas.

- To oni! - zawołał Bowes. - To kierowe walety karnawału! Dobbes, Cowts, biegnijcie do pomnika! Ci ludzie zdolni są ugryźć kamień!

Wokół limuzyny i stołu tłoczyli się ludzie. Wszyscy zerwali się przewracając krzesła. Z limuzyny odpowiadano głośnymi pogrózkami i szyderstwem.

- No co? Wartujecie? - zapytał gruby staruch. - Baczcie, żeby nie przegapić.

- Z tym nie przegapimy! - wrzasnęło zielone domino wymachując rewolwerem. - Możecie sobie jeździć, wyjeżdżać, przyjeżdżać albo łeb sobie rozbić - jeśli wola!

Drugi starzec, wychylając się z limuzyny, zawołał:

- Utrącimy waszej kukle ręce i nogi! I to wkrótce! Wspomnicie moje słowa, jak będziecie zbierać odłamki na breloki.

Nieprzytomny z pasji Bowes zaczął grzebać w kieszeni i skoczył do limuzyny. Samochód zadygotał, wykręcił, odjechał i znikł nam z oczu odprowadzany gwizdami i oklaskami. Natychmiast zjawili się dwaj policjanci obwieszeni strzępami serpentyn i niezbyt pewnie gestykulujący. Zaczęli perswadować Bowesowi, który, oddawszy kilka strzałów w powietrze, zatrzymał rowerzystę, chcąc mu odebrać rower i pogonić za nieprzyjacielem. Osłupiały właściciel roweru zaczął się już rozglądać, gdzie by to go oprzeć i zyskawszy swobodę ruchów, dać ujście swemu gniewowi, ale policjant nie dopuścił do bójki. Poprzez ogólny gwar usłyszałem, jak krzyczał:

- Zgoda, ja wszystko rozumiem, ale wybierzcie sobie inne miejsce na załatwianie paruchunków!

Podczas tego zajścia, którego zakończenie nie jest mi znane, siedziałem przy opuszczo-

nym stole. Odeszli prawie wszyscy - albo żeby wmieszać się do sprzeczki, albo dla rozrywki. Zostałem ja, pijane zielone domino, którego łokieć ustawicznie zjeżdżał ze stołu przy każdej próbie oparcia go na krawędzi, oraz mój gadatliwy i metodyczny rozmówca. Incydent z limuzyną skierował jego myśli na inne tory.

- Rekiny, które pan widział w limuzynie - mówił śledząc, czy słucham go dość uważnie - wszczęły tę całą historię. To z ich powodu siedzimy tutaj. Ten chudy to Cabon, właściciel ośmiu młynów parowych, a ten grubas nazywa się Tookar i jest fabrykantem sztucznego lodu. Chcieli nam zepsuć karnawał, ale to się im nie udało. A więc...

Przerwał mu powrót całej grupy biesiadników, która z gniewem i ze śmiechem zajęła swoje miejsca. Dalsza rozmowa toczyła się tak nerwowo i chaotycznie - część osób zwracała się do mnie, naświetlając zajście, część wtrącała różne uwagi, sprzeczała się i przerywała - że nie jestem w stanie odtworzyć jej przebiegu. Piłem z nimi, słuchałem to jednego, to drugiego, póki nie wyjaśniła mi się cała sytuacja.

Rzecz prosta, że pod otwartym niebem, wśród rozbawionych tłumów mnóstwo incydentów urozmaicało naszą pogawędkę. Znajomi moich gospodarzy przychodzili się przywitać, szeptali im coś na ucho lub odciągając tajemniczo na poufną rozmowę, tworzyli niespokojne tło, na którym pobłyskiwał deszcz confetti sypiących się z ładniutkich rączek. Zakusy nieznanomych masek, by doprowadzić nas do szału tańcem za naszymi plecami, nie ustające rozliczne wesołe utrapienia w rodzaju zakrywania z tyłu oczu dłońmi czy konfiskowania krzesła komuś, kto podniósł się na chwilę, pisk, hałas, strzelanina, tupot nóg i nonsensowne wykrzykniki, dźwięki kilku orkiestr i jaskrawy blask światła, nad którym, uśmiechając się, mknęła marmurowa „Biegająca po falach” - wszystko to mieszało się do naszej rozmowy i określało jej charakter.

Choćby realny powód owej wrogości i nienawiści, a mianowicie samotny posąg, był najbardziej piękny, to jednak wulgarna okazała się istota tego sporu między ludźmi. Podłożem były stare porachunki i sprawy materialne. Jeszcze pięć lat temu grupa przedsiębiorców miejskich zażądała, by zastąpić rzeźbę innym posągami lub całkiem oczyścić plac, gdyż wchodziła tu w grę sprawa poszerzenia magazynów portowych. Większa część terenu wyznaczonego na magazyny była własnością Grasa Parana. Rodzina jego należała do najstarszych w mieście. Paranowie trudnili się handlem i administracją. Byli to ludzie silni, przy tym szczęściarze posiadający tę korzystną dla nich znajomość życia, która stosowana w dziele pomnażania bogactw, sama przez się niezawodnie prowadzi do celu. Majątek ich rósł tak, jak rośnie drzewo - specjalnie nie wyróżniał się spośród innych, dopóki w roku 1863 Eleuzy Paran, dziad dziś żyjącego Grasa Parana nie spostrzegł między głazami obwału na swoim terenie, odgrodzonym z jednej strony górami, kałużą rtęci i nie zaczerpnął dłonią tej ciężkiej substancji.

Wystarczy spojrzeć na termometr albo na cętkę amalgamatu na lustrze, żeby sobie przypomnieć nazwisko: Gras Paran. Należy do niego trzecia część terenów portowych i czterdzieści domów. Oprócz kapitału włożonego w kolej żelazną, oprócz sześciu fabryk, gruntów i plantacji, wolny kapitał obrotowy Parana wynosi około stu dwudziestu milionów!

Gras Paran rozwiódł się z żoną, z którą nie miał dzieci, i usynowił siostrzeńca, syna swej młodszej siostry, Georga Gerda. Po kilku latach Paran powtórnie ożenił się z młodą dziewczyną. Stosunek wieku był następujący: Paran miał lat pięćdziesiąt, jego żona - osiemnaście, a Gerd - dwadzieścia cztery. Wbrew woli Parana Gerd został rzeźbiarzem. Spędził we Włoszech pięć lat, kształcił się w pracowniach Farnesiego, Awisa, Garducciego i po powrocie ujrzał śliczną młodą macochę, z którą zawarł przyjaźń, a przyjaźń ta przerodziła się później w miłość. Oboje byli ludźmi zdecydowanymi. Najpierw wyjechała do Europy ona, potem on - i już tu nie powrócili.

Kiedy mieszkańcy Hale-Gew, chcąc uczcić powstanie swego miasta, postanowili wznieść pomnik, Gerd wziął udział w konkursie i przysłany przez niego model podobał się

nadzwyczajnie. Był piękny i przykuwał uwagę napisem „Biegąca po falach”, nawiązującym do legendy, morza, okrętów; już sam ten dziwny napis sugerował wrażenie ruchu. Model Gerda (wtedy jeszcze nie wiadano, że autorem jest Gerd) wskrzeszał pustynne wybrzeże i mężne postaci pierwszych osiedleńców. Posłano zamówienie, nazwisko Gerda zostało ujawnione i posąg przywieziono z Florencji do Hale-Gew mimo rozpaczliwego oporu Parana, który dowiedziawszy się, że przybrany syn uwiecznił pamięć jego hańby, uciekł się do przekupstwa, prasy i szantażu, lecz cała ta kampania nie odniosła skutku. Znaleźli się potężni wrogowie Parana, którzy poparli decyzję miasta. Pomnik został ustawiony. Twarz Biegącej niczym nie przypominała żony Parana, lecz swoisty uraz uczuciowy, związany z nieodstępą myślą o jej zdradzie, doprowadził do maniakalnej sugestii - Paran nie zmienił przekonania, że Gerd w tym posągu wyobraział Ksymenę Paran.

Przez pewien czas zdawało się, że historia dobiegła kresu.

Jednakże Gras Paran, odczekawszy trochę, rozpoczął bezlitosną walkę i za cel życia postawił sobie usunięcie pomnika. Zyskał to, że wśród ogromnej liczby jego krewnych, ludzi zależnych od niego oraz przekupionych, zaczęto podnosić sprawę niemoralności pomnika. W ten sposób Paran przeciągnął na swoją stronę tych, w których podświadomości boleśnie tkwiły dawne zadrażnienia, mniejsze lub większe krzywdy, złość szukająca byle powodu - ludzi o mrocznych zakamarkach duszy, o życiu wewnętrznym skrytym i przejawiającym się czasem w jakimś niezrozumiałym postępku, którego punktem wyjścia jest postawa życiowa biorąca odwet na innej postawie, bez zastanowienia nad tym, co czyni. Metody i okoliczności tej walki doprowadziły wreszcie do prób rozbicia nocą posągu, lecz przekupieni do tego celu ludzie zostali przychwyteni przez grupę przypadkowych przechodniów, którzy powzięli podejrzenie, że dzieje się coś niedobrego. Na koniec uchwała miasta, które postanowiło uczcić swoje stulecie karnawałem, czemu również przeciwdziałali Paran i jego partia, przyprawiła tego człowieka o jawne szaleństwo. Padły pogrożki, które słyszano i powtarzano w mieście. Na dwa dni przed uroczystością ktoś wystrzelił kulę eksplodującą, która utraciła tylko górny róg piedestału. Strzelający zbiegł. Od tej chwili kilku energicznych ludzi utworzyło straż zasiadłszy przy tym stole, przy którym teraz siedziałem z nimi. Tymczasem strona atakująca nie tajiła już swych zamiarów, otwarcie zaprzysięgła, że rozbije pomnik i zamieni powszechną wesołość w triumf posępnych zamysłów.

Taka była treść naszej rozmowy, której słuchałem z tym większym napięciem, że często przerywały ją wspomniane wyżej istotne i nieistotne wybryki.

Karnawały, jak się wówczas dowiedziałem, odbywały się w Hale-Gew i dawniej, dzięki Francuzom i Włochom, którzy byli licznie reprezentowani w kręgu kolonii. Lecz ten karnawał przeszedł wszystkie inne. Był popularny. Jego racja była p i ę k n a. Wzajemna zjadliwość dwóch gazet i rozwój walki o pomnik, która stała się jak gdyby walką moralną, nadały mu odcień sportowy. Nagle wszystko nabrało rozmachu. Miasto wydało na dekorację i na samą uroczystość część pieniędzy z funduszu gospodarczego, co jeszcze dołało oliwy do ognia, gdyż stronnicy Parana natychmiast oszkalowali wrogów, ci zaś, przy obustronnej burzliwej ofensywie, wyciągnęli z lamusa stare sprawy niesłusznie rozstrzygnięte na korzyść Parana. Ekspedytorzy, którzy potrzebowali miejsca na składy portowe, zniechęceni obrońców pomnika, ponieważ Paran oznajmił swoją decyzję: nie da ani kawałka ziemi, dopóki na placu stoi, wyciągając ramiona, „Biegąca po falach”.

Jak stwierdziłem po incydencie z limuzyną, posąg ten, który obecnie nabrał dla mnie szczególnego znaczenia, był istotnie narażony na niebezpieczeństwo. Na pytanie Bowesa, czy zgadzam się stanąć po stronie jego przyjaciół, to znaczy przyłączyć się do straży, odpowiedziałem bez namysłu: „Tak”. Zainteresował mnie także sposób, w jaki traktował swoją rolę Bowes i wszyscy z jego grupy. Jak się wyjaśniło, byli to właściciele domów, urzędnicy celni, handlowcy i jeden oficer. Nie oczekiwałem ani hymnów na cześć sztuki, ani ckliwych lub entuzjastycznych uwag o głębi starannie strzeżonych doznań. Lecz zdziwiły mnie słowa

Bowesa, który rzekł na ten temat: „Wszyscy musieliśmy tak wiele myśleć o marmurowej Fraisy Grant, że w końcu stała się jak gdyby naszą znajomą. Ale trzeba też przyznać, że to znakomita rzeźba. Miastu brakowało kropki, a teraz kropka została postawiona. Tak sądzi wiele osób, zapewniam pana”.

Ponieważ potwierdziło się moje przypuszczenie, że hotele są przepelnione, z chęcią przyjąłem zaproszenie pewnego nader hałaśliwego człowieka bez maski, w przebraniu dżokeja. Był to mężczyzna tęgi, nerwowy, o puciołowatej czerwonej twarzy. Toczył oczami z zadziwiającą szybkością, widząc i spostrzegając wszystko. Nucił, mruczał, bębnił palcami, wiercił się hałaśliwie na krześle, czasami wpadał komuś w słowo i nie dopuszczał do głosu nikogo, ale tak samo nagle milkł i otworzywszy usta wlepił oczy w czoła i brwi gadułów. Wymienił mi swoje nazwisko: Arinogel Cook, poinformował, że mieszka stale za miastem, a teraz zamówił wcześniej pokój w hotelu i prosi, bym go z nim podzielił.

- Z całego serca - powiedział. - Widzę dżentelmena i rad jestem mu pomóc. Nie będzie mnie pan krępował. To ja będę pana krępował. Uprzedzam zawczasu. Bezwstydnie oświadczam panu, że jestem plotkarzem. Plotka to moja choroba i podobno osiągnąłem w tej mierze pewną doskonałość. Jak pan widzi - dokoła niezmiernie bogaty materiał. Jestem ciekawy i mogę zamęczyć pana pytaniami. Atakuję zwłaszcza ludzi mało rozmownych w rodzaju pana. Nie obrażę się jednak, jeśli pan w formie aluzji przypomni mi to wyznanie, kiedy zbyt panu dokuczę.

Zapisałem adres hotelu i z trudem pozbyłem się Cooka, który chciał niezwłocznie zdemontować, jak mi się będzie z nim mieszkało. Jeszcze przez pewien czas nie mogłem wstać od stołu, wysłuchując opowieści na ten sam temat, wreszcie jednak wstałem i okrążyłem pomnik.

Chciałem spojrzeć na to miejsce, w które ugodziła kula eksplodująca.

ROZDZIAŁ XXIII

Na prawo od stołu i pomnika ruch był mniejszy, gdyż po tej stronie dwie ulice przegradzono rogatkami, uzyskując przez to jednokierunkowy ruch pojazdów. Stąd też ruch kołowy mógł się odbywać tylko po jednej stronie placu, załamując się pod kątem prostym, lecz nie krzyżując, co pozwalało uniknąć wypadków. Z tej więc strony obszedłem pomnik.

Jeden róg marmurowego piedestału był utracony, ale na szczęście szczerba była niezbyt dostrzegalna dla tego, kto nie wiedział o strzale. U dołu pomnika był drugi napis „Georg Gerd, 5 grudnia 1909 roku”. Nocą, po śladach drobnych stóp, ostre płetwy kreśliły na fali ciemny zygzak. „Nie smutno panu na ciemnej drodze?” - przypomniałem sobie przyjazne słowa. Dwie damy w czarnych koronkach, z zasłoniętymi twarzami, przebiegły pod rękę obok mnie i zauważywszy, że oglądam skutki strzału, wykrzyknęły:

- Strzelać do kobiety! - powiedziała jedna z nich, druga zaś odrzekła:

- On pewnie był niespełna rozumu!

- Po prostu głupiec - odparła pierwsza. - Ale chodźmy.

Zaczęła szeptać, usłyszałem jednak:

- Wie pani, istnieje omen. Trzeba ją poprosić...

Reszta słów zabrzmiała, jak: „...a?! o?! Czyżby!”

Maski zaśmiały się krótkim gardłowym śmieszkiem tajemnicy i miłości, potem ruszyły w swoją stronę.

Chciałem już wrócić do stołu, kiedy oglądając się na kogoś w tłumie, szybko podeszła do mnie jakaś kobieta w barwnej sukni, obszytej pasamonem, i w maseczce:

- Pan był tu sam? - zaczęła pospiesznie, majstrując jedną ręką koło ucha, żeby umocować swoją maseczkę, drugą zaś wyciągnęła do mnie, bym nie odchodził. - Proszę zaczekać, mam polecenie. Pewna osoba pragnie pana powiadomić... (Idę! - odrzyknęła na wołanie tłumu) powiadomić, że poszła do teatru. Tam ją pan znajdzie i rozpozna po żółtej sukni z brązową frędzlą. To jej własne słowa. Mam nadzieję, że pan nic nie pokręci? - Kobieta chciała odbiec, lecz ją zatrzymałem. Karnawał jest pełen mistyfikacji. Sam kiedyś posłałem wielu prostaczków na poszukiwanie nie istniejących osób, lecz ten przypadek nie wyglądał mi na żart. Złapałem za koniec szala, trzymając naprężone ciało kobiety jak rybę na wędce.

- Kto panią przysłał?

- Rozedrze pan! - powiedziała obracając się tak, że szal opadł i został w mej ręce, a ona podbiegła po niego. - Proszę mi oddać szal. No właśnie tamta kobieta mnie przysłała. Powiedziała mi to i odeszła. Ach, zgubię swoich! Idę już! - zawołała w odpowiedzi na oddalający się głos kobiety, który ją przyzywał. - Nie oszukuję pana. Zawsze tylko zatrzymują człowieka, zamiast podziękować! No?! - wyrwała mi szal, skinęła głową i uciekła.

Czy to możliwe, że w tajemnicy przede mną ktoś myślał o mnie? O człowieku zagubionym w tłumie obcego miasta, ogarniętego szalem swawoli i tańca? W moim wzruszeniu był niejasny zarys czegoś, co działo się za moimi plecami. Kto porozumiewał się szeptem, kto wskazywał na mnie? Przygotowywał spotkanie? Uśmiechał się w cieniu? Nie rozpoznany, skrycie przemknął się w świetle? „Tak, to Bicze Seniwell - powiedziałem sobie - nikt inny.” Tej nocy myślałem o niej, szukałem jej przypatrując się przechodniom. „Istnieje nic, o której nic nie wiem, lecz jestem tutaj, słyszałem, co mi powiedziano, powinienem więc iść!” Byłem w owym stanie nierozwagi chwytającej spośród rzeczy niezrozumiałych pierwszy sens, jaki się nawinie, kiedy to człowiek myśli o sobie, jakby znajdował się poza sobą i szukał siebie po omacku. Wszystko staje się zamknięte i niedostępne. Wskazano mi tylko, co mam czynić. Rozejrzałem się, spytałem przechodniów, gdzie znajduje się teatr, i zobaczyłem go w pobliżu, na rogu placu i wąskiego zaułka. W gmachu panował gwar. Wszystkie okna były na rozcień otwarte i oświetlone. Muzyka grzmiała kusząc napięte nerwy powłóczytym jak tren motywem. W westybulu było istne piekło. Przepychałem się między ramionami, plecami i łokciami, w zaduchu pudru i dymu tytoniowego - ku schodom, po których zbiegały i wbiegały wystrojone maski. Błyskały wachlarze, kwiaty, pantofle i jedwab. Wchodziłem po schodach, ściśnięty w tłoku, i odzyskałem pewną swobodę ruchów dopiero na górze, gdzie z lewej strony ujrzałem opleciony girlandą kwiatów łuk dużego foyer. W foyer tańczono. Rozejrzałem się i spostrzegłem żółtą jedwabną suknię z brązową frędzlą.

Postać ta o kształtach, które budziły instynktowny zachwyt, podniosła się na mój widok z kanapy stojącej w lewym od wejścia rogu sali. Wymijając owalny stół zawadziła o niego, obejrzała się na przeszkodę, po czym szybko podbiegła do mnie i przystanęła, wdzięcznie poruszając główką. Czarna maseczka z ostro wyciętymi otworami na oczy, błyszczącymi niemo a wymownie, oraz nieśmiały uśmiech półotwartych ust miały wyraz figlarniej tajemnicy. Jej strój był czymś pośrednim między mantylą a maskaradową fantazją. Linie kostiumu, szerokie rękawy i dół krótkiej spódnicy były obszyte długą brązową frędzlą. Maską przyłożyła palec do warg; drugą ręką z rozstawionymi palcami wykonała w powietrzu kilka ruchów w tę i ową stronę, udając, że podkręca wąsy, dotknęła mego rękawa, następnie wyjaśniła, że zna moje nazwisko, nakreśliwszy w powietrzu słowo: Harvey. Podczas tej sceny usiłowałem dojść, w jaki sposób może ona w ogóle wiedzieć, że ja, który przyszedłem na jej życzenie, jestem właśnie Tomaszem Harveyem. Już byłem gotów uznać, że wszystkie jej poczynania wymagają niezwłocznych i poważnych wyjaśnień. Tymczasem maska znów pokiwała głową, tym razem z wyrzutem, i wskazawszy na swoją pierś, zaczęła uderzać palcem po ustach, chcąc mi w ten sposób wytłumaczyć, że chce usłyszeć ode mnie, czy ją znam.

- Znam panią, lecz nigdy nie słyszałem pani głosu - powiedziałem. - Widziałem panią, lecz nigdy z panią nie rozmawiałem.

Na chwilę znieruchomiła. Tylko jej wzrok w czarnych otworach maski wyraził głębokie, gorzkie zdziwienie. Nagle odezwała się bardzo śmiesznym, cieniutkim, sztucznie zmienionym głosem:

- Niech pan powie, jak się nazywam.

- P a n i po mnie przysłała?

Mnóstwo skwapliwych kiwnięć było odpowiedzią.

Nie pytałem więcej, ale z odpowiedzią zwlekałem. Zdawało mi się, że wymawiając jej nazwisko, dotknę jak gdyby zwierciadłanie gładkiej tafli wody, zmączę odbicie i wystraszę obraz. Najlepiej dla mnie było wiedzieć i nie mówić. Ale już mała rączka chwyciła mnie za rękaw, targając i żądając, bym wymówił nazwisko.

- Bicz Seniwell! - powiedziałem, po raz pierwszy głośno wymawiając te słowa. - Liss, hotel „Dover”. Tam się pani zatrzymała osiem dni temu. Jestem w trochę dziwnej sytuacji wobec pani, wierzę jednak, że przyjmie pani moje tłumaczenie tak prosto, jak proste jest wszystko we mnie. Nie wiem - dodałem widząc, że cofnęła się, opuściła ręce i milczy, milczy całą swoją istotą - czy powinienem był dowiadywać się w hotelu o pani nazwisko.

Usta jej drgnęły, otworzyły się lekko, jakby chciała coś powiedzieć. Przez chwilę patrzyła na mnie spokojnie, przygryzając wargę, potem szybkim ruchem odchyliła maskę i zobaczyłem Daisy. Przez jej wyraźne rozgoryczenie przebił się uśmiech satysfakcji, że oto zjawia się zamiast innej.

- Nie chcę się dłużej ukrywać - rzekła podając mi rękę. - Nie gniewa się pan na mnie? A teraz muszę pana pożegnać, bo się spieszę.

Próbowała wyswobodzić rękę, którą mimo woli zatrzymałem w swojej, i odwróciła twarz. Uwolniwszy się odeszła, przystanęła bokiem i zaczęła nakładać maskę.

Nie rozumiałem, skąd się tu wzięła, wiedziałem jednak, że dziewczyna miała zamiar oszołomić mnie strojem i niespodzianką. Poczułem obrzydliwe przygnębienie.

- Byłem pewny - powiedziałem idąc za nią - że pani już śpi na „Nurku”. Dlaczego pani nie podeszła do mnie, kiedy stałem przed pomnikiem?

Daisy odwróciła twarz. Na twarzy znów miała maskę. Bardzo jej było dobrze w tym stroju - mężczyźni, przechodząc, oglądali się za nią, a potem spoglądali na mnie, lecz ja czułem jej gorzkie zakłopotanie. Odezwała się robiąc przerwy między słowami:

- Słusznie, ale ja tak sobie umyśliłam. No, dlaczego pan się zmieszał? Ja nie chcę i nie będę panu przeszkadzać. Przyszłam po prostu dlatego, że nawinął mi się niedrogo ten strój i chciałam pana rozweselić. Tak się złożyło, że Tobbogan musiał się gdzieś zatrzymać, a mnie się trochę pomieszało w głowie wśród tych wszystkich wspaniałości. Zobaczyłam pana przypadkiem. Stał pan sam przed pomnikiem. Czy to jest naprawdę rzeźba Fraisy Grant? Jakie to dziwne! Poobijali mnie całą, zanim tu doszłam. Och, będę miała od Tobbogana! Polecę go uspokoić. Ale niech pan idzie, niech pan idzie, gdzie pan miał iść - dodała kierując się ku schodom i widząc, że ruszam za nią.-Ja już znam drogę i sama odzyskam swoich. Do widzenia!

Nie miałem powodu iść z nią razem i nie należało tego robić, toteż sam bardzo zmieszany, zatrzymałem się przy schodach patrząc, jak schodzi wolniutko, pochyliwszy lekko głowę i przesuwając w palcach frędzle na piersi. W jej nagle zwiotczonych plecach i ramionach wyczuwało się wzruszające zażenowanie. Nie obejrzała się. Stałem, dopóki nie zniknęła w tłumie, potem z westchnieniem wróciłem do foyer, bezgranicznie żałując, że w odpowiedzi na miły figiel dziewczyny uczyniłem jej mimowolną przykrość. Wszystko odbyło się tak prędko, że nie zdążyłem ani pożartować, jak wypadało, ani wyrazić swego zadowolenia. Zwymyślałem sam sobie od ordynarnych bydląt i choć nie było to słuszne, przepychałem się przez tłum z nadaremną skruchą, czyniąc sobie najgorsze wyrzuty.

Taniec właśnie się skończył, muzyka umilkła. Od przeciwległych drzwi szło w moim kierunku dwoje ludzi: wysoki oficer marynarki o dużej ujmującej twarzy, a obok, trzymając

go pod rękę, szła Daisy, z którą rozstałem się przed chwilą. Przynajmniej była to jej sylwetka, jej żółta suknia z brązową frędzlą. Jakby silny wiatr mnie owiał i wstrząśnięte do dna uczucia nagle ucichły. Drgnąłem i poszedłem naprzeciwko nich. Nie było wątpliwości - maskaradowym sobowtorem Daisy była Bicze Seniwell, wiedziałem o tym z taką pewnością, jak gdybym widział jej twarz. Już wtedy, gdy zbliżałem się do niej, spostrzegłem, że całą swą wewnętrzną istotą różni się ona od Daisy, stwierdziłem to na podstawie zasadniczej cechy tej nowej, a znanej mi już postaci. Ale zauważyłem również zdumiewające podobieństwo wzrostu, koloru włosów, sylwetki, ruchów, i podczas kiedy umysł mój rejestrował to wszystko, rzekłem skłoniwszy się:

- Pani jest Bicze Seniwell. Poznałem panią.

Drgnęła. Oficer spojrział na mnie z uśmiechem zdziwienia. Lecz ja całkiem już panowałem nad sobą i czekałem odpowiedzi z absolutną pewnością. Dziewczyna lekko pokraśniała, wysunęła do góry dolną wargę, jak gdyby maska przeszkadzała jej patrzeć, i roześmiała się, ale z pewnym przymusem.

- Bicze Seniwell? - spytała sztucznie obojętnym głosem, czystym i śpiewnym. - Ach, proszę mi darować, ale nie znam tej osoby. Nie jestem nią.

Pragnąc wyjść z tonu karnawałowej zabawy, ciągnąłem:

- Wybacz pani. Nie tylko znam panią, ale mamy również wspólnych znajomych. Kapitan Hase, z którym tutaj płynąłem, przybył już zapewne w tych dniach, może nawet wczoraj.

- O! Ach! - wykrzyknęła speszona nie na żarty. - Nie jestem tak przesadnie pewna siebie, by zaprzeczać dalej. Maski nie chroni. Zdumiałam się, ponieważ widzę pana pierwszy raz w życiu. Winnam uwieńczyć pański triumf.

Pokrywając tymi słowami niepokój, zdjęła maskę i zobaczyłem Bicze Seniwell. Sekundę badała mnie wzrokiem. Ukłoniłem się i wymieniłem swoje nazwisko.

- Zdaje się, że i pan jest zaskoczony rezultatami pańskiej przenikliwości - zauważyła. - Przyznaję, że nic a nic nie rozumiem.

Stałem dając jej do zrozumienia milczeniem i wzrokiem, że najodpowiedniej byłoby rozmawiać bez osób trzecich. W lot to pojęła i spojrzawszy na oficera rzekła:

- Mój siostrzeniec, Botwell. No, tak. Widzę, że musimy porozmawiać.

Botwell, który stał ze złożonymi na piersiach rękami, przenosząc wzrok z Bicze na mnie, zauważył:

- Droga ciociu, zostałam ukarana w niepojęty sposób. Twierdziłaś, że nawet ja bym ciebie nie poznał. Pójdę do Nouvelle'a i obgadam z nim wyjazd do Latornu.

Upewniwszy się, gdzie ma nas szukać, odwrócił się z ukłonem, rozejrzawszy się po sali, potem strzepnął palcami i ciężkim, sprężystym krokiem skierował się ku grupie kobiet, które stały trzymając się pod rękę. Podchodząc do nich pomachał ręką i znikł w tłumie.

Bicze patrzyła na mnie z pełnym niepokojem napięciem. Zdawałem sobie sprawę, że czeka mnie trudna rozmowa, i dlatego zwlekałem, lecz ona pierwsza zapytała, gdy usiedliśmy w głębi kwiatowej altanki:

- Pan płynął na „Biegnącej”? - Powiedziawszy to, wsunęła mały palec w wycięcie maski i zaczęła nią kołysać. Każdy jej ruch utrudniał mi zebranie myśli, toteż z początku mówiłem niejasno. Gmatwałem się dlatego, że nie chciałem najpierw mówić o niej, ale kiedy zrozumiałem, że inaczej nie można, powrócił ład i prostota relacji.

Byłem ogromnie wdzięczny Bicze za uwagę i spokój, z jakim wysłuchiwała opowiadania o scenie na nabrzeżu, to znaczy o sobie samej. Uśmiechnęła się tylko, kiedy dodałem, że dzwoniąc do hotelu „Dover” poprosiłem A n n ę M a c p h e r s o n.

- Słucham, słucham - powiedziała; a potem bardzo poważnie: - Domyślam się, co pan mówił o mnie, i wyobrażam to sobie.

Wkrótce potem Bicze znów nałożyła maskę i wtedy poczułem się spokojniejszy i pewniejszy siebie. Teraz tylko z ruchu jej warg mogłem wyczytać, jak przyjmuje moją opo-

wieść.

Dopiero kiedy skończyłem, można było wrócić do zdarzeń dzisiejszego wieczora.

- Teraz będzie pani musiała mi wierzyć, ponieważ ja sam wielu rzeczy nie rozumiem i wiele uważam za niezasłużone szczęście.

Nie miałem ochoty wspominać o Daisy, jednak nie było wyjścia. Opowiedziałem o jej żarcie i o spotkaniu drugiej maski w identycznej żółtej sukni z brązową frędzlą, czyli o spotkaniu jej samej. Dodałem jeszcze, że tylko dzięki tak dokładnej kopii tego kostiumu podszedłem do niej z całkowitą pewnością.

- A zatem pan się spodziewał spotkać m n i e?- zapytała Bicze. - O, to jest rzeczywiście skomplikowane! Tak, ale jeszcze - Hase. Pewnie opowiadał panu o mnie?

- Nie.

- Historię z suknią, z tym kostiumem, chyba łatwiej będzie zrozumieć. Były d w a takie stroje. Kupiłam go dzisiaj w pewnej pracowni. - Dotknęła frędzli na piersiach i ciągnęła dalej. - Weszłam tam i spostrzegłam ten kostium między kilkoma innymi; w ogóle zostało już niedużo. Wskazałam na niego. Właścicielka poinformowała mnie, że pewna nieznajoma pani zamówiła u niej dwa takie kostiumy, ale może je sprzedać, ponieważ klientka nie zjawiła się. Wtedy kupiłam jeden z nich. Drugi zatem trafił do rąk pańskiej znajomej całkiem przypadkowo. Cóż by mogło być innego?

- Prawdopodobnie tak było - odparłem starając się nie komplikować wyjaśnień, które, dopuszczając potrójną rażącą przypadkowość, przecież mieściły się w głowie. - Chciałem teraz opowiedzieć o Hasie i o statku.

- Tu nie ma tajemnic - odrzekła Bicze po chwili namysłu. - Płaczymy się, ale dojdziemy do ładu. To nasz statek, należał do mego ojca. Hase przywłaszczył go sobie podstępem. Istotnie, jest w naszym spotkaniu coś takiego, co zdarza się we śnie, choć nie potrafię tego zrozumieć! Otóż jestem w Hale-Gew tylko po to, by zmusić Hase'a do oddania nam „Biegnącej”. Dlatego od razu przyznałam się do mego nazwiska, gdy pan wspominał o Hasie. Czekałam na niego i liczyłam, że otrzymam od pana informacje.

Znów zagrała muzyka, zaczęły się tańce. Słowa Bicze o „podstępie” Hase'a ukazały mi jej stosunek do tego człowieka w tak wyraźnym świetle, że sprawa fotografii dziewczyny w kajucie kapitana straciła dla mnie swą ciemną stronę. W jej sposobie mówienia i patrzenia była rozumna prostota i subtelna oględność, która sprawiła, że moja relacja nie była kompletna; czułem, że niepodobna mi nie tylko powiedzieć, ale nawet napomknąć o tym, jak szczególne przyczyny powodowały moimi postępkami. Dlatego przemilczałem zdarzenie w domu Stersa.

- Za wysoką sumę - powiedziałem - Hase zgodził się udzielić mi kajuty na „Biegnącej po falach” i wyruszyliśmy w drogę, jednak po awanturze, jaka się rozegrała w nieprzyjemnej sytuacji z pijanymi kobietami, kiedy z konieczności usiłowałem położyć kres skandalowi, Hase wyrzucił mnie na pełnym morzu. Był tak rozwścieczony, że odżałował szalupy, byleby się mnie pozbyć. Na moje szczęście zabrał mnie rano mały szkuner płynący do Hale-Gew. Przyjechałem tu dziś wieczorem.

Skutek mojego opowiadania był taki, że Bicze natychmiast zdjęła maseczkę i już jej nie zakładała, jakby przegroda między nami stała się niepotrzebna. Ale nie krzyknęła ani nie oburzyła się głośno, jakby na jej miejscu zrobił ktoś inny, tylko ściągnęła brwi i ciężko westchnęła.

- Nieźle! - rzekła z miną, która starczyła na całe mnóstwo wykrzykników. - A więc Hase... Wiedziałam, że to łotr. Ale nie wiedziałam, że może być straszny.

W zapale chciałem już zacząć o Fraisy Grant i wydało mi się, że w nerwowym blasku utkwionych we mnie oczu i w bezwiednym poruszeniu ręki, wspartej końcami palców o krawędź stołu, kryje się sprzyjająca wskazówka, że opowieść o nocy spędzonej w łodzi byłaby teraz w porę. Przypomniałem sobie, że mówić mi n i e w o l n o, i z bólem pomyślałem:

„Dlaczego?” Równocześnie rozumiałem d l a c z e g o, lecz odsuwałem myśl o tym.

Nie wspominając, rzecz prosta, o fotografii, dodałem tyle, ile mogłem szczegółów bezpośrednio wynikających z opowiadania i dokładniej zrelacjonowałem moją historię z Hase'em; następnie Bicze, widocznie ufając mi, wtajemniczyła mnie w dzieje statku i swego przyjazdu.

„Biegająca po falach” została zbudowana przez ojca Bicze dla jej matki, wrażliwej i kapryśnej kobiety, która zmarła osiem lat temu. Kapitanem został Hase; Butlera i Sinkrite'a Bicze nie znała; wstąpili na służbę, gdy statek był już w posiadaniu Hase'a. Kiedy Seniwell zbankrutował i została jedna płatność, której nie miał z czego uiścić, Hase zaproponował, żeby mu fikcyjnie odstąpił go na własność i w ten sposób ocalił statek, którego Seniwell strzegł jak oka w głowie jako pamiątką po żonie; żona jego bardzo ten statek lubiła i niejedną raz odbywała nim podróże. Hase załatwił wszystkie formalności; prócz tego zapłacił połową reszty długu Seniwelli.

Następnie, choć miał zastrzeżone, że nie wolno mu użytkować statku dla swoich celów, Hase jawnie zgłosił prawo własności i zabrał „Biegającą” do innego portu. Okoliczności sprawy nie pozwoliły zwrócić się do sądu. W tym czasie Seniwell spodziewał się znacznej sumy z likwidacji pewnego przedsiębiorstwa, z którym łączyły go interesy, lecz wypłata pieniędzy odwlokła się i Seniwell nie mógł, tak jak chciał, odkupić od Hase'a swego własnego statku. Sądził, że Hase chce pieniędzy.

- Ale on nie pieniędzy chciał - rzekła Bicze patrząc na mnie zamyślonym wzrokiem. - Tu w grę wchodzi ja. Wlokło się to długo i dokuczyło mi do najwyższych granic. - Uśmiechnęła się pobłażliwie, dając mi do zrozumienia, co takiego zaszło. - No więc tak. Hase nie prześladował mnie w tym sensie, bym musiała uciec się pod czyjąś obronę, pisał tylko długie listy, a w ostatnich (czytałam wszystkie) oświadczył po prostu, że zatrzymuje statek z powodu pewnej natrętnej myśli i przeczucia. Przeczucie mu powiedziało, że jeśli nie odda „Biegającej”, los uczyni mnie... - tak, tak! dobrze pan słyszy - jego żoną. Taki on jest. Dziwny człowiek, i to, co pan mówił o różnych o nim opiniach, jest zupełnie możliwe. Pierwsza lepsza książka może go odmienić na dwa, trzy dni. Poddaje się sugestii i sam ją stwarza wyobrazwszy sobie, dajmy na to, że jest cnotliwym bohaterem albo melodramatycznym łajdakiem z „iskrą w duszy”. Co? - Roześmiała się. - No, sam pan teraz widzi. Ale co w nim naprawdę siedzi - rzekła z oburzeniem - to tylko diabeł wie! Z początku - przynajmniej w stosunku do nas - był inny. Tylko czasem dochodziły nas słuchy o różnych jego wybrykach, ale nie zwracaliśmy na to uwagi.

Milczałem. Bicze uśmiechnęła się do swoich myśli.

- „Biegająca po falach” - wymówiła odchylając się w tył i bawiąc się maską leżącą na kolanach. - Ojciec jest bardzo stary. Nie wiem, kto starszy - on czy jego laska; już nie chodzi bez laski. Otrzymaliśmy jednak pieniądze. Teraz na tle jego bardzo długiego, bujnie, szczęśliwie i z sensem przeżytego życia postać mojej matki staje się wyrazistsza, coraz jaśniejsza, a pamięć o tym, co jest z nią związane - doskonała. Widzę, jak ojca nęka to, że „Biegająca po falach” pływa raz tu, raz tam z workami, zbrukana złodziejską ręką. Mam czek na siedem tysięcy... Ho, ho, czytam w pańskich oczach: „Odważna, dzielna...” Chodzi o to, że Hase ma dla mnie - tak mi się oczywiście zdaje - pewien szacunek. To mu zresztą nie przeszkadza wziąć pieniądze. Takie połączenie uczuć nazywa się „psychologią”. Zebrałam informacje i postanowiłam zrobić mojemu staruszkowi niespodziankę. W Lissie, dokąd prowadziły moje informacje, rozminęłam się z Hase'em zaledwie o jeden dzień; nie wiedząc, czy zawadzi o Liss, czy wyruszy prosto do Hale-Gew, przyjechałam pociągiem, ponieważ tak czy owak Hase musi tu być, zapewniono mnie o tym. Pisać do niego byłoby rzeczą nierozsądną i ryzykowną, mój list nie powinien znajdować się w takich rękach. Teraz jestem gotowa dziwić się i dziwić od początku do końca wszystkiemu, co doprowadziło do mojego spotkania z panem. Dziwię się także swojej szczerości - nie dlatego, bym nie wiedziała, że mówię z

dżentelmenem, ale... to nie leży w moim charakterze. Zdenerwowałam się prawdopodobnie. Czy pan zna legendę o Fraisy Grant?

- Znam.

- To przecież „Biegnąca”. Oryginalne miasto z tego Hale-Gew. Bardzo je lubię. Właściwie to my, Seniwellowie, jesteśmy bohaterami dzisiejszej uroczystości - mamy statek o tej nazwie, poza tym moja matka pochodzi z Hale-Gew; jest w prostej linii wnuczką Wiliama Hobsa, jednego z założycieli miasta.

- Czy wie pani - zapytałem - że statek został odstąpiony Brownowi tak samo fikcyjnie, jak ojciec pani sprzedał go Hase'owi?

- O tak! Ale cóż Brown ma wspólnego z tą sprawą. Hase musi wszystko załatwić. Otóż i Botwell.

Botwell zbliżał się wypatrując nas między głowami ludzi i spostrzegłszy, że umilkliśmy i spoglądamy na niego oczekująco, przyspieszył kroku.

- Wyobraź sobie, co za zdarzenie - powiedziała do niego Bicze. - Nasz nowy znajomy, Tomasz Harvey, płynął na „Biegnącej” z Hase'em. Hase jest tutaj albo wkrótce będzie.

Nie wspomniała ani słowem o tamtej historii, pozostawiając do mego uznania to, czy zechcę opowiedzieć o kłótni i zbrodniczym postępku Hase'a. Wzruszył mnie jej takt; krótko potwierdziłem słowa Bicze, pomijając milczeniem szczegóły mojej podróży.

Bicze powiedziała:

- Zostałam rozpoznana przypadkowo, ale w sposób bardzo a bardzo skomplikowany. Opowiem ci to później. Bawiliśmy się trochę w szczerłość.

Wyjaśniła, że znam prawdziwe okoliczności tej sprawy.

- Tak - rzekł Botwell - ponury pirat z kindżałem w zębach ściga naszą Bicze. Wszyscy już o tym wiedzą; nawet czasem mówią o tym, jeśli nie mają innego tematu.

- Żartuj sobie! - wykrzyknęła Bicze. - A mnie bez żartów czeka męcząca rozmowa!

- Ja i Harvey również pójdziemy do Hase'a - powiedział Botwell - i będziemy przy tej rozmowie.

- Wtedy nic z tego nie wyjdzie - Bicze westchnęła. - Hase odplaci lodowatą uprzejmością, a ja zostanę z niczym.

- Nie lęka się pani... - nie wiedziałem, jak sformułować to pytanie, lecz dziewczyna doskonale zrozumiała, co mam na myśli.

- O-o! - ugodziła mnie jasnym wzrokiem. - No, ale noc cudów się przeciągnęła. Musimy iść, Botwell.- Nagle ożywiła się, roześmiała i stała się zupełnie inna; nakreśliła w małym notesiku kilka słów i podała mi kartkę.

- Musi pan nas odwiedzić - rzekła. - Daję panu swój adres. Piękna, stara ulica, stary dom, dwoje starych ludzi i ja. Jak się umówimy? Zapraszam pana jutro na obiad.

Podziękowałem. Bicze i Botwell wstali. Towarzyszyłem im do wyjścia, przeciskając się w maskaradowym tłumie. Bicze podała mi rękę.

- A więc pan w s z y s t k o pamięta? - powiedziała wdzięcznie rozchyliwszy wargi i patrząc na mnie swawolnie. - Nawet to, co się działo na nabrzeżu? (Botwell uśmiechnął się nic a nic nie pojmując.) - Doprawdy, pamięć to coś przerażającego! Zgadza się pan?

- Nie w danym przypadku.

- A w jakim? No, Botwell, to wszystko warto opowiedzieć Gerdzie Thomston. Długo będzie miała o czym myśleć. Proszę się nie gniewać - zwróciła się do mnie - muszę żartować, żeby się obronić przed smutkiem. Wszystko jest skomplikowane! Wszystko takie zawile. Całe życie! Jestem bardzo poruszona tym, czego nie rozumiem, lecz gorąco chcę zrozumieć. Pomoże mi pan jutro? Na przykład - te dwie suknie. To jest problem! Do widzenia!

Kiedy się odwróciła odchodząc z Botwellem, twarz jej, którą widziałem z profilu, była zatroskana i malowała się na niej niepewność. Rozmawiając półgłosem weszli w drzwi i oboje jednocześnie się obejrzel. Przeczuwając ten odruch, odwróciłem się, żeby odejść. Zrozu-

miałem, jak droga mi jest ta dopiero teraz poznana dziewczyna. Odeszła, ale wciąż jeszcze jakby była przy mnie.

Dostał mi się grad szturchańców, ponieważ szedłem całkowicie zatopiony w myślach, aż wreszcie opamiętałem się i wyszedłem z sali po schodach do bocznego wyjścia na ulicę. Schodząc przypomniałem sobie, że przed godziną schodziła tędy Daisy skubiąc w zamyśleniu frędzlę przy sukni - i, skruszony, z całego serca życzyłem jej dobrej nocy.

ROZDZIAŁ XXIV

Byłem głodny, znalazłem więc niedaleko małą restaurację i choć trudno było przepchać się przez podchmieloną cizbę u wejścia, wcisnąłem się jakoś do środka. Wszystkie stoliki, przejścia, miejsca przy bufecie były zajęte; jaskrawe światło, dym tytoniowy, śpiewy zmieszane z hałasem i krzykiem przyprawiły mnie o zawrót głowy. Znaleźć miejsce i usiąść gdziekolwiek było przedsięwzięciem równie łatwym, co przewleczenie liny przez ucho igielne. Wkrótce zwątpiłem, że znajdę miejsce siedzące, lecz zaświtała nadzieja, że oswobodzi się nieco przestrzeni koło bufetu. Spostrzegłszy to, natychmiast się tam skierowałem i zacząłem jeść nalewając sobie na chybcika z odkorkowanej butelki. Sytuacja nie usposabiała do dłuższego odpoczynku. Wtem za moimi plecami wybuchła głośna sprzeczka. Jakiś nieznajomy rozpychał ludzi przeciskając się do bufetu i odpowiadał beczelnym śmiechem na ich oburzenie. Spojrzawszy w tamtą stronę, przerwałem jedzenie i wydostałem się z tłumy, porwany nagłym gniewem - owym nieznajomym był Sinkrite.

Próbując i mnie odepchnąć z drogi, Sinkrite obejrzał się przelotnie; wówczas uwięziłem jego spojrzenie i powiedziałem:

- Dobry wieczór! Znów się spotykamy!

Ujrawszy mnie, wpadł w taki popłoch, że cofnął się w tłum. Przez sekundę cała jego postać wyrażała żarliwe, dręczące pragnienie ucieczki, ukrycia się - jakkolwiek w tym ścisunku chyba tylko kot zdołałby uciec.

- Uf, uf! - odezwał się wreszcie ocierając wierzchem dłoni czoło pod daszkiem czapki. - Drzę cały! Jakże się cieszę, jakże jestem szczęśliwy, że pan żyje! Ja nic nie jestem winien, przysięgam! To Hase... Na miłość boską, niech pan mnie wysłucha, a dowie się pan wszystkiego! Cóż to była za obłąkana noc! Niech piekło pochłonie Hase'a; pierwszy będę pańskim świadkiem, bo ja absolutnie nie maczałem w tym palców!

Nic na to nie powiedziałem. Patrzyłem tylko, a Sinkrite, przytrzymując mnie za rękę, mówił coraz głośniej, z coraz większym przestrachem. Cofnąłem rękę i powiedziałem:

- Wyjdźmy stąd.

- Oczywiście... Ja zawsze...

Poskoczył za mną jak pies. Wstrząs widoczny po nim był całkiem wiarygodny, zwłaszcza że, jak się od niego dowiedziałem, na „Biegnącej” oczekiwali i lękali się mego powrotu do Dagonu. Dzieliło nas wówczas od Dagonu zaledwie pięćdziesiąt mil z niewielkim okładem. Tylko jeden Butler sądził, że mogło się zdarzyć coś gorszego.

Poprowadziłem Sinkrite'a do rogu i skręciwszy w zaułek, usiadłem na stopniach przed jakąś zamkniętą sienią i tam wytrzępiałem z niego wszystek kurz myśli i słów w związku z moją sprawą. Jak słusznie przewidywałem, Sinkrite, widząc, że nie spotkało go nic złego, ochłonął szybko, lecz mówił z takim szacunkiem, tak uniżenie i tak bacznie wysłuchiwał najmniejszej mojej uwagi, że owa żarliwość wiele go musiała kosztować.

Rzecz miała przebieg następujący:

Od samego początku, gdy wsiadłem na statek, Hase zaczął kombinować, w jaki sposób

pozbyć się mnie i jednocześnie zatrzymać pieniądze. Układał rozmaite plany. Między innymi na przykład chciał mi powiedzieć, że „Biegnąca po falach” wyruszy z Dagonu do Sumatu. Hase przypuszczał, że nie w smak mi będzie tak daleka podróż i że wysiadę w pierwszym porcie. Jednakże taki plan mógł go narazić na śmieszność. Po wypłynięciu z Lissu wpadł w bardzo zły i nerwowy nastrój. Ustawicznie powtarzał: „Będziemy mieli pecha z tym przeklętym Harveyem”.

- Odczuwałem jego tkliwą miłość - zauważyłem - ale czy pan nie może mi wyjaśnić, czemu Hase tak mnie nienawidzi?

- Przysięgam panu, że nie wiem! - zawołał Sinkrite. - Możliwe, że... to trudno powiedzieć. Widzi pan, Hase jest przesądny.

Choć nie udało mi się nic wyjaśnić, wyczułem przecież, że Sinkrite coś przemilcza. Następnie przeszedł do awantury. Hase przysięgł kobietom, że przyjdę do stołu, ponieważ za wszelką cenę chciały zobaczyć „tajemniczego”, według ich słów, pasażera i drażniły się z Hase'em mówiąc, że lekceważę jego towarzystwo. Kobieta, którą Hase potem uderzył, założyła się, że przyjdę z Sinkrite'em. Gdy stało się inaczej, Hase wściekł się na wszystkich. Kobiety płynęły do Hale-Gew, obecnie nie ma już ich na statku. „Biegnąca po falach” przybiła wczoraj wieczorem. Według słów Sinkrite'a, widział on te kobiety po raz pierwszy i nie wie, co to za jedne. Po incydencie Hase najpierw chciał wyrzucić mnie za burtę i trzeba było wiele trudu, żeby go od tego odwieść. Ale co do łodzi, nic nie pomogło, kapitan pieńił się ze złości. Po prostu oszalał. Gotów był oddać własne życie, żeby tylko doprowadzić swój zamiar do skutku.

- Wtedy - mówił Sinkrite - to znaczy, kiedy pan wsiadł już do łodzi, Butler chwycił Hase'a za ramię i zaczął nim potrząsać, mówiąc: „Niech pan się opamięta. Jeszcze nie jest za późno. Niech pan go zawróci!” Hase jak gdyby trochę ochłonął. Jeszcze się nie odzywał, ale już zaczął słyszeć, co się do niego mówi. Może zrobiłby to, gdyby go mocniej przycisnął. Ale wtem zjawiła się dama - wie pan...

Sinkrite przerwał niepewny, czy wolno mu poruszyć ten temat. Skinąłem głową. Miałem do wyboru dwa wyjścia: zapytać „Skąd ona się wzięła?” - i tym samym, oczywiście, dać powód, by mnie uważano za łgarza - lub przyjąć wygodną prostotę domysłów Sinkrite'a. Wybrałem drugie:

- Tak. I nie mogliście zrozumieć?

- No pewnie - rzekł Sinkrite - ona była z panem, ale jakim cudem? Wszystko nas to zaskoczyło. Zaledwie chwilę była na pokładzie. Co mieliśmy o tym myśleć, kiedy nam się niedobrze zrobiło ze strachu? Hase znowu zmysły postradał. Chciał ją zatrzymać, ale jakoś tak się stało, że go wyminęła i stanęła przy trapie. Ośłupieliśmy. Hase kazał spuścić trap. Odjechaliście oboje. Wtedy poleciliśmy do pańskiej kajuty, a Hase zaklinał się, że ona przyszła do pana ostatniej nocy w Lissie. Nie było innego wytłumaczenia. Lecz po tej całej historii Hase zaczął pić, jak nigdy, i powtarzać, że pan to wszystko uknuł z premedytacją i że on się jeszcze kiedyś o tym dowie. Na drugi dzień pod wszystkimi masztami świata nie było bardziej żalosnego tchórza niż Hase. Powtarzał ciągle w kółko o więzieniu, o ciężkich robotach i dwadzieścia razy na dzień uczył wszystkich, co i jak mają mówić, kiedy pan poda go do sądu. Marynarzom rozdawał pieniądze, poił ich wódką, obiecywał podwójną wypłatę, byle tylko zeznali, że pan kupił od niego łódź.

- Sinkrite - odezwałem się po krótkim milczeniu, podczas którego zarysował mi się niezły plan, korzystny dla Bicze - pan mocno przytrzymał drzwi, kiedy je wtedy otworzyłem...

- Przysięgam!... - zaczął Sinkrite i umilkł na pierwszy mój gest.

Ciągnąłem:

- Tak b y ł o i dlatego nie ma co się wykręcać. Następstwa nie wymagają komentarzy. Nie wspomnę o panu w sądzie pod jednym warunkiem.

- Niech pan mówi, na Boga, uczynię wszystko!
- Warunek jest zupełnie niekłopotliwy. Nie wspomni pan Hase'owi ani słowem o tym, że pan mnie tu widział.
- Gotów jestem milczeć choćby sto lat; niech pan mi wybaczy!
- Dobrze. Gdzie jest Hase - na statku czy na brzegu?
- Zajechał do małego hoteliku na nabrzeżu. Hotelik nazywa się „Żagiel i Para”. Jeśli pan chce, zaprowadzę pana.
- Myślę, że sam go odnajdę. No, Sinkrite, na razie żegnam pana.
- Może pan jeszcze czegoś ode mnie potrzebuje?
- Niech pan mniej pije - powiedziałem, ułagodzony jego przestraczem i pokorą. - I niech pan rzuci Hase'a.
- Przysięgam... - zaczął Sinkrite, lecz ja już wstałem. Nie wiem, czy siedział dalej na stopniach przed sienią, czy wszedł do szynku. Zostawiłem go w zaułku i wyszedłem na plac, lecz przy stole obok pomnika nie zastałem już nikogo z dawnego towarzystwa. Zapytałem o Cooka, na co otrzymałem informację, że Cook prosił, bym przyszedł do niego do hotelu.
Ruch był już słabszy. Tłum się rozchodził; zamykano drzwi. Z ciemnej wysokości patrzyła na zasypiające miasto „Biegająca po falach”, a ja pożegnałem się z nią jak z żywą.
Odnalazłem hotel, do którego zaprosił mnie Cook, i gdy mnie zaprowadzono do pokoju, zastałem gospodarza w łóżku. Słyszając hałas Cook otworzył oczy, lecz znowu je zamknął. Potem znów otworzył, spał jednak. Po niesłychanym wysiłku tych zaspanych nieprzytomnie otwartych oczu widziałem, że Cook stara się powiedzieć coś uprzejmego. Widać, był ogromnie zmęczony. Nie mogąc zebrać sił, westchnął, wymamrotał, poznawszy mnie: „Niech pan się rozgości” - i z hałasem przewrócił się na drugi bok.
Położyłem się na sąsiednim dostawionym łóżku i natychmiast zamknąłem oczy. Ciemność nagle runęła w dół; pokój wywrócił kozła i prawie w tej samej chwili zasnąłem.

ROZDZIAŁ XXV

Kładąc się wiedziałem, że będę spał jak zabity, chciałem jednak wstać wcześniej i właśnie ta myśl tkwiąca w podświadomości, obudziła mnie. Kiedy otworzyłem oczy, pamięć miałem tak pustą jak po zemdleniu. Nie mogłem pochwycić ani jednej myśli, póki nie spostrzegłem wysuniętej dolnej wargi śpiącego Cooka. Wówczas mgła się przetaiła, natychmiast uprzytomniłem sobie wszystko, co zaszło, i sięgnąłem po leżący na krześle zegarek. Na szczęście było dopiero wpół do dziesiątej.

Ubrałem się po cichu, żeby nie zbudzić mego gospodarza, i zszedłem do salonu, gdzie poprosiłem o mocną herbatę i przybory do pisania. Napisałem dwie kartki, jedną do Bicze, zawiadamiając, że Hase jest w Hale-Gew i podając jego adres; drugą do Proktora - z prośbą, żeby oddał moje rzeczy posłańcowi. Nie wiedziałem, czy wypada napomknąć Daisy o naszym spotkaniu, i ograniczyłem się do zwyczajnych pozdrowień dla niej. Wysłałem kartki przez dwóch posłańców i poszedłem do fryzjera, u którego zabawiłem około pół godziny.

Czas płynął niezwykle szybko. Kiedy wyruszyłem na poszukiwanie Hase'a, był już kwadrans po dziesiątej. Dzień był upalny. Nie znałem ulic, straciłem więc jeszcze ze dwadzieścia minut, ponieważ zabłądziwszy, wyszedłem na odległy koniec nabrzeża i musiałem zawrócić. Obawiałem się, że Hase wyjdzie w jakichś interesach lub ukryje się, jeżeli Sinkrite nie dotrzymał słowa, głównie zaś chciałem uprzedzić Bicze i zgodnie z ułożonym przeze mnie planem, przyprzeć do muru Hase'a i zmusić go do ustępliwości w sprawie statku Seniwellów; zważywszy to wszystko, wziąłem dorożkę. Wkrótce znalazłem się przed hotelem

„Żagiel i Para”, mieszczącym się w białym, brudnym domu z oszkloną galerią na pierwszym piętrze, ze sklepami i szynkiem na parterze. Wchodziło się przez bramę, a potem na lewo po ciemnych i stromych schodach. Zatrzymałem się na chwilę, żeby zebrać myśli, gdy wtem usłyszałem pospiesznie doganiające mnie kroki. „Proszę zaczekać” - powiedział zasapany męski głos. Obejrzałem się.

Był to Butler ze swym ociężałym uśmiechem.

- Wejdźmy na schody - rzekł. - Ja także idę do Hase'a. Widziałem pana jadącego tutaj i kamień spadł mi z serca. Może mi pan wierzyć albo nie. Pobiegłem, by pana dogonić. To straszna, nikczemna historia, nie ma co mówić! Ale nie mogłem mu przeszkodzić. Jeśli coś było moją winą, to tylko to, dlaczego nie mogłem mu przeszkodzić. Rozumie pan? No, wszystko jedno. Byłem jednak po pańskiej stronie; tak to wygląda. Zresztą, od pana zależy, czy zechce pan mnie znać, czy będzie pan patrzył na mnie jak na wroga.

Nie wiem, czy byłem zadowolony z tego spotkania, czy też nie. Gniewne wątpliwości walczyły we mnie z mimowolną wiarą w jego słowa. Powiedziałem: „Za wcześnie go sądzić”. W słowach Butlera brzmiała prawda; był w nich gorzki wyrzut wobec samego siebie i szczerą radość, że mnie widzi żywym. W dodatku Butler był zupełnie trzeźwy. Podczas kiedy stałem w milczeniu, za fasadą, w głębi olbrzymiego podwórza rozległ się hałas, natarczywe rozkazy. Coś tam się działo. Nie zwróciwszy na to szczególnej uwagi, zacząłem wchodzić po schodach i rzekłem do Butlera:

- Skłonny jestem uwierzyć panu, ale nie będziemy teraz o tym mówić. Muszę się zobaczyć z Hase'em. Niech pan będzie łaskaw pokazać mi, gdzie znajduje się jego pokój, i niech pan odejdzie, ponieważ czeka mnie bardzo poważna rozmowa.

- Dobrze - odpowiedział. - Idzie tu posługaczka. Dowiemy się, czy kapitan już nie śpi. Powiem mu tylko dwa słowa i zaraz odejdę.

Przez ten czas weszliśmy na pierwsze piętro i znaleźliśmy się w ciasnym korytarzu z wyjściem po lewej stronie na oszkloną galerię. Na prawo zobaczyłem szereg drzwi w nierównych odstępach. Zatrzymałem kobietę. Tęga, krzykliwa osoba, lat około czterdziestu, w chustce na głowie i ze szczotką w rękach, usłyszawszy, że chcemy się dowiedzieć, czy Hase jest w domu, z wściekłością wskazała przeciwnie drzwi na końcu korytarza.

- Nie chcę o tym wiedzieć, czy on jest w domu! - oświadczyła z rosnącym podnieceniem, pospiesznie wpychając pod chustkę kosmyki brudnych włosów: - Niech panowie sami idą się dowiedzieć, ale moja noga więcej u tego drania nie postanie! Jak to ryknął na mnie wczoraj! Świnia i łajdak ten wasz Hase! Myślałam, że mnie uderzy. „Wynoś się stąd!” I to do mnie! Jest w domu - zakończyła westchnawszy z wściekłością - już strzelał. Ja nie przychodzę na dzwonki, czort z nim; to on zaczął strzelać w sufit. W ten sposób żąda, żeby do niego przyjść. Niedawno znowu palnął. Niech panowie idą, a jeśli zapyta, czy panowie mnie widzieli, proszę powiedzieć, że nie jestem jego służącą. Tam jest kobieta - dodała tłuszciocha. - Rozpustnik!

Odeszła wymachując szczotką. Popatrzyłem na Butlera. Stał zamyślony, spoglądając na drzwi. Wewnątrz panowała cisza.

Zapukałem z początku delikatnie, potem silniej. Drzwi poruszyły się, nie były więc zamknięte na klucz, ale nikt nam nie odpowiedział.

- Niech pan zastuka głośniejsze - rzekł Butler - on pewnie znów zasnął.

Przypomniawszy sobie uwagę posługaczki o kobiecie, wzruszyłem ramionami i znów zastukałem. Drzwi uchyliły się szerzej; teraz można było wsunąć rękę w szparę między nimi a framugą. Wyczułem nagle, że tam nikogo nie ma, i powiedziałem to Butlerowi.

- Tak, nie ma tam nikogo - potwierdził. - Dziwne, ale to prawda. No więc cóż, otwierajmy.

Wówczas zdecydowanie pchnąłem drzwi, które ustępując stuknęły w dużą szafę, i wszedłem, do najwyższych granic zdumiony tym, że Hase leży na podłodze.

ROZDZIAŁ XXVI

- Tak - powiedział Butler po chwili milczenia. - Nie żyje. Można było stukać głośno lub cicho, wszystko jedno. Kula w łeb - dokładnie tak, jak pan mu życzył.

Podszedłem do trupa omijając go z daleka, żeby nie wdepnąć w krew, która popłynęła aż do progu z przestrzelonej głowy Hase'a.

Leżał na plecach, obok stołu, pośrodku pokoju, ukosem do wejścia. Miał na sobie biały garnitur. Przykurczone kolano prawej nogi opadło w kierunku drzwi; rozłożone i lekko zgięte ręce robiły wrażenie, jakby zmarły chciał podnieść się z wysiłkiem. Jedno oko było półotwarte, drugie zdawało się śledzić nas spod nieruchomych rzęs. Krew, która zalała twarz i podłogę, zakrzepła i sąsiedni stół odbijał się w niej, jak w kałuży; rana powyżej nasady nosa lekko nabrzmiała. Hase zmarł najwyżej pół godziny, może godzinę temu. Duży pokój sprawiał wrażenie nieładu. Na podłodze połyskiwały łuski rewolwerowe. Kanapa, na której poniewierały się gazety, po kątach puste butelki, szklanki i nie dopita butelka na stole obok cygar, krawatów i rękawiczek; przy drzwiach ciemna staroświecka szafa i przystawione do jej boku żelazne łóżko z narzuconą pospiesznie kołdrą - to było wszystko, co zdołałem zaobserwować, rozejrzawszy się kilka razy. Obok głowy Hase'a leżał rewolwer. Na tylnej ścianie, za stołem, było otwarte okno.

Drzwi uderzywszy o szafę odskoczyły i zaczęły się same powoli zamykać. Butler spostrzegł to, otworzył je szeroko i zamocował.

- Nie powinniśmy się zamykać - zauważył rozsądnie. - No cóż, trzeba iść zawołać kogoś, zawiadomić, że kapitan Hase zabity - zabity albo się zastrzelił. Nie żyje.

Ani on, ani ja nie zdążyliśmy wyjść z pokoju. Z dwóch stron korytarza rozległ się hałas; z prawej ktoś biegł, z lewej nadchodziło pospiesznie kilku ludzi. Ten, który biegł z prawej strony, postawny mężczyzna z podwójnym podbródkiem i posępną twarzą, zajrzał przez otwarte drzwi; twarz mu dziko zadrgała, pobiegł jednak dalej, gestykulując gwałtownie; prawie natychmiast wrócił i wszedł pierwszy do pokoju. Rozsądek nakazywał nie objawiać zbytnej ruchliwości i dlatego stałem dalej przy stole. Butler zrobił kilka kroków tam i z powrotem i usiadł; twarz miał szarawą, bladą i tarł nerwowo ręce. Potem znowu wstał.

Pierwszy, jak wspomniałem, wbiegł postawny mężczyzna. Stracił zupełnie głowę. Następnie wpadła jednocześnie cała gromada - z piętnaście osób - a wśród nich ukazała się młoda kobieta czy może dziewczyna, w jasnym kostiumie w paski i w kapeluszu z kwiatami. Otaczali ją ciasnym kołem. Z m u s i ł e m s i ę, żeby ją poznać. Była to Bicze Seniwell, która ledwie weszła i spostrzegła mnie, oświadczyła: „Nie znam tych ludzi”.

Zrozumiałem. Prawdopodobnie rozumiał i Butler, który widział u Hase'a jej bardzo wierną podobiznę, rzucił mi bowiem spłoszone spojrzenie. Tak więc, oszołomieni, dalej udawaliśmy, że jej n i e z n a m y. Ona tak chciała i zapewne miała ku temu powody. Na razie, pośród hałasu i krzyków, którymi jeszcze bardziej podniecali się ci wszyscy, którzy tu wpadli i drgnęli ze zgrozy, zapytałem Bicze wzrokiem. „Nie” - powiedziały mi z surowym spokojem jej jasne oczy i zdałem sobie sprawę, że moje pytanie było wręcz niedorzeczne.

Kiedy tłum kobiet i mężczyzn, których część stała we drzwiach, wydawał chóralne okrzyki nad trupem - Bicze, zrzucając z kanapy gazety, usiadła i lekko, z zakłopotaniem, westchnęła. Zachowywała się normalnie, nie dając nic po sobie poznać. Postukiwała palcami o poręcz kanapy, potem z wyrazem osoby, która ostrożnie przechodzi przez błotnistą ulicę, spoglądała na Hase'a, skrzywiła się i odwróciła wzrok.

- Zatrzymaliśmy ją, kiedy schodziła po schodach - wyjaśnił wysoki mężczyzna w kamizelce, bez kapelusza, z chudą twarzą chciwca. Popchnął czerwoną ze strachu żonę. - Niech żona poświadczy. Hej, gospodarzu! Garden! Zatrzymaliśmy ją oboje na schodach.

- A pan co za jeden? - dopytywał się Garden oglądając mnie. Był to właśnie ów posta-

wny mężczyzna, który wbiegł pierwszy.

Kobieta, którą spotkaliśmy na korytarzu, ciągle jeszcze trzymała szczotkę. Wystąpiła i wskazała na Butlera, a potem na mnie.

- Ci obaj dżentelmeni przyszli przed chwilą, pytali mnie jeszcze, czy Hase jest w domu. No i tyle co weszli tutaj.

- Jestem zastępcą zabitego kapitana - rzekł Butler. - Przyszliśmy razem z tym panem; zastukaliśmy, weszliśmy i zobaczyliśmy, co się stało.

Teraz uwaga wszystkich skupiła się na Bicze. Przybyli poinformowali Gardena, że chłopiec biegnący przez podwórze spostrzegł młodą, elegancką damę, wyskakującą oknem na schody. Schody te, jak stwierdziłem wyjrzawszy przez okno, szły ukosem wzdłuż ściany domu i prowadziły pod dach, a nieco poniżej okna znajdował się podest. Bicze zrobiła ruch, jakby chciała zejść na dół, a zamiast tego weszła na górę i stanęła za występem frontonu. Chłopiec powiedział o tym kobiecie, ta zaś zawołała męża pracującego w szopie i kiedy oboje skierowali się ku schodom, usłyszeli wystrzał. Rozległ się wewnątrz domu, ale gdzie, świadkowie nie mogli się zorientować. Bicze była już na dole i szła w kierunku bramy. Zatrzymali ją. Jeszcze kilka osób wybiegło na odgłos strzału. Bicze próbowała uciec. Kiedy ją zatrzymano, nie chciała nic mówić. Jakiś mężczyzna schwycił ją za rękę, wtedy przestała się opierać i powiedziała, że wyszła tędy od kapitana Hase'a, ponieważ zamknął ją w pokoju. Następnie wszyscy przybiegli na korytarz nie wątpiąc, że ujęli zabójczynię.

Podczas tych wyjaśnień byłem tak bardzo oszołomiony, zdenerwowany, tak gubiłem się w myślach, że choć unikałem dłuższego patrzenia na Bicze, to jednak raz jeszcze, niedostrzeżalnie dla innych, zapytałem ją wzrokiem, na co jej oczy natychmiast wyraźnie odpowiedziały mi: „Nie”. Zresztą, dość było widzieć jej niewymuszoną obojętność w obliczu tego, co się tu działo. Zdziwiło mnie to wyniosłe panowanie nad sobą w takim miejscu i w tak przygnębiających warunkach. Wszystkiemu, co mówiono, przysłuchiwała się z uwagą, widocznie usiłując za wszelką cenę zrozumieć przebieg nieoczekiwanej tragedii. Pochwyliłem kilka spojrzeń, które jak gdyby żenowały się spocząć na jej twarzy, tak bardzo nie pasowała ona do tego miejsca.

Wśród powszechnego wzburzenia usłyszeliśmy kroki za ścianą; ludzie stojący w drzwiach rozstapili się przepuszczając przedstawicieli władzy. Wszedł komisarz, wysoki mężczyzna w okularach, o długiej, beznamiętnej twarzy; za nim lekarz i dwóch policjantów.

- Kto znalazł zwłoki? - zapytał komisarz spoglądając po wszystkich.

Ja, następnie Butler, powiedzieliśmy mu o naszej ponurej wizycie.

- Panowie zostaną. Kto jest gospodarzem?

- Ja. - Garden przyniósł krzesło do stołu i komisarz usiadł; rozstawił kolana, opuścił między nimi zaciśnięte dłonie i przez pewien czas patrzył na Hase'a, podczas kiedy lekarz podniósłszy bezwładną rękę zabitego i ugniatając palcami skórę na jego czole, stwierdził śmierć, która, jego zdaniem, nastąpiła najwyżej pół godziny temu.

Chudy mężczyzna w kamizelce znów wystąpił naprzód i wskazując na Bicze wyjaśnił, jak i dlaczego została zatrzymana na podwórzu.

Przy wejściu policji Bicze nie zmieniła pozy, jedynie spojrzeniem przypomniała mi, że jej nie znam. Teraz wstała, czekając na pytania; komisarz także wstał, przy czym z wyrazu jego twarzy widać było, że uznaje ten przypadek za wyjątkowy w swojej praktyce.

- Proszę, niech pani siada - powiedział. - Muszę sporządzić wstępny protokół. Niech pani poda mi swoje nazwisko.

- Nazwiska nie podam - odpowiedziała Bicze, siadając na poprzednim miejscu. Podniosła głowę i czując, że się rumieni, przygryzła wargę.

Komisarz powiedział do właściciela hotelu:

- Proszę usunąć wszystkich - zostanie tylko pan, ta dama oraz ci dwaj dżentelmeni. Nieznajoma pani zechce mi wyjaśnić, co robiła i skąd znalazła się w tym domu.

- Nic panu nie wyjaśnię - powiedziała Bicze tak kategorycznym, choć łagodnym tonem, że komisarz popatrzył na nią ze szczególną uwagą.

W tym czasie wszyscy oprócz Bicze, Gardena, mnie i Butlera opuścili pokój. Drzwi się zamknęły. Słychać było za nimi szept i ostrożne kroki ciekawych.

- Pani odmawia odpowiedzi? - zapytał komisarz z dozą oficjalnego współczucia, jaką dopuszczał charakter jego pracy ze względu na młodość i piękność głównej bohaterki tej sceny.

- Tak - Bicze skinęła głową. - Odmawiam odpowiedzi. Lecz chcę złożyć oświadczenie. Uważam to za konieczne. Potem albo przerwie pan przesłuchanie, albo będzie ono kontynuowane u sędziego śledczego.

- Słucham panią.

- Nie mam oczywiście nic wspólnego z tym nieszczęściem czy zbrodnią. Ani tu, ani w całym mieście nie ma człowieka, który by mnie znał.

- To wszystko? - spytał komisarz zapisując jej słowa. - Czy może po namyśle zechce pani jeszcze coś dodać? Jak pani widzi, popełniono tu morderstwo albo samobójstwo; na razie nic nie wiemy. Widziano panią wyskakującą z okna pokoju na podest zewnętrznych schodów. Niech pani postawi się na moim miejscu-jak by pani potraktowała tego rodzaju fakt?

- Jest podejrzany - rzekła dziewczyna z miną osoby skrupulatnie ważącej każde słowo. - Nie ma na to rady. Lecz ja mam własne plany i pobudki aż nadto wystarczające, żeby zataić moje nazwisko i przemilczeć to, co zaszło. Jeśli morderca nie zostanie wykryty, będę, rzecz prosta, zmuszona złożyć swoje - o! - bardzo nieskomplikowane zeznanie, lecz wyjawić teraz, kim jestem, wymienić wszystkie względy, które mnie zmusiły do przyścia tutaj, tego nie wolno mi uczynić. Mam ojca, osiemdziesięcioletniego starca. Przeżył już jeden wstrząs. Jeśli przeczyta w gazetach moje nazwisko, może go to zabić.

- Boi się pani rozgłosu?

- Wyłącznie. Poza tym zeznanie w sposób istotny wiąże się z moim nazwiskiem, więc gdybym powiedziała, o co chodzi, tym samym wyjawiałabym moje nazwisko.

- Tak - powiedział komisarz ustępując wobec jej roztropnego tonu. - Lecz czy nie wydaje się pani, że odmawiając wyjaśnień niweczy pani istotną część śledztwa, która, rzecz prosta, idzie w parze z pani interesami?

- Nie wiem. Może nawet nie. W tym całe zmartwienie. Muszę czekać. Wystarczy mi świadomość, że nie mam z tym nic wspólnego, jeżeli już nie mogę inaczej sobie dopomóc.

- Pani - odparł komisarz - chyba nie oczekuje, że winowajca zjawi się i sam się przyzna?

- To właśnie jedyna rzecz, na którą na razie liczę. Sam się znajdzie albo jego znajda.

- Ma pani broń?

- Nie noszę broni.

- Zaczniemy po kolei - rzekł komisarz zapisując to, co usłyszał.

ROZDZIAŁ XXVII

Słuchając tej rozmowy zastanawiałem się, w jaki sposób odwrócić te wyraźne i silne choć pełne rozbieżności podejrzania, mimo wyglądu i całej postawy Bicze, nie dopuszczających nawet myśli o zbrodni. Siedziałem między oknem a stołem, pogrążony w myślach, kręcąc automatycznie w rękach gwintowany sworzeń ze ślepa zakrętką. Wziąłem go z małego stolika pod ścianą i naciskając główkę spostrzegłem, że się odkręca. Mimo roztargnienia, zaciekawiony tak dziwną konstrukcją sworznia zdjąłem zakrętkę. Zobaczyłem wówczas, że

sworzeń jest wydrążony i po brzegi napełniony gęstą ciemną masą, przypominającą zaschniętą farbę. Nie zdążyłem wydlubać dziwnego nadzienia, kiedy Butler, szybko przysunawszy się do mnie, sięgnął lewą ręką za moimi plecami po przedmiot, któremu ciągle się przyglądałem, i dając mi wzrokiem do zrozumienia, że sworzeń należy ukryć, wziął go ode mnie i zręcznie wsunął do kieszeni. Skinął przy tym głową. Nikt nie zauważył tego gestu. Lecz ja poczułem lekki zapach opium, który natychmiast się rozwiął. To wystarczyło, bym doznał podstępnego wstrząsu myśli, jak gdyby nagle światło padło na wydarzenia tego rana; opanowałem się i zacząłem myśleć trzeźwo - nawet jeśli Butler chciał ukryć tajny przemyt trucizny, nie wyjaśnia to w niczym morderstwa i zupełnie nie ratuje Bicze. W dodatku z milczenia Butlera, kiedy chodziło o jej nazwisko - a przecież musiał ją znać z fotografii stojącej w kajucie Hase'a - wywnioskowałem, że choć nic nie rozumiem, lepiej będzie, jeśli sworzeń zniknie.

Komisarz zostawił Bicze w spokoju i zajął się rewolwerem, który w chwili naszego wejścia leżał na podłodze. W magazynku było siedem gniazd, wszystkie kule znajdowały się na miejscu.

- Czy może mi pan powiedzieć, czyj to rewolwer? - zapytał Butlera komisarz.

- To rewolwer kapitana - odpowiedział marynarz. - Hase nigdy się z nim nie rozstawał.

- Czy to na pewno jego rewolwer?

- Tak jest - powiedział Butler. - Znam go tak dobrze, jak kucharz zna imbryk do kawy.

Doktor oglądał ranę. Kula przeszła przez głowę i utkwiała w ścianie. Bez trudu dała się wyciągnąć z tynku za pomocą gwoźdźca. Była zgnieciona, mniejszego kalibru i dłuższa niż kula w rewolwerze Hase'a; poza tym była niklowana.

- Riwiers-buldog - rzekł komisarz podrzucając ją na dłoni. Wrzucił kulę do bocznej kieszeni w teczce. - Zamordowany nie użył swego colta.

Rewizja rzeczy nie przyniosła żadnych wskazówek. Z kieszeni Hase'a policjanci wyciągnęli chustkę, papierośnicę, zegarek, kilka listów i grubą paczkę banknotów zawiniętych w gazetę. Przeliczywszy pieniądze komisarz wymienił znaczną sumę: pięć tysięcy funtów.

- Nie został więc ograbiony - powiedziałem, zdenerwowany tą okolicznością, gdyż komplikująca się z każdą chwilą sprawa obracała się coraz bardziej na niekorzyść Bicze.

Komisarz spojrział na mnie tak, jak się spogląda w okno. Nic nie powiedział, ale był mocno zaskoczony. Następnie rozpoczął przesłuchanie właściciela hotelu, Gardena.

Garden opowiedział najpierw, że Hase zatrzymał się u niego po raz czwarty, płacił dobrze, hojnie nagradzał służbę, czasem nie nocował w domu i w ogóle był gościem niespokojnym; następnie komisarz polecił mu przejść do meritum sprawy.

- O godzinie dziewiątej moja służąca Peggy przyszła do bufetu i powiedziała, że nie będzie się zgłaszała na dzwonki Hase'a, ponieważ wczoraj obszedł się z nią grubiańsko. Wkrótce zszedł na dół kapitan, zwymyślał mnie, Peggy i wypił szklanekę whisky. Chcąc się go pozbyć, obiecałem, że Peggy będzie mu usługiwała.

Uspokoił się i poszedł na górę. Byłem zajęty rachunkami z dostawcą, kiedy koło dziesiątej usłyszałem strzały - ile, nie pamiętam, Hase groził odchodząc, że nie ma zamiaru więcej dzwonić, tylko będzie strzelał. Nie wiem, co tam było między nim a Peggy, poszła do niego czy nie. Za chwilę znów przyleciała do mnie i zaczęła beczeć. Zapytałem, co się stało. Okazało się, że do Hase'a przyszła jakaś dama i że Peggy boi się iść i boi się nie iść, jeżeli Hase zadzwoni. Wyciągnąłem z niej jednak, że nie zamierza iść, no i, sam pan rozumie, trochę ją obsztorcowałem. A tu jeszcze rozzłościli mnie mechanicy ze „Springu”, bo się zaczęli dopytywać, ile trupów nabiera się w moim hotelu do wieczora. Poszedłem sam i zobaczyłem kapitana stojącego na galerii z tą damą. Spodziewałem się, że Hase zacznie wymyślać, tymczasem on odwrócił się i dłuższy czas patrzył na mnie z uśmiechem. Zrozumiałem, że mnie po prostu nie widzi. Zacząłem mu robić wymówki z powodu tej strzelaniny. A on powiedział: „Po co tu pana diabli przynieśli?” Zapytałem, czego sobie życzy. Odpowiedział: „Na razie niczego.” I oboje weszli do numeru. Dostawca czekał, więc wróciłem do niego. Minęło może

z pół godziny, kiedy znów huknął strzał. Zaniepokoiło mnie to, ponieważ Hase nie był teraz sam. Poleciałem na górę i niech pan sobie wyobrazi, zobaczyłem, że mieszkańcy sąsiedniego domu (mamy wspólne podwórze) idą naprzeciwko mnie, a między nimi ta nieznajoma dama. Drzwi do pokoju Hase'a były na rozcież otwarte. Stali tam ci dwaj panowie: Butler - ja znam Butlera - a z nim ten drugi pan. Zajrzałem, zobaczyłem, że Hase leży na podłodze, a później wszedłem razem z innymi.

- Proszę zawołać posługaczkę Peggy - rzekł komisarz.

Nie trzeba było chodzić po nią daleko, ponieważ kręciła się w pobliżu. Kiedy Garden otworzył drzwi, Peggy pospiesznie wytarła nos w fartuch i z determinacją podeszła do stołu.

- Proszę opowiedzieć, co pani wiadomo - rzekł komisarz, po zwykłych pytaniach, jak się nazywa i ile ma lat.

- On już nie żyje, więc nie chcę mówić nic złego - uroczyście oświadczyła Peggy kładąc rękę na piersi. - Ale na przykład wczoraj byłam tak obrażona jak nigdy. Od tego się wszystko zaczęło.

- Co się zaczęło?

- Nie o tym mówię. Przyszedł wczoraj wieczorem; no tak, Hase. Jak wychodził, to zamknął pokój i klucz zabrał ze sobą, dlatego nie mogłam sprzątnąć. Nie spałam jeszcze i słyszałam, jak łomocze na górze; to znaczy, idzie do siebie. Poszłam, żeby mu przygotować łóżko, zaczęłam robić to i owo, no, co potrzeba. On stał przez cały czas tyłem do mnie, pijany, rękę trzymał w kieszeni za pazuchą. Co rusz się oglądał, kiedy wreszcie wyjdę, i naraz wrzasnął: „Wynoś się stąd!” Powiedziałam mu, ma się rozumieć (Peggy z godnością zacisnęła wargi, a ja wyobraziłem sobie jej twarz w owej chwili), powiedziałam mu, co należy do moich obowiązków. „A to widziałaś” - krzyknął. To znaczy, czy widziałam krzesło. Bo on zaczął wymachiwać krzesłem nad moją głową. Co miałam robić? To przecież mężczyzna, silniejszy ode mnie. Splunęłam i wyszłam. No i rano dzwoni...

- Kiedy to było?

- Około ósmej. Zapamiętałabym nawet minuty, gdyby kto wiedział, że tak się stanie. Już postanowiłam sobie, że nie pójdę. Niech mnie wypędzą. Znam swoją robotę. Nie ma najmniejszego powodu, żeby mnie oskarżać.

- Jest pani niewinna, Peggy - rzekł komisarz. - Cóż było po tym dzwonku?

- Jeszcze jeden dzwonek. Ale ponieważ wszyscy z tego piętra wyszli wcześniej, no to wiedziałam, kto mnie wzywa.

Bicze, która uważnie słuchała relacji gorącego pięciopudowej wagi serca kobiecego, uśmiechnęła się. Ucieszyłem się, widząc ten dowód jej wytrzymałości nerwowej.

Peggy ciągnęła:

- ...zaczął dzwonić na różne sposoby i ciągle naśladował czyjś dzwonek, bo sam przecież dzwoni krótko: raz, dwa. Zaczął więc najpierw dzwonić trelisto, potem pobrzękiwał do brodusznie i znów po swojemu - krótko. Poszłam do bufetu, gdzie on też niedługo przyszedł na drinka, ale mnie nie zauważył. Kłął okropnie. Jak odszedł, gospodarz zaczął mi robić wymówki: „Idź do niego, Peggy; on grozi, że podziurawi sufit” - czyli że będzie strzelał. Mnie, jak wiadomo, niełatwo przestraszyć. Nie takie rzeczy u nas się zdarzają.

Pan komisarz pamięta, jak w zeszłym roku Meksykanie zabarykadowali drzwi i bili się - trzech przeciwko sześciu...

- Dzielna z pani kobieta, Peggy - przerwał komisarz - ale to już stara historia. Proszę mówić o tej ostatniej.

- Tak, nie jestem tchórz, to wszyscy poświadczą. Gdyby opowiedzieć moje życie - to byłaby książka. No więc zaczęło łomotać tam u Hase'a. To znaczy, że pakuje kule w sufit. Niech pan popatrzy...

Rzeczywiście, gruba poprzeczna belka na suficie wyglądała, jakby oddano do niej salwę. Komisarz policzył dziurki i porównał z liczbą znalezionych na podłodze łusek; rachunek

się zgadzał. Peggy ciągnęła:

- Poszłam do niego; nie ze strachu poszłam, tylko z litości. Ten człowiek, jak to się mówi, głowę stracił. Byłam akurat na podwórzu i dlatego weszłam zewnętrznymi schodami. Jak weszłam, słyszę - ktoś mnie woła. To była ta pani, przepraszam, nie wiem, jak pani się nazywa. Od razu mi się spodobała. Po tych wszystkich przykrościach zobaczyłam ludzką twarz. „Czy tu się zatrzymał kapitan Wiliam Hase? - zapytała mnie. - Jaki jest numer jego pokoju?” I znów on, widać będzie mnie wiecznie prześladować - i to jeszcze taka osoba pyta o niego. Aż dziw było mi to słyszeć. No cóż! Każdy chodzi, dokąd chce. Na jednym sznurze różna wisi bielizna. Zaprowadziłam ją, zapukałam do drzwi. Hase otworzył. Zbladł, nagle cały zadygotał; potem zaczerwienił się i powiedział: „To pani! Pani! Tu!” Ja stałam. Odwrócił się do mnie i uciekłam. Nogi same mnie niosły i to coraz prędzej. Myślałam sobie: żeby tylko nie usłyszeć przy obcych, jak sypnie swoimi przekleństwami! Ale na schodach zatrzymałam się - może mnie zawoła, może każe coś podać czy przynieść, ale nic takiego nie zaszło. Słyszałam, że Hase i ta pani poszli na galerię i tam zaczęli rozmawiać, ale o czym - nie wiem. Słysząc było tylko: „szu-szu-szu”. No cóż, rano ma się pełne ręce roboty. Każdy chodzi, dokąd chce. Byłam trochę na dole, ale za jakieś pół godziny przynieśli listy do maklera spod numeru pierwszego, więc znów poszłam na górę, żeby mu je wsunąć pod drzwi; postąłam chwilę, posłuchałam: wszędzie cicho. Hase nie dzwoni. A tu naraz-bach! U niego! Teraz wiadomo, jaki to był strzał. Ale mnie się to wtedy wydało śmieszne. Trzeba dzwonić po ludzku. Przecież widział, że zapukałam; to znaczy, że i tak przyjdę. Tym bardziej że przy obcych. Przyszła służąca z dołu i powiedziała, żebym zamiotła bufet, bo ona nie ma czasu. No, jak trzeba to trzeba; Lizzie zawsze jest na dole, przy gospodarzu; to tu, to tam leci, więc znaczy się, ja muszę iść. Tymczasem, kiedy weszłam na górę po szczotkę, spotkałam Butlera z tym dżentelmenem, i oni znów o Hase'a: „Czy jest w domu”. W gniewie nagadałam niepotrzebnych rzeczy, więc proszę mi wybaczyć, jeśli coś było nie tak, jak należy, pokazałam, które drzwi, a sama czym prędzej odeszłam, bo myślę sobie, jeżeli ty na mnie zadzwonisz, to wiedz, że nie kręciłam się jak pies pod drzwiami, ale byłam przy swojej robocie. Tylko że w bufecie już nic nie zdążyłam zrobić, bo naprzeciwko leciała gromada ludzi. Prowadzili tę panią. Najpierw to myślałam, że ona wszystkich prowadzi. Garden też przyleciał, jakiś niewyraźny. A kiedy tu weszliśmy - zobaczyłam... Hase nie żyje.

Komisarz zapisał jeszcze różne błahe zeznania, nie wnoszące nic nowego, po czym zwolnił Peggy, która wyszła tyłem, bez przerwy się kłaniając. Teraz nadeszła kolej na mnie: byłem absolutnie zdecydowany, żeby, o ile tylko się da, ściągnąć na siebie podejrzenie, chociaż będzie to niezmiernie trudne ze względu na okoliczności towarzyszące zatrzymaniu Bicze. Przyznaję oczywiście, że wiele nie ryzykowałem, gdyż przyszedłem z Butlerem, na oczach służącej, kiedy Hase leżał już bez życia. Miałem jednak nadzieję, że zwrócę podejrzenia komisarza w nowym kierunku, w krąg przeżytej przeze mnie przygody, opowiedziałem więc szczerze, jak Hase postąpił ze mną na morzu. O mojej najskrytszej tajemnicy, która miała znaczenie jedynie dla mnie, komisarz dowiedział się tyleż co Brown i Hase, to znaczy nic. Byłem teraz związany słowem, które dałem Sinkrite'owi, przemilczałem więc jego aktywny udział w tym zajściu. Butler potwierdził moje zeznanie. Pomiąłem również milczeniem niektóre szczegóły, na przykład fotografię Bicze w kajucie Hase'a, nieczystą sprawę okrętu kapitana, pragnąłem tylko skupić wszystkie wydarzenia wokół mojej osoby. Mówiłem, dokładnie ważąc słowa, tak że wyraźne podniecenie Bicze podczas mego opowiadania, wywołane przez całkiem zrozumiałe obawy, było bezpodstawne. Pod koniec, kiedy oświadczyłem otwarcie, że szedłem do Hase'a, by zażądać satysfakcji, Bicze widocznie zrozumiała, jak się o nią boję, bo w cieniu jej rzęs błysnęła wyraz wdzięczności.

Jakkolwiek komisarz był człowiekiem flegmatycznym i od dawna przywykłym do śledztwa i trupów, to, co podałem o sobie w związku z Hase'em, mocno go zelektryzowało. Kilkakrotnie wypytywał mnie o ważne okoliczności, sprawdzając to i owo w równoległych

zeznaniach Butlera. Butler, słysząc, że w moim opowiadaniu nie wspominam o bytności nieznanego kobiety, sam również pominął tę sprawę, zrozumiawszy widocznie, że mam niebłahę powody do milczenia. Był bardzo zdenerwowany, komisarz musiał czasami naprostowywać jego odpowiedzi lub wyciągać je kleszczami dwukrotnie powtarzanych pytań. Nie pojmowałem tych obaw, ponieważ pokwitowałem zachowanie się Butlera przychylną wzmianką o jego biernej, a nawet częściowo hamującej roli, ale, być może, lękał się zarzutu, że nie zameldował o zajściu. W każdym razie Butler mówił mało i niechętnie. Poszarzał jakoś, skurczył się. Tylko raz jeden pojawiło się na jego twarzy niezrozumiałe ożywienie, jakby nagle coś sobie przypomniał. Lecz i ono zniknęło, nie znalazłszy ujścia w słowach.

Po twarzy komisarza, która stała się bardzo poważna, jak również po liczbie zapisanych przez niego stronic, zorientowałem się, że wszyscy troje nie unikniemy aresztowania. Ja na miejscu policji postąpiłbym tak samo. Obawy te potwierdziły się bardzo szybko.

- Ogłaszam - rzekł komisarz wstając - że od tej chwili aż do wyjaśnienia sprawy aresztuję: nieznaną młodą kobietę, która nie chciała podać swego nazwiska, Tomasza Harveya i Eliasza Butlera.

Jednocześnie zabrzmiał dziwny głos. Nie od razu go poznałem - takim obcym, zmienionym głosem odezwał się Butler. Wstał, westchnął ciężko i głośno i zbladły jak ściana, wymówił z zakłopotanym uśmiechem:

- Tylko Butlera, Eliasza Butlera.
- Co to znaczy? - zapytał komisarz.
- Ja zabiłem Hase'a.

ROZDZIAŁ XXVIII

Uczucia moje były już wtedy tak otępiałe i zdławione, że nawet wiadomość o aresztowaniu zdawała się być dalszym ciągiem tej samej przykrości; lecz niespodziewane wyznanie Butlera targnęło odrętwiałymi nerwami jak nowa zbrodnia, dokonana na oczach wszystkich. Bicze Seniwell wpatrywała się w zabójcę rozszerzonymi oczami i podniósłszy brwi śledziła każdy jego ruch czujnie, z głęboką ulgą. Komisarz został nagle przerzucony z jednej sytuacji w drugą - z zagmatwanych przypuszczeń do faktu, że miał oto przed sobą rzeczywistego przestępcę, którego przed chwilą uważał za dość tępego świadka; przyjął tę nową sytuację z aplombem urzędnika, który każdy, nawet mimowolny, sukces przypisuje wpływowi osobistych zalet.

- Należało tego oczekiwać - rzekł tak znacząco, że chyba sam wierzył w swoje słowa.- Eliaszu Butler, pan przyznał się przy świadkach, proszę teraz usiąść i wyjaśnić, jak została dokonana zbrodnia.

- Postanowiłem - zaczął Butler, kiedy sam już oswoił się trochę z tym, że ciężar tej całej sceny zwałił się na niego i nieodwołalnie zdecydował o uwięzieniu - postanowiłem powiedzieć wszystko, ponieważ inaczej przypadek zabójstwa Hase'a zostałby nierozwikłany. To był przypadek; ja nie chciałem go zabić. Milczałem, liczyłem bowiem na to, że sprawa pani zakończy się pomyślnie. Stało się inaczej. Zobaczyłem, jak poszlaki spłotyły się wokół niewinnej osoby. Nie złożyła wyjaśnień, a więc należało ją aresztować. Tak, to było słuszne. Lecz ja nie jestem przecież łotrem. Musiałem się przyznać. Słyszałem, jak wyraziła nadzieję, że w przestępcy odezwie się sumienie. Nad tymi słowami myślałem, kiedy pan badał innych, i nie znalazłem innego wyjścia, tylko takie, że trzeba wstać i powiedzieć: to ja zastrzeliłem Hase'a.

- Dziękuję - powiedziała Bicze ze współczuciem - jest pan uczciwym człowiekiem i ja pomogę panu, jeśli zajdzie konieczność.

- Na pewno zajdzie konieczność - Butler uśmiechnął się smutno. - No cóż, trzeba opowiedzieć wszystko. A więc przybyliśmy do Hale-Gew z kontrabandą z Dagonu. Czteryście skrzyń gwintowanych sworzni. Chce pan obejrzeć?

Wyjął przedmiot, który zabrał mi potajemnie, i podał go komisarzowi, zdjawszy zakrętkę.

- Robota na obstalunek - rzekł komisarz przyglądając się masie wypełniającej sworzeń.- Któż to wpadł na taki pomysł?

- Muszę wyjaśnić - rzekł Butler - że całą rzecz prowadził Hase. To jego kontakty, ja byłem zaangażowany w tej operacji tylko pieniądze. Moje trzysta pięćdziesiąt funtów, uskładanych w ciągu dziesięciu lat, dałem jako udział. Musiałem wierzyć Hase'owi na słowo. Obiecał, że kupi tanio i sprzeda drogo. Według naszych obliczeń przypadało na mnie blisko tysiąc dwieście funtów. Warto było zaryzykować. Wiedzieliśmy o tym tylko my trzej - ja, Hase i Sinkrite. Kobiety, które jechały z nami tutaj, nie miały nic wspólnego z tym ładunkiem i nic nie podejrzewały. Hase nie chciał wziąć Harveya, ponieważ był w najwyższym stopniu podejrzliwy i obawiał się wszystkiego. Szczerze mówiąc, i ja byłem z tego nie bardzo zadowolony, bo przecież zrozumiałe, człowiek czuje się spokojniejszy, kiedy nie ma obcych. Po awanturze, o której pan już wie, pomimo moich perswazji wyrzucili go jednak pięćdziesiąt mil od Dagonu, a zareagować tak, jak powinienem, oznaczało dla mnie stracić wszystko, ponieważ Hase, wpadłszy we wściekłość, był zdolny do jawnej grabieży; w ostatnich dniach żeglugi zacząłem podejrzewać Hase'a, że zamierza wymigać się od uczciwego rozrachunku. Uskarżał się, że opium kosztowało dwa razy drożej, niż przewidywał, że dowiedział się w Dagonie o spadku ceny, wskutek czego zysk może się okazać znacznie mniejszy. W ten sposób kapitan przygotowywał sobie grunt i to mnie napełniło obawą. Sinkrite miał po prostu obiecane pięćdziesiąt funtów, był więc spokojny, wiedząc zapewne, że wszystko wywęszy i wyciągnie od Hase'a znacznie więcej. Ja nic się nie odzywałem czekając, co nastąpi w Hale-Gew. W dodatku wisiała nad nami ta historia z Harveyem, której chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć. Postanowiliśmy spędzić tu najwyżej dwa dni, a potem umknąć do San-Hubert lub jeszcze dalej i tam zaczekać, aż sprawa ucichnie. Zresztą najważniejsza była sprzedaż opium.

Hase utrzymywał, że pertraktacje z agentem co do sprzedaży żelaznych sworzni będą się odbywały w mojej obecności, tymczasem po naszym przybyciu załatwił oczywiście wszystko na własną rękę. Ulotnił się zaraz, jak tylko przycumowaliśmy, i wrócił wesoły, pozornie tylko siląc się na zatroskanie. Pokazał pieniądze.

„To wszystko, co mi się udało wyciągnąć - powiedział do mnie. - Zaledwie trzy tysiące pięćset. Cena towaru spadła, nasi sprzedawcy proponowali, żeby albo poczekać na lepsze warunki zbytu, albo zgodzić się na trzy tysiące pięćset funtów za tysiąc sto kilogramów.”

W tym stanie rzeczy, po rozliczeniu naszych wkładów - przy czym Hase zapewniał, że sworznie kosztowały go po trzy gwinee za setkę - dla mnie wypadł nędzny ochłap. Dostałem pięćset funtów za trzysta pięćdziesiąt, no i wybuchła pomiędzy nami awantura. Nie mogłem jednak niczego mu dowieść, wczoraj więc udałem się do pewnego specja w tych sprawach, którego nazwiska nie będę wymieniał, i dowiedziałem się od niego, że nasza partia nie mogła być sprzedana poniżej pięciu tysięcy i że cena trzyma się mocno.

Obmyśliliśmy sposób udowodnienia Hase'owi jego oszustwa, mianowicie poszliśmy do pewnego składu, gdzie mój znajomy posadził mnie za przepierzeniem kantoru, abym mógł słyszeć rozmowę. Człowiek, którego nie widziałem, gdyż znajdował się po drugiej stronie przepierzenia, w odpowiedzi na rzekomą ofertę mego znajomego od razu zaproponował cztery i pół funta za kilogram, a kiedy tamten zaczął się targować, podwyższył do pięciu, nawet do pięciu i ćwierć funta. To mi wystarczyło. Ugościłem znajomego za przysługę i udałem się na statek, a ponieważ Hase przeniósł się do hotelu, żeby móc hulać bez przeszkód - przyszedłem i tutaj, lecz go nie zastałem. Byłem jeszcze wieczorem raz, drugi i trzeci - na próżno. Wreszcie dziś rano około godziny dziesiątej wszedłem po schodach wprost z podwórza i

nikogo nie spotkawszy, zapukałem do Hase'a. Odpowiedzi nie było, nacisnąłem więc klamkę, stwierdziłem, że drzwi nie są zamknięte i wszedłem. W tym czasie Hase zszedł na dół ze skargą na Peggy.

Badź co bądź znajdowałem się w tym pokoju sam, z przykrym uczuciem skrępowania, nie wiedząc, czy zostać i czekać, czy wyjść na poszukiwanie kapitana. Wtem usłyszałem kroki Hase'a, który mówił do kogoś: „Ona powinna tu zaraz przyjść”.

Ponieważ przez kilka dni usilnie rozmyślałem o sprawie sprzedaży opium, przyszło mi do głowy, że słowa Hase'a odnoszą się do pewnej starszej damy, z którą łączyły go interesy. Nie mogła mi się nadarzyć lepsza sposobność, by się wszystkiego dowiedzieć. Zważywszy te korzyści, wsunąłem się szybko do szafy stojącej przy drzwiach i zamknąłem ją od wewnątrz - zdecydowany na wszystko. Uzupełniłem mój plan stojąc już w szafie. Był bardzo prosty: wysłuchać, co będzie mówił Hase z damą-agentką, dowiedzieć się, jaką wyznacza sumę i ukazać się w sprzyjającym momencie. Nic innego mi nie pozostało. Hase wszedł, trzasnął drzwiami. Miotał się po pokoju, mrużąc: „Ja wam pokażę! Jeszcze mnie nie znacie, dranie”.

Przez pewien czas panowała cisza. Hase, którego widziałem przez szparę, stał zamysłony, nucąc pod nosem, potem westchnął i rzekł: „Przekłete życie!”

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi, Hase szybko poskoczył je otworzyć i krzyknął: „Co?! Czy to możliwe?! Proszę wejść szybciej i przekonać mnie, że nie śnię!”

Mówię o pani, która tu siedzi. Odmówiła wejścia i oświadczyła, że przyszła uzgodnić miejsce spotkania w celu pertraktacji; jakich - nie mam prawa powtarzać.

Butler zamilkł, dając komisarzowi możliwość obejścia tej sytuacji pytaniem o dalszy ciąg lub zażądania wyjaśnień od Bicze, która odezwała się pospiesznie:

- Nie mam już powodu ukrywać mego nazwiska. Nazywam się Bicze Seniwell. Przyszłam do Hase'a, by omówić z nim spotkanie celem wykupienia statku „Biegnąca po falach”. Statek ten należy do mego ojca. Szczegóły podam później.

- Przypuszczam - odpowiedział komisarz z pewną skwapliwością, która pozwalała wyciągnąć pomyślny dla dziewczyny wniosek - że będzie pani przesłuchiwana jako świadek.

Butler ciągnął dalej:

- Pani odmówiła wejścia, słyszałem więc, jak Hase rozmawiał w korytarzu otrzymując tak samo ciche odpowiedzi. Nie wiem, ile upłynęło czasu. Byłem zły, że niepotrzebnie wszedłem do szafy, lecz wyjść nie mogłem do chwili, aż nie będzie nikogo w korytarzu i w pokoju. Nawet gdyby Hase zamknął drzwi na klucz, miałbym do dyspozycji zewnętrzne schody, znajdujące się pod samym oknem. To mnie trochę uspokoiło.

Kiedy to wszystko rozważałem, Hase powrócił z damą i rozmowa zaczęła się na nowo. Pani sama opowie, co między nimi zaszło. Czuję się tak paskudnie, że zapomniałem o pieniądzech. Dwa razy chciałem wyskoczyć z szafy, żeby przerwać tę skandaliczną scenę. Hase rzucił się do drzwi i zamknął je na klucz. Kiedy pani wskoczyła na okno i zsunęła się na dół, na tamte schody, co obserwowałem przez szparę, Hase rzekł: „O, męko! Lepiej umrzeć!” Nikczemna myśl kazała mi otwarcie wyjść z szafy. Liczyłem na jego zmieszanie i wstrząs nerwowy. Zdecydowałem się na szantaż i nie bałem się, że się na mnie rzuci, ponieważ miałem przy sobie rewolwer.

Hase został zabity, nim zdążyłem wyjść z szafy. Spostrzegłszy mnie, zapewne zdenerwowanego i bladego, skoczył najpierw w róg pokoju, potem zaś runął na mnie jak piłka odbita od ściany. Nie żądał żadnych tłumaczeń. Po twarzy spływały mu łzy; wrzasnął: „Zabiję, jak psa!” - i chwycił ze stołu rewolwer. To byłby koniec. Cała jego dzika radość natychmiastowej zemsty udzieliła się mnie. Wrzasnąłem, jak on, i nagle zobaczyłem jego czoło. Nie wiem, może mi się zdaje albo gdzieś to naprawdę słyszałem - ale przypomniały mi się dziwne słowa: „On dostanie kulę w łeb...” - i moja ręka, nie mierzając, poruszyła się we właściwym kierunku i oddała strzał, jakby wiedziona magnesem. Nie słyszałem huku. Hase wypuścił rewolwer, zgiął się i głowa mu opadła. Potem chwycił się stołu, osunął się i upadł na podłogę.

Przez jakiś czas nie mogłem się ruszyć z miejsca; ale trzeba było uciekać. Otworzyłem drzwi i na palcach pobiegłem w kierunku schodów, cały czas pod wrażeniem, że ktoś mnie chwyci za rękę lub krzyknie za mną. Tymczasem znów, jak i przedtem, nie spotkałem absolutnie nikogo i wkrótce znalazłem się na ulicy. Dobrą chwilę to oddalałem się, to znów wracałem, zaczynając powątpiewać, czy to wszystko stało się naprawdę. W duszy i w głowie czułem taki huk, jak gdybym leżał między szynami pod pędzącym nade mną pociągiem. Wszystkie dźwięki były krzykiem, wszystko było straszne i oślepiające. Wtedy właśnie zobaczyłem Harveya i ucieszyłem się bardzo, ale nie tak, jakbym cieszył się w innych okolicznościach. Obiegły mnie myśli szybkie i natarczywe. Na przykład dowiedziawszy się, że Harvey idzie do Hase'a, zdecydowałem od razu z całkowitym przekonaniem, że jeśli istnieją wobec mnie jakieś niejasne podejrzenia, najlepiej będzie wejść teraz z Harveyem. Sądziłem, że pani jest już daleko. Podobny obrót całej tej nieszczęsnej sprawy nawet nie przyszedł mi na myśl. Jedno tylko zdanie tkwiło mi w mózgu: „Wszedłem, zobaczyłem i byłem tak samo wstrząśnięty jak wszyscy”. Siedząc tu, odzyskałem równowagę umysłu i dlatego nie mogłem i nie chciałem dłużej milczeć.

Uciły ostatnie słowa zeznania Butlera. Wstawał, to znowu siadał.

- Niech pan mi poda rękę, Butler - rzekła Bicze. Ujęła jego rękę, którą wyciągnął powoli i ociężale, i mocno nią potrząsnęła. - Pan także nie winien, a jeśli nawet był pan, nie jest pan winien już teraz. - Zwróciła się do komisarza. - Ja teraz powinnam mówić.

- Pani życzy sobie zeznawać na osobności?

- Oczywiście.

- Eliaszu Butler, jest pan aresztowany. Tomaszu Harvey, pan jest wolny i obowiązany stawić się jako świadek na wezwanie sądu.

Policjanci, których obecność dopiero teraz zauważyliśmy, wyprowadzili Butlera. Wszedłem zostawiając Bicze, umówiwszy się z nią, że będę czekał w powozie. Przeszedłem korytarz, tak pusty z rana i tak zatłoczony obecnie ludźmi, którzy ściągali tu ze wszystkich zakamarków dzielnicy i których żadna siła nie była w stanie rozpędzić, po czym przez bufet wydostałem się na ulicę. Niedaleko stał cab; przywołałem go i czekałem na Bicze, uzupełniając w myśli skąpe słowa Butlera - te same, które nabierały teraz pełnej wymowy w zeznaniu trudnym dla kobiety, a coś dopiero dla dziewczyny. Ale już znając ją trochę, nie wyobrażałem sobie, by to zeznanie mogło być inne niż owe ruchy rąk kobiecych, które widzimy z ulicy, kiedy rankiem otwierają okno na ogród.

ROZDZIAŁ XXIX

Czekałem blisko godzinę. Nieustannie oglądałem się lub wysiadałem z powozu, zaprzęgnięty tylko jedną natarczywą myślą:

„Jeszcze jej nie ma”. Oczekiwanie zmęczyło mnie bardziej niż wszystko inne w tej ponurej historii. Wreszcie zobaczyłem Bicze. Szła szybko i zauważywszy mnie kiwnęła radośnie głową. Pomogłem jej wsiąść i zapytałem, czy życzy sobie pojechać do domu sama.

- I tak, i nie; jestem znużona, ale porozmawiamy w drodze. Nie zapraszam pana teraz, ponieważ bardzo się zmęczyłam.

Była błada i zdenerwowana. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, wreszcie Bicze zaczęła mówić o Hasie.

- Zamknął drzwi. Rozegrała się scena, którą postaram się zapomnieć. Nie przeleżałam się, tylko tak byłam zła, że sama byłabym zdolna zabić go, gdybym miała broń. Objął mnie i zdaje się próbował pocałować. Kiedy wyrwałam mu się i podbiegłam do okna, zobaczyłam,

że mogę się od niego uwolnić. Pod oknem ciągnęły się schody, zeskoczyłam więc na podest. Jak to dobrze, że pan też tam przyszedł.

- Niestety, w niczym nie mogłem być pani pomocny.

- Wystarczyło, że pan tam był. W dodatku usiłował pan, jeśli nie oskarżyć, to przynajmniej ściągnąć na siebie podejrzenie. Jestem panu ogromnie wdzięczna. Przyjdzie pan do nas wieczorem? Oznaczmy od razu godzinę. Proponuję siódmą. Chcę pana widzieć i porozmawiać z panem. Co pan powie na temat statku?

- Wątpię, żeby „Biegnąca po falach” - odpowiedziałem - mogła być w najbliższym czasie oddana pani. Prawdopodobnie odbędzie się przesłuchanie pozostałej załogi i Sinkrite'a, a statku nie wypuszczą z portu, dopóki sąd portowy nie stwierdzi prawa Seniwellów; z tego względu trzeba koniecznie skomunikować się z Brownem.

- Nie pojmuję - powiedziała Bicze z zadumą - jak mogła powstać taka groźna i pełna ohydy sprzeczność. Ten statek był budowany z miłością. Stworzyła go życzliwość i troska. Był czysty. Wątpię, czy można będzie zapomnieć o jego upadku, o tych historiach, które na nim zaszły i zakończyły się klęską trzech ludzi: Hase'a, Butlera i Sinkrite'a, bo on też pewnie będzie aresztowany.

- Bardzo się pani przestraszyła?

- Nie. Ale ciężko jest patrzeć, że człowiek, który zaledwie kilka minut temu mówił jak w malignie, ale na pewno szczerze, teraz leży martwy. No, jesteśmy już prawie na miejscu, na lewo za tym zakrętem stoi dom, w którym mieszkam.

Zatrzymałem powóz przed starą murowaną bramą, za którą w głębi podwórza widać było fasadę domu, i pożegnałem się z Bicze. Dziewczyna poszła szybko w głąb; patrzyłem za nią. Odwróciła się, przystanąła i popatrzyła na mnie z daleka badawczo, ale bez uśmiechu. Potem zrobiła nieokreślony, pełen znużenia ruch i zniknęła między drzewami, a ja pojechałem do hotelu.

Była już druga godzina. Spotkałem Cooka. Teraz w świetle dnia kolor jego twarzy już nie przypominał promiennej różowości ubiegłej nocy. Cook był albo zakłopotany, albo z jakiegoś powodu niezadowolony. Powiedział mi, że przywieziono moje rzeczy. Rzeczywiście, leżały tu w zupełnym porządku, w szczelinę walizki wsunięty był list. Rozpieczętowałem kopertę i znalazłem w niej kartkę od Daisy. Zawiadamiła mnie, że „Nurek” odpływa w drogę powrotną pojutrze, że chciałyby pożegnać się ze mną, dziękuje poza tym za książki i jeszcze raz prosi, bym jej wybaczył wczorajszy wybryk. „Ale to było zabawne - czytałem pod koniec listu. - A więc widział pan jeszcze jedną taką suknię, jak moja. Chciałam być skromna, ale nie mogę. Jestem bardzo ciekawa. Mam panu bardzo dużo do powiedzenia.”

Choć byłem tak bardzo pełen Bicze, to uczucie trwogi i klęski moralnej, jakiej dziś doświadczyłem, rozwiązać mógł jedynie dalszy normalny bieg życia, dlatego ta miła prosta kartka od Daisy była jak jej uśmiech. Jakbym jeszcze raz usłyszał dźwięczny, żarliwy głos, w którym odbijał się najłżejszy odcień nastroju. Postanowiłem udać się na „Nurka” jutro z rana. Tymczasem zachowanie się Cooka zaczęło mnie niepokoić, siedział w posepnym milczeniu i ogryzał paznokcie - nawyk, którego nienawidzą. Nasze spojrzenia spotkały się, dłuższą chwilę badaliśmy się wzajemnie, aż wreszcie Cook pokwitował ów moment depresji ciężkim westchnieniem i lapidarną wzmianką o diable. Na moje współczujące pytanie odrzekł, że ma atak neurastenii.

- Zarekomendowałem się panu w prawdziwym świetle - mówił gniotąc z pasją pudełko od zapalek - mianowicie, że jestem plotkarz, plotkarz zawołany, to wynika z mego przekonania i inklinacji estetycznych. Lecz jestem także neurastenik. Przy śniadaniu toczyła się rozmowa o orzechach. Pewnemu człowiekowi liszki zniszczyły cały plon. A gdyby to mnie spotkało? Moje sady! Moje wspaniałe orzechy! Nie mogę sobie wyobrazić, że w białym sercu orzecha tkwi robak, który zostawia wyschłe szczątki, gorycz i pustkę. Ogarnął mnie smutek, muszę pojechać do domu i zobaczyć, czy z moimi orzechami wszystko w porządku. Nie daje

mi spokoju ta myśl - a nuż je toczą robaki.

Wyraziłem nadzieję, że mu to przejdzie do wieczora, kiedy wśród muzyki, wesołych żartów i kwiatów rozszumi się tłumne karnawałowe święto, Cook jednak odniósł się do tego filozoficznie.

- Ja to widzę w ciemnych barwach - powiedział spacerując po pokoju z rękami założonymi do tyłu i wzrokiem utkwionym w podłogę. - Taki mi się rysuje obraz. W ciemności szereg silnie oświetlonych kręgów, a pomiędzy nimi - czarny cień. Z cienia wylatują na światło rozbawieni durnie. Te kręgi - to pułapki. Są tam ustawione krzesła, płoną lampy, gra muzyka, jest mnóstwo uroczych kobiet. Marzący walc mile zaprasza, by otoczyć ramieniem giętką kibić. Kibić za kibicią, dłonie za dłońmi napełniają krąg niby dźwięczny, upajający wichur. Pod nogami tańczących zapalają się ogniste napisy: „Dozgonna miłość!” - „Jam twoja żona, tyś mój mąż!” - „Kocham i cierpię, i wierzę w absolutne szczęście!” - „Życie jest tak piękne!” - „Oddajmy się wesołości, a jutro ręka w rękę, zawsze razem aż po grób!” Kiedy to się rozgrywa, w cieniu ledwie można rozpoznać sylwetki tychże durniów, to znaczy ich sobowtóry. Minęło, powiedzmy, dziesięć lat. I cóż tam widzę: nudę, wymysły, mogilną płytę powszedniości, wymówki i swary, skryte niecne wyrachowanie, kłopoty z dziećmi, które, leżąc na podłodze, wałą nogami w daremnym proteście przeciw takiemu losowi, jaki przeczuwają obserwując niechętną podejrzliwość ubóstwiających się niegdyś rodziców. Żona myśli o innym - przed chwileczką przeszedł obok okna. „Kiedyś byłem wolny, myśli mąż, i ogromnie lubiłem tańczyć walca...” A propos - wtrącił Cook, ochłonawszy nieco i chwytając nozdrzami powietrze jak pies, który przyleciał nad bagno - słyszał pan coś o Florze Salier? Taka mała aktoreczka, która przyjechała z San-Riol? O, to panu opowiem! Jest utrzymanką Champs, właściciela zakładu pogrzebowego. Champs, który jest wielkim oryginałem, podbił serce Salier tym, że ofiarował jej śliczną aksamitną trumienkę napełnioną jubilerskimi świecidełkami. Żona jego dowiedziała się o tym. No i...

Widząc, że Cook jest doprawdy nie lada plotkarzem, chciałem uniknąć wysłuchiwania szczegółów tej historii, wziąłem więc po prostu kapelusz i wyszedłem, tłumacząc się niecierpiącymi zwłoki interesami; on wyszedł na korytarz i wołał za mną raźniejszym już głosem:

- Opowiem panu, jak pan wróci! Jest jeszcze jedna taka historia, która... Życzę powodzenia!

Odszedłem pod wrażeniem jego głośnego pogwizdywania, które oznaczało, że atak neurastenii minął definitywnie. Moim celem było zobaczyć się z Daisy, nie odkładając tego do jutra, przyznam się jednak, że w tej chwili poszedłem tylko dlatego, że nie chciałem i nie mogłem po rannym przeżyciu w hotelu portowym słuchać gadaniny Cooka.

ROZDZIAŁ XXX

Po wyjściu usadowiłem się w restauracji, z szerokich okien której widać było ponad dachami kresę morza. Podano mi jedzenie i wino. Należę do ludzi odznaczających się wielką pamiętliwością uczuć, toteż pomyślawszy o Daisy, wspomniałem moje wczorajsze pełne skruchy zakłopotanie, kiedy tak głupio pozwoliłem jej odejść, zasmuconej nieudanym żartem. Czy nie zadrasnałem czymś tej łagodnej, miłej dziewczyny? Miałem przykre obawy, że prawdopodobnie myślała o mnie częściej, niż zezwalała na to sytuacja nas obojga. Zjadłem śniadanie, po czym odszukałem „Nurka”, który, jak mnie poinformowała w swej kartce Daisy, stał w pobliżu budynku komory celnej, zwrócony rufą do brzegu, w długim szeregu takich samych małych szkunerów ustawionych burta przy burcie.

Spostrzegłem Bolta, który malował kuchnię siedząc na jej daszku, i zapytałem go, czy

jest ktoś na statku.

- Tylko Daisy - powiedział marynarz. - Proktor i Tobbogan wyszli w pańskiej sprawie, ponieważ wezwała ich policja. Inni też poszli z nimi. Wiem już o wszystkim - dodał. - Niebawła historia. Przynajmniej uniknie pan kłopotów. Daisy jest na dole.

Zszedłem po trapie do wnętrza statku. Było tu czworo drzwi, więc zatrzymałem się, nie wiedząc, do których zapukać.

- Czy to wy, Bolt? - usłyszałem głos dziewczyny. - Kto tam? Proszę wejść - rzekła po chwili milczenia.

Zapukałem do drzwi, skąd dochodził głos; kajuta znajdowała się naprzeciwko trapu, nie byłem w niej ani razu.

- Otwarte! - zawołała dziewczyna.

Znalazłem się w maleńkiej przestrzeni; na prawo stała zasłonięta prześcieradłem koja. Daisy siedziała między koją a stolikiem. Była starannie uczesana i miała na sobie tę samą co wczoraj muślinową suknię; spostrzegłszy mnie, stanęła w pąsach. Zobaczyłem nieco inną Daisy - nie roześmiała się, nie zerwała gwałtownie z miejsca, wzrok jej był życzliwy, lecz zamknięty. Na stoliku leżała otwarta książka.

- Wiedziałam, że pan przyjdzie - odezwała się. - Jutro już wyjeżdżamy. Dziś rano tak wczesnie wyładowywaliśmy towar, jestem niewyspana, wczoraj zasnęłam bardzo późno. Pan jest także zmęczony, nie wygląda pan nadzwyczajnie. Widział pan zabitego kapitana?

Usiadłem i opowiedziałem jej, jak wszedłem tam razem z zabójcą, ale nic nie wspominałem o Bicze. Daisy słuchała w milczeniu, przerzucając palcem stronicę otwartej książki.

- Przeraził się pan? - zapytała, kiedy skończyłem opowiadanie. - Wyobrażam sobie, to straszne!

- To jest tak jeszcze świeże - odpowiedziałem z mimowolnym uśmiechem, ponieważ wzrok jej padł na wiszącą w kącie żółtą suknię z brązową frędzlą - że trudno mi coś powiedzieć o mych uczuciach. Ale czy straszne... to było pozornie straszne. Prawdziwej grozy raczej nie było.

- Dlaczego, dlaczego pan się uśmiechnął? - wykrzyknęła Daisy zauważywszy, że popatrzyłem na suknię. - Przypomniał pan sobie? Och, jakże pan był zaskoczony! Dałam sobie słowo, że nigdy już tak nie będę żartować. Po prostu jestem głupia. Mam nadzieję, że pan mi wybaczył?

- Albo to można się gniewać na panią - odpowiedziałem szczerze. - Skądże! Sam czułem się winowajcą, choć trudno mi wytłumaczyć dlaczego. Ale pani rozumie.

- Rozumiem - rzekła dziewczyna - ja zawsze wiedziałam, że pan jest dobry. Ale muszę wszystko opowiedzieć. Niech pan posłucha.

Ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak, pochyliwszy głowę, ale zauważyłem, że spogląda przez palce z melancholijnym skupieniem. Potem odjęła ręce od twarzy, na której zaigrał nieporównany uśmiech Daisy, i zaczęła opowiadać swoje przygody. Jak się okazało, Tobbogan przyłączył się do gromady graczy otaczających ruletkę zainstalowaną pod murem jakiegoś domu.

- Najpierw - mówiła dziewczyna, przy czym na jej ogromnie wyrazistej twarzy malował się żal - obiecał mi, że postawi tylko trzy razy, a potem pójdziemy gdzieś potańczyć, będziemy się bawić i jeść, ale jak mu dopisało szczęście, a dopisało mu wczoraj porządnie, już się nie mógł oderwać. Skończyło się na tym, że dałam mu pół godziny, a on posadził mnie przy stoliku w sąsiedniej kawiarni; przez ten czas, zanim wypiałam szklanekę czekolady, nasłuchiwałam się tylu komplementów, że ta czekolada była dla mnie istną męczarnią. To okrutne zostawić mnie samą w taki wieczór - przecież i ja chciałam się zabawić, no nie? Posiedziałam pół godziny, później znów poszłam do Tobbogana i próbowałam go odciągnąć, ale aż przykro było na niego patrzeć. Bez przerwy wygrywał. Mówił tak dziwnie, że należało po prostu machnąć na niego ręką. Nie mogłam czekać przez całą noc. Wreszcie ludzie naokoło zaczęli

się wyśmiewać i Tobboganowi poczerwieniały skronie. To zły znak. „Daisy, idź do domu - powiedział błagając mnie wzrokiem. - Widzisz, jak mi się wiedzie. To przecież dla ciebie.” W tej chwili właśnie coś mi się bardzo wyraźnie przywidziało. Ja często miewam przywidzenia, tak żywo, że po prostu widzę, co się dzieje, i biorę w tym udział. Wyobraziłam sobie, że idę sama jakimiś oświetlonymi ulicami i spotykam pana. Postanowiłam ukarać Tobbogana i z ciężkim sercem zaczęłam oddalać się coraz bardziej, coraz bardziej, a kiedy sobie pomyślałam, że właściwie nie jest to żadne przestępstwo z mojej strony, miałam w głowie już tylko jedno: „Prędeż, prędeż, prędeż!” Rzadko mam przystępy takiej odwagi. Szłam i rozglądałam się, jaki by kupić strój maskaradowy. Spostrzegłam mały sklep z szyldem, drzwi były otwarte, weszłam więc i przymierzałam to i owo, ale wszystko było nie na moją kieszeń; wreszcie właścicielka pokazała mi tę suknię i powiedziała, że odda ją taniej. Były dwie takie suknie. Jedna już została sprzedana, o czym pan się pewnie przekonał widząc ją na kimś innym - wtrąciła Daisy. - Nie, nie chcę o niczym wiedzieć! Po prostu nie poszczęściło mi się. Że też musiało się tak zdarzyć. To okropne, jeśli się nad tym zastanowić. Ale wtedy oczywiście nic nie wiedziałam i byłam bardzo zadowolona. Tam też kupiłam maseczkę, a tę suknię, którą mam na sobie, zostawiłam w sklepie. Powiadam panu, że chyba w głowie mi się pomieszało. Potem - tędy, owędy... trzeba się było ratować, bo coraz mnie ktoś zaczepiał. O, ho! ho! Pędziłam jak na łyżwach. Kiedy znalazłam się na placu, ochłonełam, poczułam zmęczenie i nagle zobaczyłam pana. Stał pan i patrzył na posąg. Dlaczego skłamałam? Ja już byłam w teatrze, no i troszkę niestety potańczyłam, tak ze trzy razy. Słowem, jak ten pędziwiatr, gdzie nie posiejesz, tam wyrośnie! - Daisy parsknęła śmiechem. - Jak sama, to sama! W końcu wymknęłam się moim ognistym kawalerom i, jak mówię, zobaczyłam pana; wtedy właśnie pewna pani wyświadczyła mi przysługę. Już pan wie jaką. Poszłam do teatru i zaczęłam sobie wyobrazać, co też pan powie. I-i-i... wszystko się nie udało. Byłam taka zła na siebie, że natychmiast poszłam z powrotem, znalazłam hotel, gdzie nasi już śpiewali chóralnie - tak już mieli w czubie - i tam dopiero zrobiłam furorę. Wdzięczna jestem Proktorowi; okropnie się rozgniewał na Tobbogana i natychmiast kazał marynarzom odprowadzić mnie na „Nurka”. Niech pan sobie wyobrazi, że Tobbogan wrócił nad ranem. Tak, dużo wygrał. Dostało się i mnie, i jemu. Ale teraz już się pogodziliśmy.

- Kochana Daisy - powiedziałem nadszpiewanie wzruszony jej sztucznie żartobliwą opowieścią - przyszedłem pożegnać się z panią. Jeżeli się spotkamy, a powinniśmy się spotkać, będziemy przyjaciółmi. Nie zmusi mnie pani, bym zapomniał o jej życzliwości.

- Nigdy - odpowiedziała z powagą. - Pan też był dla mnie bardzo dobry. Pan jest taki...

- Jaki?

- Taki dobry.

Wstając upuściłem kapelusz i Daisy zerwała się, by go podnieść. Uprzedziłem ją; ręce nasze zetknęły się na kapeluszu, który razem podnieśliśmy.

- Ależ co znowu - powiedziałem łagodnie. - Ja sam. Do widzenia, Daisy!

Zdjąłem jej rękę z kapelusza, przełożyłem do mej prawej dłoni i mocno uściśnąłem. Daisy sposepniała, patrzyła mi prosto w twarz jakimś surowym wzrokiem i raptem rzuciła mi się na pierś, mocno objęła rękami i przytuliła się do mnie drżąc na całym ciele.

Czego nie rozumiałem dotąd, zrozumiałem teraz. Ująłem pod brodę jej twarz, którą uparcie chowała, sam przygnębiony i rozrzewniony tym dziecinnym porywem, zajrzałem w jej wilgotne zrozczone oczy i - zabrakło mi odwagi, żeby obrócić wszystko w żart.

- Daisy! - powiedziałem. - Daisy!

- No tak, Daisy, no i co jeszcze? - szepnęła.

- Jesteś zaręczona.

- Och, mój Boże, wiem o tym! Więc niech pan czym prędzej odejdzie!

- Pani nie powinna - ciągnąłem. - Nie powinna...

- Tak, tak. I co ja teraz zrobię?

- Jest pani nieszczęśliwa?

- Och, ja nie wiem. Niech pan już idzie!

Odpychała mnie jedną ręką, a drugą z całej siły przyciągała. Posadziłem ją, spokorniała, z twarzą bladą i zawstydzoną; ostatnie swoje spojrzenie usiłowała okraszyć uśmiechem. Nie mogłem tego wytrzymać, w popłochu ucałowałem jej rękę i szybko wyszedłem. Na górze spotkałem Tobbogana i Proktora, którzy akurat wchodzili po trapie. Proktor popatrzył na mnie badawczo i smutno.

- Był pan u nas? - zapytał. - A my od sędziego śledczego. Niech pan się wróci, to panu opowiem. Sprawa zrobiła się głośna. Trzeci pański wróg, Sinkrite, już jest aresztowany; marynarzy też wzięli, tak, prawie wszystkich. Dlaczego pan już odchodzi?

- Jestem zajęty - odpowiedziałem - tak bardzo zajęty, że nie mam wolnej chwili. Spodziewam się, że pan mnie odwiedzi. - Podałem mu swój adres. - Przyjemnie mi będzie zobaczyć pana u siebie.

- Tego nie mogę obiecać - rzekł Proktor zamyślony, patrząc na morze zmrużonymi oczami. - Ale jeśli by pan miał czas... Zresztą - dodał z zakłopotaniem - nie ma nic specjalnie ważnego. Jutro z rana odpływamy.

Podczas tej rozmowy Tobbogan stał odwrócony i patrzył w bok; był nadąsany. Rozgniewała mnie ta wyraźna wrogość, w dodatku demonstrowana tak naiwnie i impertynencko, jak gdyby z góry mnie potępiał. Powiedziałem:

- Tobbogan, chciałbym uściskać pańską rękę i podziękować panu.

- Nie wiem, czy to potrzebne - odpowiedział niechętnie, zmuszając się do patrzenia mi w oczy. - Mam co do tego własne zdanie.

Nastąpiło milczenie, wystarczająco wymowne, by je zakłócać zbędnymi wyjaśnieniami. Zrobiło mi się jeszcze ciężiej.

- Żegnam pana, Proktor! - rzekłem ściskając obie ręce szypra, które oddały mi uścisk z głęboką ulgą, że skończyła się już tamta przykra scena. Tobbogan odszedł nie obejrzawszy się. - Żegnam! Przed chwilą pożegnałem się z Daisy. Unoszę z sobą jak najcieplejszą pamięć o was obojgu i wielką wdzięczność za ocalenie.

- Dziwnie pan mówi - odpowiedział Proktor. - Czy dziękuje się za takie rzeczy? Zawsze trzeba pomóc drugiemu. Niech pan gwizdże na Tobbogana. Sam nie wie, co mówi.

- Istotnie, on n i e w i e, co mówi.

- No, widzi pan! - Proktor miał pewnie jakieś wątpliwości, ponieważ moja odpowiedź wyraźnie go ucieszyła. - Ludzie spotykają się i rozchodzą. Tak czy nie?

- Z pewnością tak.

Jeszcze raz uścisnąłem jego rękę i odszedłem. Dogonił mnie Bolt.

- A ze mną to pan zapomniał się pożegnać - rzekł wesoło, wycierając zawałaną farbą rękę o spodnie. Dopełniając ceremonii pożegnalnej, dodał: - Przepraszam bardzo, ale ja rozumiem, że pan jest nieswój. No pewnie, takie przeżycia! Do widzenia, życzę panu szczęścia!

Machnął czapką i pobiegł z powrotem.

Szedłem naprzód bez celu, jak wygnaniec, który nie ma gdzie się udać, rozstrojony i pełen udreki. Daisy była ostatnim stworzeniem na świecie, któremu chciałbym wyrządzić krzywdę. Przypominałem sobie, czy kiedyś nie padły z mej strony jakieś nieopatrne słowa, które tak poważnie dziewczęta biorą do serca. Była mi tak miła jak ciepły wiatr, który owiewa twarz; myślę, że potrafiłaby wejść, dajmy na to, do rady ministrów i dobrodusznie zapytać, czy nie przeszkadza im w pisaniu. Ale poza świadomością, że świat od czasu do czasu pozwała błąkać się dzieciom, nie zatroszczywszy się nawet o to, by im obciągnąć koszulinę, której rąbek pakuje do ust paradując uroczyście i bojaźliwie - nie żywiłem dla tej dziewczyny jakichś uczuć na tyle gorących i nieodpartych, bym mógł się z nimi zdradzić wbrew woli i rozsądkowi. Miałem nadzieję, że był to poryw chwilowy i że Daisy po jakimś czasie sama uśmiechnie się na myśl o tym. Ale byłem jej wdzięczny za ufność, wyrażoną w tym rozpaczli-

wym odruchu, który tak mnie wytrącił z równowagi i w którym było tyle niemej prośby o coś serdecznego, żarliwego, prawdziwego.

Byłem ponury i znużony; zmęczyło mnie błędzenie po prawie jeszcze pustych ulicach, poszedłem więc przebrać się do hotelu. Cook wyszedł. Na stole zostawił kartkę z wyliczeniem miejsc, które warto odwiedzić tego wieczoru, oraz informację, że mogę go znaleźć przy tym samym stole obok pomnika. Została mi godzina, którą spędziłem z pożytkiem, opisując Filatre'owi pokrótce wypadki w Hale-Gew. Następnie wyszedłem i wrzuciwszy list do skrzynki byłem o siódmej, po zachodzie słońca, u Bicze Seniwell.

ROZDZIAŁ XXXI

Zastałem w saloniku Bicze i Botwella. Zobaczywszy ją, uspokoiłem się. Wystarczyło mi patrzeć i rozmawiać z nią. Była w miarę ożywiona, Botwell zafrasowany i pełen napięcia.

- Sporo udało mi się załatwić - oznajmił. - Byłem u sędziego śledczego, obiecał mi, że Bicze będzie wyłączona ze sprawy, zarówno jeśli chodzi o materiał dla prasy, jak i o osobiste stawienie się w sądzie. Przyśle swoje zeznanie na piśmie. Mimo to byłem jeszcze tu i ówdzie i wszędzie zostawiałem pieniądze. Można by pomyśleć, że mam dziurawe kieszenie. Bicze, czy masz zamiar jeszcze kiedyś odkupywać statki?

- Zawsze, ilekroć ktoś naruszy moje prawa. Niemniej, rzeczywiście otrzymałam naukę. Nie było mi tak wesoło - zwróciła się do mnie - bym jeszcze raz chciała dotknąć czegoś, co może zwalić mi się na głowę. Ale któż by pomyślał.

- Łajdak nie żyje - rzekł Botwell. - Poślę Butlerowi do więzienia cygara, wino i kwiaty. Ale pan, Harvey, pan Bogu ducha winien i nie zamieszany absolutnie w tę sprawę, jak pan mógł wysiedzieć obok trupa przez tyle godzin?

- Było mi ciężko z innego powodu - odpowiedziałem zwracając się do dziewczyny, która patrzyła na mnie z zadumą i ciekawością. - Nie mogłem ścierpieć sytuacji, która rzuciła na panią swój przykry cień. Co się zaś tyczy okoliczności sprawy, to choć w gruncie rzeczy są one proste, niemniej dziwne, jak spotkanie po wielu latach, mimo że jest to przecież tylko dążenie do jednego punktu.

Następnie roztrząsaliśmy wszystkie momenty dramatu oraz sytuację poszczególnych osób. Botwell zawile tłumaczył nam rozkład pokojów w hotelu. Bicze kazała mu przynieść papier, co natychmiast uczynił. Podczas jego nieobecności zapytała:

- Jak pan się teraz czuje?

- Myślałem przez cały czas o jednym - że przyjdę do pani.

Podniosła rękę i chciała coś prędko powiedzieć, prawdopodobnie coś zaprzatającego jej myśli, ale nagle zmieniła wyraz twarzy i zauważyła spokojnie:

- Wiem o tym. Zaczęłam rozważać wszystko dokładniej niż przed przyjazdem tutaj. Otóż...

Czekałem bardziej zalękniony jej spokojem, niż gdyby mi dała odczuć chłód albo obrazę. Uśmiechnęła się:

- Jeszcze raz dziękuję panu za życzliwość - powiedziała.- Botwell, przyniosłeś złamany ołówek.

- Rzeczywiście - przyznał Botwell.- Ale te dni ukazały nam tyle nadzwyczajności, że mogę się spodziewać, iż ołówek nagle sam się zatemperuje! Pan Harvey zgadza się ze mną?

- W zasadzie - tak!

- Mimo to niech pan weźmie scyzoryk - roześmiała się Bicze podając mi go wraz z ołówkiem. - To jest właśnie niezbędna zasada.

Zatemperowałem ołówek, szczęśliwy, że ona się nie gniewa. Bicze nieufnie pokręciła jego ostrym końcem, potem zaczęła szkicować wejście, wyjście, pokój, korytarz i schody.

Stałem nachylony nad jej ramieniem. W małej pewnej dłoni ołówek poruszał się tak prawidłowo i z taką precyzją, jak w wycięciach szablonu. Jak gdyby obwodziła przez nią jedną widzianą linię. Pod tym szkicem Bicze narysowała kontury postaci: moją, Butlera, komisarza i Gardena. Wszystkie były tak przekonujące, jak japońska groteska. Wyraziłem pewność, że ten kunszt i lekkość ręki zostawiły jakiś znaczniejszy ślad w jej życiu.

- Nie lubię rysować - powiedziała i od niechcienia przeciągnęła szybkim ruchem kreskę tak równą, jak gdyby posługiwała się linijką. - To dla mnie zbyt łatwe. Jeśli pan jest myślowym, czy znajdowałby pan przyjemność w polowaniu na kury na podwórzu? To samo ja. Poza tym ja zawsze wolę oryginał. Chciałabym poradzić się pana co do Browna. Pan go zna, rozmawiał pan z nim. Czy należy mu zaproponować pieniądze?

- Ze względu na bardzo drażliwą sytuację, w jakiej obecnie znalazł się Brown, sądzę, że należy wszystko tak załatwić, jak gdyby on rzeczywiście kupił statek od Hase'a i rzeczywiście za niego zapłacił. Ale jestem przekonany, że pieniędzy nie weźmie, to znaczy weźmie je tylko na papierze. Na miejscu pani zleciłbym tę sprawę prawnikowi.

- Ja to samo mówiłem - rzekł Botwell.

- Ależ sprawa jest prosta - upierała się Bicze. - Brown przecież poinformował pana, że jest tylko fikcyjnym, a nie rzeczywistym właścicielem statku.

- Tak, ale to była tylko rozmowa między nami, w grę nie wchodziły papiery ani formalności. A człowiek interesu żywi kult dla formy i jeśli zakładamy, że Brown nie ma ani potrzeby, ani ochoty bawić się w wydrwigrosza i brać pieniądze za cudzą własność, dlatego odmawiać mu formalnej, rzeczowej pedanterii, która stanowi część jego życia.

- Namyślę się jeszcze - powiedziała Bicze patrząc w zadumie na rysunek i obwładając moją postać podwójną owalną linią. - Może się to panu wyda dziwne, ale jakoś naturalniej przysłoby mi załatwić tę sprawę z Hase'em, niż teraz ukuć tę oficjalną wersję. Tak, nie wiem. Ale czy mogę niepokoić Browna zjawiając się u niego?

- Prawie na pewno - odpowiedziałem. - Ale i on prawie na pewno okaże niepokój, mianowicie wyśle do pani swego plenipotentą, jakiegoś lisa, który marzy o łapówce, i dlatego czyż nie lepiej, by pierwszy tego rodzaju krok uczyniła pani sama?

- Ma pan rację. To będzie przyjemniejsze i dla niego i dla mnie. Chociaż... Nie, to rzeczywiście racja. Mamy tu pewien plan - ciągnęła Bicze rozpogadzając czoło, wskutek czego znikła zmarszczka zatroskania, rysująca się między jej wąskimi brwiami. Zmieniła pozycję i uśmiechnęła się. - Plan polega na tym, żeby na razie dać spokój wszystkiemu i wybrać się na „Biegnącą”, tak dawno nie byłam na tym pokładzie, który znam od dziecka! W dzień było zbyt gorąco. Słyszysz pan, jaki gwar? Musimy się trochę rozruszać.

Rzeczywiście przez ogromne okna salonu wpadały chóralne okrzyki, muzyka, cały dźwięczny gwar karnawału, który zaczął się z nowym wigorem. Zgodziłem się natychmiast. Botwell wyszedł, żeby wydać dyspozycje. Zostałem jednak sam z Bicze tylko przez chwilę, ponieważ weszli jej krewni, gospodarze domu - para starszuchów okrągłutkich jak dwie starannie ubrane piłki; zostałem im przedstawiony i z ulgą przekonałem się, że nic nie wiedzą o mojej historii.

- Przyjechał pan zapewne, żeby się rozerwać, popatrzeć, jak się tu bawia? - spytała starszucha, przy czym jej pomarszczona twarz jak gdyby przepraszała mnie za rozgardiasz i hałas panujący w mieście. - My teraz nie wychodzimy, nie. Teraz wszystko inne. I karnawał nienadzwyczajny. Za moich czasów sam Bredener zaprzęgał dwanaście koni, Carlson wystawił „Oceanie”, wspaniały pawilon na kołach, a ja byłam tam przebrana za główną Wenus. U Lacotte'a w ogrodzie fontanna tryskała winem... Och, jakeśmy tańczyli!

- Wszystko teraz inne - rzekł starszuch, który, zdawało się, siwieje, obrasta mchem i maleje z każdą chwilą, tak był zgrzybiały. - Nawet nie ma się chęci wyjechać do miasta i po-

patrzeć. W tysiąc osiemset... no, wszystko jedno, pojedynkowałem się z Osborne'em. On był przebrany za „Kota w butach”. Ze mnie wyjęto trzy kule. Z niego - siedem. No i zmarł.

Staruszkowie stali obok siebie, jak gdyby wrośnięci w niewidzialny mech zamierzchłych czasów; stali z trudem, zacząłem się więc żegnać.

- Dziękuję panu - odezwała się staruszka niespodziewanie mocnym głosem - pan dopomógł Bicze załatwić tę całą sprawę. Tak, mówię o piratach. No i co, powieszono ich? Dawniej tu było dużo piratów.

- Bardzo, bardzo dużo piratów! - potwierdził staruszek smutno kiwając głową.

Wszystko im się poplątało. Spozregłem, że Bicze daje mi znak spojrzeniem, ukłoniłem się więc i wyszedłem z nią, a za mną pogonił starczy szept:

- Wszystko jest inne... inne... Bardzo dużo piratów!

ROZDZIAŁ XXXII

Jadąc w towarzystwie Bicze i Botwella czułem się skrępowany i doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, co mnie kępuje. Byłem niezrozumiały dla Bicze z jej konkretnym pojęciem o ludziach i sytuacjach. Wyszedłem z karnawału na scenę życia, jak gdybym po prostu otworzył ukryte drzwi, zostawiając w cieniu cześć swego ducha i przez to trudno mnie było umiejscowić w rzeczywistości.

W powozie siedziałem obok Bicze, przed sobą zaś miałem Botwella, który, sądząc z wielu oznak, był dobrym przyjacielem Bicze, co się zdarza między młodymi ludźmi płci odmiennej, złączonymi pokrewieństwem, obopólną sympatią i podobnymi gustami. Zaczęliśmy rozmowę, ale wkrótce musieliśmy ją przerwać. Ledwieśmy ruszyli, już musieliśmy się poddać prawom gry - tej samej karnawałowej transformacji, wśród której krążyłem wczoraj. Powóz posuwał się z wielkim trudem, zasypany barwnym papierowym śniegiem, który niemal wszystkie dostawał się Bicze, podobnie jak serpentyny z wolna szeleszczącymi wstęgami spadające z balkonów. Publiczność swawoliła, hasała śmiejąc się i krzycząc. Światło było jaskrawe i rozszalałe jak w kręgu pożaru. Zaimprovizowane orkiestry z rondlami, miednicami i papierowymi trąbami, wydającymi dziki ryk, szalały na skrzyżowaniach. Nie było jeszcze korowodów ani orszaków; ton nadawała najbardziej rozbawiona część ludności - malcy i wyrostki wszystkich kolorów skóry oraz grupy na balkonach, skąd nas usilnie starano się złowić na serpentyny.

Kiedy dotarliśmy do nabrzeża, Botwell kazał jechać stangretowi w kierunku, gdzie stała „Biegnąca po falach”; tam jednak dowiedzieliśmy się od wachtowego z barkasu, że statek odprowadzono na redę, musieliśmy więc wynająć łódź. Wyminieliśmy po drodze kilka statków rozbrzmiewających muzyką i rześście iluminowanych. Coraz bardziej oddalaliśmy się od smugi nadbrzeżnego światła, pogrążając się w zmrok, potem w ciemność, wreszcie jeden z wioślarzy spostrzegłszy nieruchome światło na maszcie, rzekł:

- To ona.

- Cieszy się pani? - zapytałem nachylając się ku Bicze.

- Chyba nie - Bicze wpatrywała się w ciemność. - Nie mam uczucia, że zbliżam się do tej samej „Biegnącej po falach”, o której opowiadał mi ojciec, że zbudowali ją na dnie morza, spluwając w ręce i posługując się rybą-piłą i rybą-młotem, dwaj junacy-giganci: „Zamysł” i „Sekret”.

- To minie - zauważył Botwell. - Trzeba tylko przyjechać i rozejrzeć się. Dotknąć nogą pokładu, tupnąć. To wszystko.

- Ona jest jak gdyby chora - rzekła Bicze. - Niemoc formalności... i dosyć nędzna przeszłość.

- Zeszła na manowce - dodał Botwell, wywołując tymi słowami śmiech.

- Powiadają, że znaleźli trupa - wtrącił wioślarz przypatrując się nam. Słyszał widocznie o tej sprawie. - U nas różne rzeczy mówili...

- Myli się pan - zaprzeczyła Bicze - to niemożliwe.

Łódź stuknęła o burtę. Na statku było cicho.

- Hej tam, na „Biegnącej”! - zawołał Botwell wstając.

Nad wodą pochyliła się niewyraźna postać. Był to agent, który po krótkich pertraktacjach, zaprawionych interesującymi aluzjami na temat wdzięczności, zawołał marynarza i spuścił trap.

Natychmiast przybiegł jeszcze jeden człowiek, za nim trzeci. Byli to Horacy i kucharz. Mulat witał mnie hałaśliwie. Kucharz przyniósł latarnię. Przy jej słabym, mdłym świetle weszliśmy na pokład.

- Nareszcie! - powiedziała Bicze zadowolonym tonem, wchodząc na pokład; potem odwróciła się: - Jaki jest stan załogi?

Horacy wyjaśniał, ale tak bezsensownie i gorączkowo, że nie dosłuchawszy do końca poszliśmy wszyscy do salonu. Zabłyśły lampy oświetlając wszystkie kąty i przedmioty, na które patrzyłem kilka dni temu. Zauważyłem, że jest byle jak sprzątnięte i zamiecione; widocznie jeszcze nie minął wstrząs wywołany katastrofą.

Na statku zostali: Horacy, kucharz, agent, który czekał okazji, by wysledzić nici handlu przemytniczego, oraz jeden marynarz; inni byli aresztowani lub otrzymali wypłatę z pieniędzy znalezionych przy Hasie. Nie wnikałem w to specjalnie, ponieważ ciągle patrzyłem na Bicze, starając się pojąć jej uczucia.

Wciąż jeszcze nie siadała. Podczas gdy Botwell rozmawiał z kucharzem i agentem, Bicze obeszła salon, oglądając jego urządzenie z taką uwagą, jakby tu była po raz pierwszy. W pewnej chwili oczy jej rozszerzyły się i przygasty, a ja idąc za jej wzrokiem, zobaczyłem złamany damski grzebyk, leżący na kredensie.

- No, niech pan mi jeszcze powie - rzekła Bicze, widząc ile uwagi poświęcam jej spojrzeniu na ów przedmiot bagatelny a wymowny - gdzie pan mieszkał? Która to była kajuta? Czy nie pierwsza na lewo od trapu? Tak? To przejdźmy do niej.

Otworzyłem drzwi mojej dawnej kajuty, opisałem Bicze układ tamtej sceny oraz jak wpadłem w pułapkę, zwiedziony rzekomą skruchą Hase'a.

- Zaczynam to sobie wyobrażać - powiedziała Bicze. - Bardzo to wszystko smutne. Bardzo ponure! Nie chcę zostawać tu dłużej. Wyjdźmy na górę.

- Czy tamto uczucie nie mija?

- Nie. Chodzę jak po cudzym domu, z którym znajduję przypadkowe podobieństwo. Czyżby to jakaś obca aura, jakiś niewidoczny ślad, z którym długo jeszcze nie będę mogła uporać się wewnątrz? O, tak bym chciała, żeby tego wszystkiego nie było!

- Czuje się pani znieważona?

- Tak; to właściwe słowo. Jestem znieważona. Ale wyjdźmy już na górę.

Wyszliśmy. Czekałem, przejęty, dokąd mnie zaprowadzi - i nie omyliłem się. Bicze zatrzymała się przy trapie.

- To stąd - pokazała ręką w dół, za burtę. - I - sam! Ja pewnie nigdy nie potrafię odczuć, wyobrazić sobie z całą siłą tego przeżycia. Sam!

- Jak to - sam?! - wyrwało mi się nieopatrznie. I nagle wszystka krew spłynęła mi do serca. Przypomniałem sobie, co powiedziała mi Fraisy Grant. Ale było już za późno. Bicze patrzyła na mnie z przykrą, surową niechęcią. Chwila milczenia zdradziła mnie. Nie potrafiłem ani sprostować moich słów, ani twardym spojrzeniem odeprzeć ukrytej myśli Bicze, i ona to wyczuła.

- Harvey - powiedziała z łagodną i szczerą siłą, która po raz pierwszy zadźwięczała w jej wesołym, beztróskim głosie. - Harvey, niech pan mi powie prawdę!

ROZDZIAŁ XXXIII

- Nie skłamałem pani - odrzekłem po pewnej chwili milczenia, czując się jak człowiek, który potknął się w ciemności i traci równowagę. Nic już nie można było zmienić. Bicze nadała ton. Winienem odpowiedzieć szczerze albo milczeć. Nie zasługiwała na wykręty. Nie bunt przeciw zakazowi, ale pociąg do dziewczyny, poczucie jej krzywdy i głęboki żal wyrwały mi te słowa, których już niepodobna było cofnąć. - Nie skłamałem, tylko coś przemilczałem. Tak, nie byłem sam, Bicze, ja byłem świadkiem rzeczy, które panią oszołomią. Do łodzi, nie wiadomo skąd znalazłszy się na pokładzie, zeszła i wsiadła Fraisy Grant, „Biegnąca po falach”.

- Ależ, Harvey! - powiedziała Bicze. W nikłym świetle latarni twarz jej wyglądała blado i mgliście. - Proszę mówić ciszej!... Ja słyszę.

Coś w jej głosie przypomniało mi pewien fakt z mego dzieciństwa, kiedy zrobiłem łuk i uległem naleganiom okrutnych malców, żądających, abym uderzył w ziemię wygiętym prętem owej własnoręcznie spreparowanej broni. Nie wyjaśnili mi, po co im to potrzebne, powtarzali tylko: „Sam zobaczysz”. Przeczuwałem niejasno, że to jakaś nieczysta sprawa, ale nie mogłem się oprzeć pokusie i uderzyłem. Ciężka pękła.

To mignęło jak iskra, która spadła na rękaw. Zdusiłem ją i opowiedziałem Bicze, co mówiła Fraisy Grant; jak była ze mną i jak potem odeszła. Nie przemilczałem także, że zabroniła mi mówić o tym Bicze, przy czym nie dała żadnych wyjaśnień. Dziewczyna słuchała patrząc w bok, wsparłszy łokieć o burtę i brodę na dłoni.

- Nie mówić m n i e - powtórzyła zamyślona, z uśmiechem w głosie. - Trzeba to zrozumieć. A dlaczego pan powiedział?

- Pani powinna wiedzieć dlaczego, Bicze.

- Czy dawniej nigdy nie przytrafiały się panu takie rzeczy?... - zapytała dziewczyna, jak gdyby nie słysząc moich słów.

- Nie, nigdy.

- A głos, głos, który pan usłyszał grając w karty?

- To jeden jedyny raz.

- Trochę za wiele jak na jeden dzień - powiedziała Bicze i westchnęła. Spojrzała na mnie przelotnie, ciepło, z lekkim smutkiem; potem dodała uśmiechając się nieśmiało: - Zejdźmy na dół. Zawołamy Botwella. Muszę dziś wcześniej się położyć, ponieważ boli mnie głowa. A tamta - druga dziewczyna? Czy pan ją spotkał?

- Nie wiem - odpowiedziałem z całą szczerością, ponieważ myśl o Daisy nigdy dotychczas nie przyszła mi do głowy, teraz jednak pomyślałem o niej z dziwnym uczuciem tkliwego i trwożnego niepokoju. - Bicze, od pani zależy - chciałbym tak myśleć - od pani zależy, by to, że złamałem przyrzeczenie, nie obróciło się przeciwko mnie!

- Znam pana bardzo mało, Harvey - odpowiedziała Bicze poważnie i z lekkim zażenowaniem. - Widzę nawet, że zupełnie pana nie znam. Chcę jednak poznać i będziemy o tym mówić jutro. Jestem Bicze Seniwell i niech to panu starczy za odpowiedź.

Nie dopuszczając mnie do słowa, podeszła do trapu i zawołała w głąb:

- Botwell, jedziemy!

Wszyscy wyszli na pokład. Pożegnałem się z załogą, na osobności zamieniłem kilka słów z agentem, który udał, że moja ręka przypadkowo znalazła się w jego szybko orientują-

cych się palcach, po czym zszedłem do łodzi, gdzie Bicze i Botwell czekali na mnie. Ruszyliśmy do miasta. Botwell opowiadał, że jak go właśnie poinformowano, „Biegnąca po falach” ma pozostać w Hale-Gew do dyspozycji Browna, którego telegraficznie zawiadomiono o wszystkich wypadkach.

Bicze przez całą drogę siedziała milcząca. Kiedy łódź weszła w smugę niezliczonych świateł nabrzeża, dziewczyna rzekła cicho i zdecydowanie:

- Botwell, zwalę na ciebie całe mnóstwo przykrych kłopotów. Sprzedasz beze mnie ten statek przez licytację albo... jak się da.

- Co?! - wykrzyknął Botwell tonem udanego przest్రachu.

- Czyżbyś mnie nie zrozumiał?

- Pomówimy później - odpowiedział Botwell i kiedy łódź zatrzymała się przy kamiennych schodach nabrzeża, dodał: - Diabelnie nieprzyjemna historia wszystko to razem wzięte. Ale Bicze jest nieubłagana. Ja dobrze cię znam, Bicze.

- A pan? - zapytała dziewczyna zegnając się ze mną. - Czy pan pochwała moją decyzję?

- Tylko tak mogła pani postąpić - odpowiedziałem, doskonale pojmując ten paroksyzm wstrętu.

- Bo jakże inaczej? - zamyśliła się. - Tak, tak być powinno. Bardzo mi smutno, lecz za to o wiele lżej. Dobrej nocy, Harvey! Jutro zawiadomię pana.

Podawała mi rękę, wesoło i mocno uściśnawszy moją, przy czym w jej wzroku kryła się ta niepokojąca mnie troska z domieszką wyraźnego niezadowolenia - ze mnie czy z siebie? - nie wiem. Było mi źle i ciężko na sercu.

Odjechali. Patrzyłem jakiś czas za powozem, później ruszyłem w stronę placu, myśląc o rozmowie z Bicze. Potrzebowałem gwaru i tłumnej obecności ludzi. Zauważywszy wolny cab wsiadłem do niego i bardzo prędko znalazłem się na tym miejscu, skąd wczoraj ujrzałem posąg Fraisy Grant. Teraz znów na nią patrzyłem usiłując sam siebie przekonać, że jestem bez winy. Przygnębiony, wysiadłem z cabu. Początkowo stałem drętwy, zupełnie oszołomiony - taki panował tu ścisk i ruch; bez przerwy ciągnęły jedne za drugimi wehikuły maskaradowe, wspaniałe pod względem różnorodności bogactw i fantazji. Lecz pierwsze moje spojrzenie, pierwsza myśl pobiegły skroś tłumu, do Fraisy Grant. Pomnik wznosił się cały w kwiatach; jego cokół tworzyła piramida kwiatów, olbrzymi stos spływający osypiskami jaśminu, róż i magnolii. Z trudem dostrzegłem wczorajszy stół; był teraz otoczony barierą i stał bliżej pomnika, ukryty pod jego kwitnącym wiszarem. Ciemno tam było, jak w norze.

Mój obecny nastrój, pełen nie mniejszego zamętu niż ten, który panował dokoła, nie usposabiał mnie do wzięcia udziału w czezej paplaninie przy stole. Nie podszedłem tam. Postanowiłem natomiast przepchnąć się do grupy widzów otaczających cokół pomnika i patrzeć z miejsca znajdującego się wewnątrz obwodu koła. Zaledwie oderwałem się od ściany domu, do której przyciśnięto mnie w tłoku, gdy nieustannie napierająca i rzucająca mną fala ludzka uniosła mnie daleko od pierwotnego kierunku i znalazłem się po drugiej stronie pomnika, naprzeciwko stołu, przy którym, zapewne tak samo, jak wczoraj, siedzieli Bowes, Cook oraz inne osoby, znane mi z wczorajszego epizodu.

Znalazłem się w punkcie środkowym, gdzie ruch, zgodnie z podstawowym prawem fizyki, odbywa się wolniej, kupiłem od sprzedawcy maseczkę w kolorze bzu i zabezpieczywszy się w ten sposób przed bystrym wzrokiem Cooka, stanąłem na jednym ze słupków połączonych łańcuchem dokoła „Biegnącej”. Za owo miejsce, które mi pozwalało uniknąć przykrego przemieszczenia, chroniło przed poszturchiwaniem i stawiało zarazem o dwie lub trzy głowy wyżej nad tłumem - zapłaciłem jego właścicielowi, który w porywie wdzięczności poinformował mnie, że okupuje je od rana; było to zaimprovizowane źródło dochodu, które przyniosło piętnastoletniemu oberwańcowi złotą monetę.

Moje skupienie zostało zmaćone. Zараźliwa intymność tego, co się działo - owa rozpu-
stna, lekkomyślna i triumfująca aura, wachlowana rytmicznym przyspiewem orkiestr rozmie-

szczonych w różnych punktach placu - wślizgiwała się w najgłębszy smutek duszy niby łaskotliwe pióro. Rozglądałem się dokoła i zdawało mi się, że widzę jakąś olbrzymią budowlę, z której zdjęto dach. Na balkonach, w oknach, na gzymsach, na dachach, daszkach podsieni, na krzesłach ustawionych w powozach, było pełno widzów. Wysoko nad placem wiły się setki chińskich zygzakowatych węzów. Baloniki pływały nad głowami. Na przeciągniętych nad domami drutach syczały ogniste, ślizgające się poziomo języki rakiet. Wolne od ruchu kołowego dwie sąsiednie strony placu tworzyły kąt prosty, którego wierzchołek leżał w centrum; wzdłuż ramion tego kąta sznurem ciągnęły wehikuły wiozące mieszkańców baśni.

Było tu na co popatrzeć, toteż zauważyłem kilka zaprzęgów wartych wspomnienia.

Wolniutko, kolebiąc się z boku na bok, toczyła się staroświecka złota karoca w kształcie łodzi z wysokim siedzeniem dla stangreta - tak ogromna, że siedzący w niej dorośli wydawali się dziećmi. Nosili kostiumy a la Watteau. Powoził Don Kichot, poganiając olbrzymią kopią czwórkę koni bogato przystrojonych złotą spadającą aż do ziemi siatką. Za karetą sunęła długa prawdziwa łódź, pełna kapitanów, marynarzy, jungów, piratów i Robinsonów; wszyscy oni wymachiwali tekturowymi toporami i strzelali z pistoletów, oddając głosem huk wystrzału, a zamiast kul wylatywały z luf płaskie sukienne szczury. Za łodzią, wywijając trąbami, stapały słonie, na ich grzbietach siedziały bajadery i gejsze śpiewając swawolne piosenki. Lecz najwięcej ze wszystkich pomysłów przykuwało moją uwagę misternie wykonane serce ze szkarłatnego pluszu, wielkości dwu sążni. Było jak żywe; drgając, kurcząc się i rozkurczając - przy czym drzenie przebiegało po całej jego powierzchni - kołysało się pośrodku obstepującej je grupy masek: w roli Amora występował człowiek z olbrzymim piórem, którym, niby kopią, godził w straszliwą pluszową ranę. Drugi, z pyskiem nietoperza, ścierał gąbką inicjały, wypisywane na powierzchni serca przez dziewczynę w białym chitonie, z zielonym wiankiem na włosach; lecz choćby najszybciej pisała je dziewczyna i najszybciej ścierała łączywa dłoń - to przecież nie udawało się zetrzeć kilku liter. Z lewej strony serca, czając się i wyskakując znienacka, wił się ohydny wąż i kąsał wzniesione w górę, pełne kwiatów ręce; z prawej strony wysuwała się prześliczna obnażona ręka kobiety, sypiąca złoto do kapelusza starego nędzarza. Przed sercem stał człowiek o wyglądzie uczonego, obserwując je przez olbrzymią lupę, i mówił coś do panienki, która zwinnie przebierała palcami po klawiszach maszyny do pisania.

Mimo swej naiwności alegoria ta wywierała silne wrażenie; patrząc na nią, długo jeszcze widziałem gorejący wierzchołek maskaradowego serca, gdy nagle wynikł zamęt spowodowany zatrzymaniem się orszaku. Nie od razu można było zrozumieć, co się stało. Powstała wyrwa; zaprzęgi znajdujące się na przedzie szły dalej, natomiast tylne, napierając przy coraz głośniejszych okrzykach zniecierpliwienia, zbiły się w jednym miejscu, gdyż naprzeciwko pomnika zatrzymała się wielka, dziwnego kształtu konstrukcja. Trudno było odgadnąć, co ona wyobrażała. Była to jak gdyby wysoka skrzynka z długim okapem na przedzie; jej wnętrze było zasłonięte draperią opadającą na koła; nie widać było w niej ludzi, tylko na wysokim koźle siedział woźnica z maską na twarzy. Obserwując go zauważyłem, że zawrócił konie jak gdyby chciał wyłamać się z szeregu, przy czym tył tajemniczego kolosa, którym powoził, znalazł się na wprost pomnika. W mgnieniu oka zgromadził się tłum; część ludzi chcąc przyjść z pomocą skoczyła do koni, druga zaś wygrażała pięściami przed nosem woźnicy, żądając, by wynosił się precz. Zeskoczyłem z mojego słupka i podbiegłem ku tyłom konstrukcji, jeszcze bez żadnych podejrzeń, jednak niejasno zaniepokojony, gdyż woźnica ześliznąwszy się z koźła, wmieszał się w tłum i zniknął. Tylne ściana konstrukcji nagle poszła w górę; wewnątrz, przyczajony w kącie, stał człowiek. Miał na twarzy maskę i coś majstrował przy zwisającej ze stropu linie. Zwłóczył przez chwilę, ponieważ nadepnął na jej koniec.

Moja myśl była w tej chwili jak świst kamienia koło ucha - tak wszystko stało się dla mnie jasne bez kropek i przecinków. Zrobiłem gwałtowny skok w stronę pomnika i rozrzuciwszy kwiaty, wdrapałem się po wystęпах cokołu na taką wysokość, że moja głowa sięgała nieco wyżej kolan „Biegającej”. Na dole stłoczył się dziko wrzeszczący tłum, zobaczyłem

wymierzone we mnie rewolwery i pustkę ogromnego wnętrza skrzyni, której wierzch znajdował się teraz na poziomie moich oczu.

- Dalej, podciąć konie batem! - ryknąłem, uczepiwszy się lewą ręką występu pod marmurowym posągami, prawą zaś wyciągnąłem naprzód. Jeszcze nie wiedząc, co się stanie, czułem zawisty tuż-tuż ciężar grozy i gotów byłem wziąć go na siebie.

Powszechnie osłupienie omal nie ułatwiło straszliwej machinacji. Gdzieś daleko z głębi konstrukcji wychynał czarny cień, z szumem śmignął w dół, wznosił się niemal dotknąwszy mej twarzy, i odleciał z powrotem. Był to podłużny dwudziestopudowy żelazny taran puszczony jak wahadło na mocnej linie. Cofnął się w tej samej sekundzie, kiedy między jego ślepą masą a moją twarzą przesunął się cień kobiecej reki, wyciągniętej gestem obrony. Cios płazem unicestwiłby mnie wraz z posągami, niczym topór stearynową świecę, lecz skręt tarana przesunął jego koniec koło mnie, na cał od ramienia posągu. Taran zatrzymał się, chybnął się kilka razy i umknął z powrotem. Ten powrotny cios był straszliwy. Zniósł boczną ścianę skrzyni, krusząc ją z hukiem, który spłoszył konie. Konstrukcja zachwiała się i runęła. Dwa konie upadły zaplątawszy się nogami w uprzęży, inne stawały dęba i pędziły wlokąc za sobą rumowisko wśród rozbiegającego się tłumu. Cały dygocąc na skutek szoku nerwowego zbiegłem na dół i przede wszystkim spojrzałem na posąg Fraisy Grant. Był piękny i nie uszkodzony.

Tymczasem ze wszystkich stron placu runęło takie mrowie ludzi, że zgubiłem kapelusz i wyparty z centrum areny, gdzie rozjuszona ciżba demolowała przewróconą diabelską maszynę, czułem się jak kamień, rzucony w wodę. Przez pewien czas paru ludzi kręciło się koło mnie, obmacywało proponując swoje usługi, ponieważ jednak istniała groźba, że burzliwy potok ludzi zwali nas z nóg, zostałem bardzo szybko i w sposób naturalny uwolniony od wszelkich życiwców i gdybym miał ochotę, mógłbym pozostać dalej w roli widza; lecz ja chciałem już wydostać się stamtąd. Wszędzie rozlegały się krzyki, że napaść jest dziełem Grasa Parana i jego stronników. I tak oto karnawał został zdławiony, całe zainteresowanie skupiło się na niezwykłym, głównym wydarzeniu tego wieczora. Znużony tumultem, skręciłem w zaułek i wkrótce znalazłem się w domu.

Przeżyłem wstrząs, który nieprędko minął. Siadałem, lecz nie mogłem usiedzieć, zaczynałem więc chodzić, ciągle jeszcze będąc pod wrażeniem śmierci, która nagle przemknęła obok mej skroni i którą oddaliła mała tajemnicza dłoń. Słyszałem łoskot obalonej wtórnym ciosem konstrukcji. Cały ciężar przeżyć minionego dnia zespolił się w tym ostatnim wspomnieniu. Czując, że nie zasnę, odurzyłem się taką ilością whisky, jaką kiedy indziej uważałbym za potworną, i zakopałem się w pościeli, nie mając już siły słuchać ani patrzeć, jak bije wielkie pluszowe serce, ociekając jadem i złotem, bólem i śmiechem, pragnieniem i przekleństwem.

ROZDZIAŁ XXXIV

Zbudziłem się o godzinie dziesiątej rano. Cooka nie było. Łóżko stało nietknięte. Nie nocował zatem w hotelu, a ponieważ przypadkowa samotność była mi na rękę, nie zaprzętałem sobie głowy myślami o jego losach.

Kiedy się ubrałem i orzeźwiłem potokami lodowatej wody wylanej na głowę, służący zameldował mi, że na dole czeka na mnie dama. Oddał mi także bilecik z nazwiskiem: „Gustaw Brenner, korespondent «Rifu»”. Domyślając się, że damą może być Bicze Seniwell, pospiesznie zszedłem na dół. Wystarczyło mi ujrzenie woalkę, by psychiczne i nerwowe mrowienie, na skutek którego zbudziłem się z nieokreślonym lękiem, znikło, zamieniając się w

uczucie tak silnej radości, że podszedłem do Bicze ze szczerym mimowolnym okrzykiem:

- Dzięki Bogu, że to pani, Bicze, a nie ktoś inny, kogo nie znam.

Popatrzyła na mnie badawczo, uśmiechnęła się i podniosła woalkę.

- Jaki pan blady! - rzekła po chwili milczenia. - A więc wyjeżdżam; dziś albo jutro, jeszcze nie wiadomo. Przyszłam tak wcześnie dlatego, że... to jest konieczne.

Rozmawialiśmy stojąc w małym salonie, skąd prowadziły drzwi do ogrodu otoczonego ślepym murem. Oprócz Bicze znajdował się jeszcze w salonie wysoki młody człowiek o czerwonej mizernej twarzy w pince-nez i z teczką w ręku, który, jak tylko wszedłem, podniósł się z fotela. Z trudem mogłem z nim rozmawiać, gdyż nawet nie patrząc na Bicze, widziałem tylko ją jedną i każda stracona chwila stawała się cierpieniem; lecz Gustaw Brenner miał prawo do tego, aby być natrętnym. Przeprósivszy Bicze, która odeszła ku drzwiom i patrzyła na ogród, zapytałem Brennera, czym mogę mu służyć.

Wtajemniczył mi w tak dobrze mi znaną sprawę śmierci Hase'a, po czym wyraził nadzieję, że otrzyma dla swej gazety interesujące informacje na temat skomplikowanych okoliczności, które mnie w tę sprawę wplątały.

Nie było innego wyjścia, żeby się go pozbyć. Powiedziałem więc:

- Niestety, nie jestem tym, którego pan szuka. Padł pan ofiarą przypadkowego zbiegu nazwisk: Tomasz Harvey, z którym chciał się pan widzieć, nie nocował dziś w hotelu. Wpisał się tu pod nazwiskiem Arinogel Cook, a ponieważ sam mi o tym powiedział, nie widzę potrzeby robienia z tego tajemnicy.

Czułem ciężar na sercu, gdyż przed chwilą z ust Bicze padły słowa o wyjeździe i właśnie to mi pomogło zachować absolutny spokój. Brenner nadstawił uszu i aż nimi zastrzygł z wielkiego zaskoczenia.

- Jedno słowo... proszę pana... bardzo pana proszę - zaczął pospiesznie, widząc, że zamierzam odejść. - Arinogel Cook?... Tomasz Harvey... jego opowiadanie... może pan wie...

- Musi pan wybaczyć - rzekłem stanowczo - jestem bardzo zajęty. Jedyna wskazówka, jaką mogę panu służyć, to miejsce, gdzie powinien pan znaleźć rzekomego Cooka. Mianowicie przy stole, który zajmuje ochotnicza warta przy pomniku „Biegnącej”. Jest w żółtym domino i różowej masce.

Bicze słuchała rozmowy. Odwróciwszy głowę patrzyła na mnie ze zdziwieniem i aprobatą. Brenner chwycił moją rękę, złamał swą długą postać w głębokim ukłonie i zrobiwszy w tył zwrot, wybiegł metrowymi krokami na poszukiwanie Cooka.

Podszedłem do Bicze.

- Czy nie będzie pani wygodniej w ogrodzie? - zapytałem. - Widzę cię w tamtym rogu.

Usiedliśmy w ogrodzie; od wejścia zasłaniały nas krzewy różane.

- Bicze - powiedziałem - jest pani bardzo, bardzo poważna. Co się stało? Co panią dręczy?

Spojrzała na mnie nieśmiało, jak gdyby z daleka, przygryzła wargę i natychmiast znikła nieśmiałość, a miejsce jej zajął tak dobrze mi znany wyraz upartej szczerości.

- Proszę mi darować moją nieumiejętność dyplomatycznego lawirowania - odezwała się. - Wczoraj... Harvey! Niech mi pan powie, że pan zażartował!

- Jakże bym mógł? I jakże bym śmiał?

- Niech pan się nie obraża. Będę z panem szczerą, Harvey, tak samo jak pan był szczerą w teatrze. Powiedział mi pan wtedy niewiele i - dużo. Jestem kobietą i dobrze pana rozumiem. Lecz zostawmy to na razie. Opowiedział mi pan o Fraisy Grant i u w i e r z y ł a m panu, lecz prawdopodobnie nie tak, jak pan by tego pragnął. Uwierzyłam, jak w coś niereczywistego, w czym wyraził pan swoją duszę, tak jak się wierzy rysunkom Callota, Fragonarda, Beardsleya; j a n i e b y ł a m w t e d y z p a n e m. Przysięgam, że nigdy nie mówiłam o sobie tak dużo i z uczuciem tak dziwnej przykrości! Lecz gdybym uwierzyła, byłabym pewnie bardzo nieszczęśliwa.

- Bicze, nie ma pani racji!

- Absolutną rację, Harvey, ja mam dziewiętnaście lat. Życie jest dla mnie czymś cudownym. Nawet nie znam go jeszcze, jak należy. I już zaczął mi się dwoić świat dzięki panu: dwie żółte suknie, dwie „Biegające po falach” i - dwóch ludzi w jednym! - Roześmiała się, lecz niespokojny był jej śmiech. - Tak, jestem racjonalistką - dodała w zamyśleniu - a to chyba niedobrze. To mnie doprowadza do rozpacz.

- Bicze - powiedziałem, ani trochę nie zwiedziony blaskiem jej oczu, wymawiając tylko słowa, ponieważ niczym innym nie mogłem wyrazić jej samego siebie - Bicze, wszystko jest dla wszystkich otwarte.

- Dla mnie - zamknięte. Jestem ślepa. Widzę cię na piasku, róże i pana, lecz w innym sensie jestem ślepa, wydaje mi się pan nierealną zjawą. Ale to żart. Każdy człowiek ma swój własny świat. Harvey, t e g o n i e b y ł o?!

- To b y ł o, Bicze - powiedziałem. - Proszę mi wybaczyć.

Spojrzała na mnie z lekkim melancholijnym znużeniem, potem westchnęła i wstała.

- Kiedyś spotkamy się może i porozmawiamy jeszcze raz. To nie jest takie proste. Czy słyszał pan, co się stało w nocy?

Nie od razu dotarł do mnie sens tego pytania. Podniosłem się również, wiedząc bez dalszych wyjaśnień, że widzę Bicze ostatni raz, że ostatni raz z nią rozmawiam; trwoga, jaką odczuwałem wczoraj i dziś, była prawdziwym przecuciem. Zdałem sobie wreszcie sprawę, że muszę coś odpowiedzieć.

- Tak, byłem tam - odrzekłem już mając zamiar opowiedzieć jej o moim czynie, lecz naraz wszystko we mnie zachnęło się z odrazy do bezcelowych słów, tak samo jak w Lissie podczas rozmowy z urzędnikiem hotelu „Dover”, tym bardziej że zmusiłbym w ten sposób Bicze do podjęcia na nowo zakończonej rozmowy. Należało zachować pozory nieporozumienia, które zaszło dalej, niż przypuszczaliśmy.

- A zatem pani wyjeżdża?

- Wyjeżdżam dzisiaj. - Wyciągnęła rękę. - Żegnam pana, Harvey - powiedziała, patrząc mi w oczy badawczo. - Dziękuję panu z całego serca. Proszę mnie nie odprowadzać - wyjdę sama.

- Jak to wszystko się rozpadło - zauważyłem. - Pani na próżno spędziła tyle dni w podróży. Osiągnąć cel i wyrzec się go - nie każda kobieta zdobyłaby się na taki postępek. Żegnam panią, Bicze. Będę z panią rozmawiał jeszcze długo po pani wyjściu.

W twarzy jej coś drgnęło, jak gdyby słowa, które nie zostały wypowiedziane, potem wyszła. Dłuższą chwilę stałem, nieczuły na wszystko dokoła, później spostrzegłem, że stoję u siebie w pokoju tak samo nieruchomy, bez sił i chęci, by znów podjąć życie. Nie pamiętałem, jak tu się znalazłem. Po jakimś czasie położyłem się usiłując myśleć o czymś innym i w ten sposób pokonać cierpienie, mogłem jednak tylko w nieskończoność wyobrażać sobie utraconą twarz Bicze.

- Jeżeli tak - powiedziałem w rozpacz - jeżeli sam o tym nie wiedząc, dążyłem wyłącznie ku nieszczęściu - o, Fraisy Grant, ten ból jest nad siły człowieka! Wybaw mnie od cierpienia!

Sądziłem, że będzie mi lżej, jeśli wyjadę z Hale-Gew, toteż o godzinie szóstej wieczorem siedziałem już w pociągu nie zobaczywszy więcej Cooka, który, jak później dowiedziałem się z gazet, został zastrzelony podczas napadu na dom Grasa Parana. Jego rozdwojenie, jego posępny sarkazm i śmierć w obronie pomnika Fraisy Grant - za pewną starannie strzeżoną cząstkę swej duszy - nurtowały mnie długo jako przykład naszej skąpej znajomości ludzi.

Przyjechałem do Lissu o dziesiątej wieczorem i natychmiast poszedłem do Filatre'a. Nie udało mi się jednak z nim porozmawiać. Choć wszystkie okna jego domu były rześmiście oświetlone, a drzwi otwarte, jak gdyby coś się stało - nikogo nie spotkałem przy wejściu. Zdziwiony, dotarłem do poczekalni i tu dopiero natknąłem się na służącego, który miał minę

jakaś zmieszana i uroczystą.

- Ach - powiedział szeptem - wątpię, czy doktor będzie mógł... Nie wiem nawet, gdzie on jest. Chodzą po całym domu, on i jego żona. Żeby pan wiedział, co się u nas stało! Tylko co, przed pana przyjściem...

Domyśliłem się, co takiego zaszło, zabroniłem meldować o mojej wizycie i wracając spostrzegłem przez otwarte drzwi młodą kobietę siedzącą dość daleko w niziutkim fotelu. Doktor stał trzymając jej ręce w swoich, odwrócony plecami do drzwi. Winowajczyni i ten, który przebaczył, byli całkowicie pochłonięci sobą. Obaj ze służącym cicho jak złodzieje poszliśmy na palcach do wyjścia, które było teraz starannie zamknięte. Stojąc na chodniku, pomyślałem nieco speszony, że Filatre nie będzie miał w tych dniach głowy do zajmowania się przyjaciółmi. W dodatku, w obecnej sytuacji pierwszy powinien wyrazić życzenie, że chce mnie widzieć u siebie.

Oddalałem się stamtąd w szczególnym nastroju; przypadkiem spostrzeżona scena przypominała mi teraz, w ciszy wieczornej, niespodziany poryw Daisy - jedyne, co mnie tej nocy równało z Filatre'em, który odnalazł swoje Niespełnione. Usłyszałem jej cichy szept:

- „Tak - i co ja teraz zrobię?”

Inny głos, dźwięczny i czysty, powiedział miękko, podsuwając odpowiedź:

„Harvey, t e g o n i e b y ł o.”

- B y ł o - odrzekłem znów jak wtedy. - To było, Bicze, proszę mi wybaczyć!

ROZDZIAŁ XXXV

Zawiadomiłem listownie doktora o swoim powrocie i nie doczekawszy się odpowiedzi, wyjechałem do San-Riol, gdzie przez blisko trzy miesiące byłem zajęty z Lerchem sprawą sprzedaży nieruchomości pozostałych po moim ojcu. Po potrąceniu sum zastawnych i weksli nie okroiło się tak wiele, bym mógł jak dawniej depeszować do Lercha. Ale była pewna sprawa, ciągnąca się już od pięciu lat, która wróżyła pomyślne dla mnie rozwiązanie.

Charakter mój doskonale potrafi się godzić zarówno z brakiem środków materialnych, jak i z ich nadmiarem. Po pewnym namyśle podjąłem się prowadzić korespondencję zagraniczną w firmie Alberta Witmera, trudniącej się handlem herbata, i zacząłem wieść dziwne, podwójne życie, którego jedną część stanowił dzień pracy, a drugą - całkowicie odrębną - wieczór, kiedy spotykały się i snuły wspomnienia. Z bólem myślałem o Bicze, póki wspomnienie o niej nie złagodniało nabierając charakteru smutnej i nieodwracalnej konieczności... Mimo wszystko byłem szczęśliwy, że nie skłamałem w owej decydującej chwili, kiedy na jedną kartę została postawiona moja godność - moje prawo do własnego losu, cokolwiek by pomyśleli o tym inni. Byłem także rad, że Bicze w przejrzystym ogrodzie swej duszy ani na jotę nie odstąpiła od swego wewnętrznego credo, zostawiając w mej pamięci tak szczery zachwyty, jaki można porównać tylko z zachwytem wobec hartu ducha wroga wypowiadającego w obliczu śmierci słowa niebezpiecznej prawdy. Bicze należała do nielicznych ludzi, których obecność podnosi na duchu. Podczas tych medytacji uznawałem dzielący nas dystans wewnętrzny za całkiem uzasadniony, zarówno z mojej, jak i z jej strony, i mógłbym tylko ubolewać, że jestem inny niż ona. Wątpię, czy ktoś naprawdę ubolewał kiedykolwiek nad takimi rzeczami.

Moje zeznania, które wysłałem do sądu w Hale-Gew, gdzie toczyła się rozprawa, całkowicie wyłączyły Butlera z historii wysadzenia mnie na pełnym morzu przez Hase'a, natomiast zostawiły otwartą kwestię zjawienia się nieznanym kobiecie, która zeszła do mojej łodzi. Nie było o niej żadnej wzmianki ani w sądzie, ani podczas śledztwa, na pewno zgodnie z cichą

umową podsądnych, którzy doskonale rozumieli, jak poważnie odbiłaby się ta okoliczność na ich losie. Skorzystali z mego milczenia na ten temat i mogli je sobie tłumaczyć, jak chcieli. Marynarze otrzymali dość lekką karę za udział w handlu przemytniczym. Sinkrite wykręcił się rokiem więzienia. Na skutek starań Botwella i pewnych kosztów ze strony Bicze, Butler został skazany tylko na pięć lat ciężkich robót. Po odbyciu kary wyjechał do Dagonu, zaciągnął się na transportowiec węglowy i tu zatarł się jego ślad.

Jeżeli chciałem odetchnąć, skupić uwagę na czymś radosnym i miłym, wracałem myślą do Daisy, na nowo przeżywając dokuczliwy, nieodstępny żal z powodu niezawinionej winy. Ileż razy ta dziewczyna wzruszała mnie i rozweselała, gdy przypomiiałem sobie jej szybkie charakterystyczne ruchy albo całe sceny z jej udziałem; mimo woli wybuchałem śmiechem i wypoczywałem psychicznie widząc znów, jak mi zwraca przegrane pieniądze lub wspiąwszy się na palce uderza się po wargach, usiłując gestami wyjaśnić mi, czego żąda. W przeciwieństwie do Bicze, której postać zaczynała stopniowo przejrzystość i tracić ową władzę, która mogła się utrzymać tylko przez bezpośredni nawrót uczucia - nie wiadomo gdzie znajdująca się Daisy była realna jak uścisk ręki, któremu towarzyszy uśmiech i serdeczne słowo. Odczuwałem jej obecność tak żywo, że będąc sam, mogłem z nią rozmawiać i nie uważałem, że popełniam dziwactwo lub niedorzeczność, lecz kiedy we wspomnieniu wracał jej tkliwy i gorący poryw, a ja nie mogłem opędzić się od wrażenia dotykalności przywartego do mnie ciała tego półdziecka, które właściwie należało wtedy pogłaskać po głowie - zapytywałem siebie:

„Dlaczego nie byłem dla niej lepszy, nie porozmawiałem z nią tak, jak tego pragnęła i oczekiwała, pełna nadziei? Dlaczego nie spróbowałem jej czymkolwiek rozśmieszyć?”

Podczas jednego z moich przyjazdów do Lege zatrzymałem się przed witryną sklepu, gdzie był wystawiony model żaglowca - duża, odpowiednio wyekwipowana karawela z czasów Vasco da Gamy.

Był to jeden z owych interesujących, a praktycznie zbędnych przedmiotów, które latami czekają na nabywcę, aż wreszcie stają się nieodłączną częścią inwentarza tegoż sklepu, w którym zamierzano je sprzedać. Przyjrzałem się mu tak szczegółowo, jak przyglądałem się wszystkiemu, co potraça najskrytsze struny moich sympatii. Nieczęsto w takich razach potrafimy określić, co właściwie nas pociągnęło, dlaczego taka obserwacja przypomina rozmowę - prawdziwe, frapujące nas obcowanie. Nie kwapiłem się z wejściem do sklepu. Obejrzałem małe żagle, uroczystą martwość pokładu, luków, wchłonałem całe przeznaczenie tego statku-karzelka, który dzięki ściśle zachowanym proporcjom części był zdolny wziąć blisko pięć funtów ładunku, nawet utrzymać się na wodzie i płynąć, ale przecież sprostać swym celom mógł tylko w wyobraźni ludzkiej - i postanowiłem, że karawela będzie moja.

Wtedy karawela znikła. Znikło wszystko - ulica i wystawa. Czyjeś ciepłe dłonie objęły moją głowę i zasłoniły mi oczy. Przestraszył, ale nie ten prawdziwy - przestraszył radości, któremu towarzyszyła niechęć wyswobodzenia się i, zapewne, niemądry uśmiech, nie pozwoliły mi wydobyć głosu. Stałem czując ciepło w sercu i już domyślając się, co będzie, zamrugałem pod ruchliwymi palcami na moich powiekach i spytałem cicho:

- Kto to?

- „Biegnąca po falach” - odpowiedział głos, który usiłował być bardzo tajemniczy. - Może t y m r a z e m pan zgadnie?

- Daisy?! - rzekłem zdejmując jej rękę z mojej twarzy i oto Daisy stanęła między mną a wystawą.

- Niech pan mi wybaczy to zuchwalstwo - powiedziała zaczerwieniona, śmiejąc się nerwowo. Patrzyła na mnie swoim szczerym, wesołym wzrokiem i oczy jej mówiły o wszystkim, czego nie potrafiła ukryć. - No, a jednak mam szczęście! To już zdarza się drugi raz, kiedy pan stoi zamyślony, a ja przechodzę obok! Przestraszył się pan? - Miała na sobie niebieską suknię i brązowy jedwabny kapelusik z niebieską wstążką. Na chodniku leżał pusty koszyk, który odrzuciła, aby przywitać mnie w ów osobliwy sposób. Towarzyszył jej ogro-

mny pies, sam widok którego stanowił nie lada przeżycie dla małych piesków; teraz ten pies przyglądał mi się badawczo, jak rzeczy, którą ewentualnie trzeba będzie nieść.

- Daisy, kochana Daisy - odrzekłem - jestem szczęśliwy, że panią widzę. Czuję się pełen winy wobec pani! Czy pani jest tu sama? Witam panią! - Mimo słabego, co prawda, oporu uściśnąłem jej rękę. Daisy wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

- Kocham pana, Harvey - oświadczyła poważnie i krótko. - Będzie pan dla mnie bratem, a ja dla pana siostrą. Och, jakże chciałam pana zobaczyć! Tyle było z mej strony niedomówień. Pan widział Fraisy Grant?! Bał się pan powiedzieć mi o tym?! Panu się to przytrafiło? Niech pan sobie wyobrazi, jaka byłam wstrząśnięta i zachwycona! Dech mi zapierało na myśl, że mój domysł jest słuszny. Teraz niech pan się przyzna, że - tak było.

- Tak - odpowiedziałem z równą prostotą i swobodą, gdyż mówiliśmy tym samym językiem. Lecz chciałem na inne tory skierować rozmowę. - Pani jest sama w Lege?

Domyślając się, co chciałbym wiedzieć, odrzekła powoli kiwając głową:

- Jestem sama i nie wiem, gdzie obraca się teraz Tobbogan. Bardzo mnie wtedy obraził; możliwe, że i ja go dotknęłam, ale to już sprawa przeszłości. Nic mu nie mówiłam, póki nie wróciliśmy do Riol, tam dopiero powiedziałam wszystko, również i to, jak pan się zachował. Płakaliśmy oboje, płakaliśmy długo, aż do znużenia. Tobbogan jeszcze nalegał; jeszcze i jeszcze... No, ale Proktor, dzięki mu za to, wtrącił się do nas. Odbił z Tobboganiem rozmowę. Wtedy Tobbogan wyjechał do Casset. Jestem tu u żony Proktora, która ma kiosk z gazetami. Staruszka traktuje mnie dobrze, tylko bardzo dużo pali - a mamy zaledwie trzy małe pokoiki, więc można się udusić. Pali fajkę! Niech pan sobie wyobrazi! No i teraz pan. Co pan tu robi, i czy znalazł pan żonę, której pan szukał?

Zbladła i oczy jej napełniły się łzami.

- Och, przepraszam! Język mój - to mój wróg! Okropny głuptas z tej pańskiej siostry! Ale pan mnie wspominał czasami?

- Czy można o pani zapomnieć? - odpowiedziałem wzdrygnawszy się z przerażenia na myśl, że mogłem nigdy nie spotkać Daisy. - Tak, znalazłem żonę, właśnie... teraz. Daisy, kochałem panią sam o tym nie wiedząc, a miłość ta szła śladem innej miłości, która minęła i skończyła się.

Nieliczni przechodnie zaułka oglądali się na nas, a w oczach ich zapalały się tajne błyski niedyskretnej ciekawości.

- Chodźmy stąd - powiedziała Daisy, kiedy wziąłem ją za rękę i już nie wypuszczając poprowadziłem na krzyżujący się z zaułkiem bulwar. - Harvey, mój kochany, serce moje, ja się poprawię, ja będę opanowana, tylko teraz potrzebne mi są cztery ściany. Nie mogę ani pana pocałować, ani fiknąć koziołka. Piesku... chodź tu. On się nazywa Klaps. A powinien nazywać się Haups. Harvey!

- Daisy?!

- Nic. Oby nam było dobrze!

EPILOG

I

W rozmowach, które toczyliśmy wtedy z Daisy i które często kończyły się nad ranem, ponieważ w tych samych sprawach odkrywaliśmy zarówno nowe ich aspekty, jak i nowe punkty widzenia - szczególnie umiłowanym przez nas tematem była podróż we dwoje do wszystkich miejscowości, w których bywałem dawniej. Lecz były to plany zbyt rozległe,

toteż musieliśmy je nieco okroić. W tym czasie wygrałem sporną sprawę, co mi przyniosło kilka tysięcy niezmiernie przydatnych w realizacji naszych życzeń. Wiedząc, że rozejdą mi się wszystkie pieniądze, kupiłem w Lege, niedaleko San-Riol, parterowy murowany dom z ogrodem i działką ziemi, która później została obsadzona drzewami owocowymi. Sporządziłem dokładny plan umeblowania wnętrza, wzięwszy pod uwagę najdrobniejsze szczegóły dotyczące przytulności i pierwszego wrażenia, jakie powinny wywrzeć pokoje na kimś, kto do nich wejdzie; wszystkim tym obiecał się zająć mój przyjaciel Towall, którego dobry smak i umiejętność nakazywania rzeczom, aby przemawiały, znałem jeszcze z czasów, kiedy miał własny dom. Towall pojął mnie w lot - od razu, gdy zobaczył moją Daisy. Cała sprawa została ułożona w tajemnicy przed nią i tak wyruszyliśmy w podróż, która trwała dwa lata.

Dla Daisy, zawsze pogrążonej we własnym świecie wewnętrznym i mimo pozorów śmiałości bardzo nieśmiałej, istną udręką było wysiadanie godzinami w towarzystwie lub przyjmowanie u siebie, toteż prędko zmęczyły ją takie wielkie ośrodki życia towarzyskiego, jak Paryż, Londyn, Mediolan, Rzym i często uskarżała się na zmarnowany, jej zdaniem, czas. Niekiedy zabierała głos na jakiś temat i nagle milkła, skonfundowana, dlatego tylko, że ściągająca na siebie uwagę. Zauważywszy to bardzo szybko, ograniczyłem nasze stosunki towarzyskie - choć były różnorodne - do osób, przy których można było mówić albo nie mówić, zależnie od nastroju. Ale i wtedy zdolność przenoszenia się w sferę cudzych przeżyć, jaką była obdarzona Daisy, wyrwała z jej piersi pełne zażenowania westchnienie. Daisy lubiła przychodzić gdzieś tylko wtedy, kiedy tego chciała.

Ale najmilszą jej rozrywką był spacer za mną po ulicach i oglądanie domów. Daisy lubiła architekturę i znała się na niej. Wzruszały ją stare mury z fosą i drzewami dokoła; jakieś kwitnące zakątki wśród opuszczenia umarłej epoki albo czyściutkie nowe domki pełne nieświadomej gracji wynikającej z proporcji wszystkich elementów, co się spotyka niezmiernie rzadko. Potrafiła zachwycić się jakimś frontem; zamkniętymi na głucho drzwiami pośród krzewów jaśminu; mostem, którego wieżyczki i łuki odcinały się nad bystrą wodą nieruchomymi kątami cienia; umiała dokładnie ocenić pałac i zwrócić uwagę na styl jakiejś chaty. Z tych wszystkich względów myślałem o domu w Lege z tajoną chytrąścią.

Po powrocie do San-Riol zatrzymaliśmy się w hotelu, a na trzeci dzień zaproponowałem Daisy przejażdżkę do wodospadów w Lege. Zawsze skora do przyjęcia każdej propozycji natychmiast przyjęła i tę, po czym zgodnie ze swoim zwyczajem nie zasnęła do godziny drugiej w nocy, bez przerwy rozmyślając o wyjeździe. Jeśli coś postanowiła, zapalała się i już nie mogła się uspokoić, dopóki nie zrealizowała swego zamiaru. Rano byliśmy w Lege i od stacji pojechaliśmy konno do naszego domu; powiedziałem jej, że dom należy do mego znajomego, który jest tutejszym sędzią, i że zatrzymamy się u niego przez dwa dni.

Na twarzy Daisy pojawił się tak dobrze mi znany wyraz zakłopotania i ciekawości, jak zwykle, podczas odwiedzin u nieznanomych ludzi. Udałem, że jestem roztargniony i trochę zmęczony.

- Jaki śliczny dom! - powiedziała Daisy. - I stoi zupełnie na uboczu; ogród, daję słowo, że wart uwagi! Wspaniały człowiek ten sędzia. - Takie bywały jej wnioski o ludziach na podstawie przedmiotów.

- Jak każdy sędzia - odpowiedziałem. - Może i jest wspaniały, ale co ty znalazłaś pięknego, kochana Daisy, w tym kwadracie z dwiema werandami?

Daisy nie zawsze potrafiła wyrazić to, co chciała, dlatego też połączyła swoje wrażenia i moje pytanie w jeden z uśmiechów, który niedwuznacznie mówił: „Obłuda jest grzechem. Przecież widzę prostotę i czystość linii, dzięki którym budynek zdaje się być pozbawiony ciężaru, i zieloną dachówkę, i białe ściany z przezroczystymi, jak błękitna woda szybami; i te szerokie stopnie, po których można schodzić powoli, w zamyśleniu, ku olbrzymim pniom drzew, w cień bujnego listowia, gdzie słońcem i cieniem szkicowane żywe, płomienne bukiety pięknie rozmieszczonych klombów. Człowiek czuje się tu pogrążony w przyrodzie, która

rozumnie i spokojnie skupiając się wokół domu, tworzy jednolitą całość z fasadą i bocznymi ścianami. Czemu więc, kochany mój, te niepotrzebne słowa, w które sam nie wierzysz?”

Na głos Daisy powiedziała:

- Bardzo tu pięknie - aż serce taje.

Przywitał nas Towall, który wyszedł z głębi domu.

- Witam, kochany Towall. Nie przypuszczałam, że pana spotkam - rzekła Daisy. - Co pan tu robi?

- Czekam na gospodarzy - bardzo trafnie odpowiedział Towall, podczas gdy Daisy poprawiając pod brodą wstążki podróżnego kapelusza rozglądała się po niedużym salonie. Jej bystre oczy spostrzegły wszystko: dywan, rzeźbione meble dębowe, kominek i starannie dobrane obrazy w orzechowych i malachitowych ramach. Miedzy innymi znajdował się tu obraz Guerota, przedstawiający dwa psy - jeden leży spokojnie złożony pysk między łapy i patrzy ludzkimi oczami; drugi wstał, cały sprężony, ze wzrokiem utkwionym w coś, czego na obrazie nie widać.

- Gospodarzy nie ma - odezwała się Daisy podchodząc i przyglądając się obrazowi - gospodarzy nie ma. Ten pies zaraz szczeknie. Zacznie ujadać. Piękny obraz, kochany Towall! Może ten pies widzi wroga?

- Albo swego pana - zauważyłem.

- Możliwe, że zaszczeka radośnie. No i co będziemy robić?

- Pokoje dla was są przygotowane - odpowiedział Towall i jego chuda twarz o ostrych rysach i dużych pobłażliwych oczach rozciągnęła się w zagadkowym uśmiechu. - Co się tyczy sędziego, to zdaje się, że jest tu obecny.

- Jak to, Adam Corner? Mówiłeś, że tak się nazywa ten pan. - Daisy popatrzyła na mnie, bym jej wytłumaczył, jakim cudem sędzia może tu być, skoro go właśnie nie ma.

- Towall chce pewnie przez to powiedzieć, że Corner wkrótce nadejdzie.

Przy tych słowach musiałem mocno zagryźć wargę, wyszedł więc z tego bełkot mniej więcej w tym rodzaju: „ce ewne esto edzieć, że yrner utce edzie”.

- Czy ty coś jesz? - spytała moja żona zaglądając mi w twarz. - Nie, nic nie rozumiem. Towall, pan mi jeszcze nie odpowiedział, skąd pan się tu znalazł, a to wielka przyjemność zobaczyć pana. Dlaczego pan chce zamącić mi w głowie?

- Ależ, Daisy - błagalnie westchnął Towall - czy to moja wina, że sędzia jest tutaj?

Zwróciła się ku niemu żywo i z gniewem, który nie zdążył jeszcze odbić się we wzroku, lecz natychmiast wybuchła śmiechem.

- Uważa mnie pan za głuptasa? - zapytała wprost. - Jeżeli sędzia jest tutaj i przy tym jest tak uprzejmy, że przysłał pana, by opowiadał pan o nim tajemnicze historie, to niechże pan będzie łaskaw powtórzyć mu, że my również p r a d o p o d o b n i e tu jesteśmy!

Jakkolwiek bardzo ładna była ta zabawa, nadeszła chwila wyjaśnień.

- Daisy - powiedziałem, biorąc ją za rękę - rozejrzyj się dokoła i wiedz, że jesteś u siebie. Chciałem cię trochę podręczyć, a ty już się denerwujesz, podziękuj więc Towallowi za jego starania. Ja tylko kupiłem ten dom; Towall poświęcił mnóstwo swego cennego czasu na urządzenie wnętrza. Sędzia rzeczywiście jest tutaj - ty nim jesteś. Ty musisz zawyrokować, czy dobrze wszystko wypadło.

Kiedy to mówiłem, Daisy patrzyła raz na mnie, raz na Towalla, na Towalla i na mnie.

- Prześnij - powiedziała blednąc z radości - zaklnij się straszliwym morskim zaklęciem, że to... Ach, jakież to niemądre! Przecież w oczach każdego z was widzę po jednym domu! I ja mam być sędzią?! Niechby to nawet była brudna szopa...

Skoczyła ku mnie i umazała mnie łzami zachwyty. To samo spotkało Towalla, który usiłował zachować swą pobłażliwą, sarkastyczną postawę, daleką od wszelkiej impulsywności. Potem zaczęły się oględziny, a kiedy wreszcie się skończyły, w oczach Daisy mieniły się wszystkie przedmioty, perspektywy, kwiaty, okna i firanki, jak na wilgotnej powierzchni

bańki mydlanej. Zapytała:

- Czy nie wydaje ci się, że wszystko może nagle zniknąć?

- Nigdy!

- No widzisz, a ja mam okropny charakter; jeżeli mam coś bardzo pięknego, od razu zaczynam się lękać, że mi to zabrają, zepsują, że już nie będzie mi dobrze...

II

W życiu każdego człowieka - nieczęsto, nie przywoływana siłą, lecz sama przez się i tylko w dniu najlepszym spośród innych zwyczajnie dobrych dni, przychodzi konieczność obejrzenia się wstecz, nawet stania się jeszcze raz takim, jakim się było dawniej. Taki nastrój ogarnął kiedyś Daisy i mnie, a przyczyną była żółta suknia z brązową frędzlą, którą Daisy zachowała na pamiątkę karnawału ku czci Fraisy Grant, „Biegnącej po falach” oraz spotkania w teatrze, kiedy to mimo woli wyrządziłem przykrość mojej przyjaciółce. Pewnego razu nawiedziły nas wspomnienia i trwały z przerwami przez cały dzień, przy śniadaniu, obiedzie, na spacerze, między śniadaniem a obiadem i między pracą a spacerem. W czasie rozmowy na tematy aktualne każde z nas nie przestawało myśleć o wszystkim, co się wydarzyło w Hale-Gew czy na „Nurku”, który, nawiasem mówiąc, rozbił się przed rokiem o skały podwodne, ale wszyscy z załogi ocaleli. Kiedy tylko napływała przeszłość, stawała przed nami żywa, wyrazista, żądając ponownej oceny, natychmiast zaczynaliśmy przeżywać ten lub inny fakt z żalem, że nie może się znowu powtórzyć teraz - bez swojej niejasnej przyszłości. Czy to była intuicja, że wieczorem ożyją wspomnienia, czy coś na podobieństwo spokojnego przyboju przypominającego człowiekowi, który dobił do brzegu, o przestrzeniach bezdennych, kiedy jeszcze nie wiedział, jaki brzeg skrywa się za milczeniem horyzontu, - odpowiedzieć na to może tylko niechęć do własnego życia, obojętna analiza psychologiczna. I oto zaczęliśmy mówić o Bicze Seniwell, którą kiedyś kochałem.

- Te oczy widziały Fraisy Grant - powiedziała Daisy przykładając palce do mych powiek. - Ta ręka ścisnęła jej dłoń. - Dotknęła mojej ręki. - Tam, w ustach, jest język, który z nią rozmawiał. Tak, ja wiem, w głowie się kręci, kiedy się zaczyna w to wnikać, ale potem staje się tak ważne, pełne znaczenia, że człowiek boi się, by nawet kropelki z tego nie uronić. I to na nikogo nie przejdzie, to jest tylko w tobie!

Ściemniło się; ogród krył się i stał w mrocznej samotności, a tak blisko nas. Siedzieliśmy przed domem, kiedy w świetle padającym z okna spostrzegliśmy Dicka, naszego majordoma, majstra do wszystkiego. Za nim szedł, z uśmiechem wpatrując się w ciemność, wysoki mężczyzna w podróżnym ubraniu. Kiedy wszedł w smugę światła i jego opalona twarz wydała mi się dziwnie znajoma, odezwał się:

- „Biegnąca po falach”!

- Filatre! - wykrzyknąłem podskakując i zrywając się z miejsca. - Wiedziałem, że musimy się spotkać! Straciłem pana z oczu po owej trzymiesięcznej korespondencji, kiedy pan wyjechał, jak mi mówiono, do Saleru czy do Dyblu. Ja też spędziłem dwa lata w podróży. Jak pan nas odszukał?

Weszliśmy do domu i Filatre opowiedział nam swoje dzieje. Daisy początkowo była małomówna i zaskoczona, ale szybko ochłonęła, zaczęła się uśmiechać i swoim zwyczajem podpowiadać Filatre'owi, jeśli się zatrzymywał. Zwracała się przy tym do mnie, tłumacząc bardzo rezolutnie i prawie za każdym razem nietrafnie, jak odbywało się to czy tamto - była to istotna oznaka, że słucha uważnie.

Okazało się, że Filatre został mianowany lekarzem kolonii trędowatych, leżącej w odległości około dwustu mil od Lege, w górę rzeki Tawassy, dokąd wyruszył z żoną wkrótce po

naszym wyjeździe do Europy. Rozminęliśmy się zaledwie o kilka dni.

- Ślad znaleziony - oświadczył Filatre - mam na myśli coś, co powinno pana zainteresować bardziej niż „Maria Celesta”, o której opowiadał pan na „Nurku”. To...

- „Biegnąca po falach”! - Daisy raptownie ponagliła jego płynącą opowieść i, czerwona z wrażenia, że jej domysł jest słuszny, usiadła z niewinną miną, która miała nas wszystkich przekonać: „Ja tylko to chciałam powiedzieć, teraz już milczę”.

- Słusznie. Wspomniałem tylko o „Marii Celeście”. Drogi Harvey, pewnego razu ja i dwaj pracownicy stacji biologicznej w Oro płynęliśmy kutrem parowym na polowanie do zatoki. Noc zaskoczyła nas w skalistym kolanie, na prawo od wyspy Caparoli, szybko więc minęliśmy to miejsce, by zatrzymać się w pobliżu lasu, gdzie z rana marynarze mieli zaopatrzyć się w opał. Na zakręcie kuter zaczął się przedzierać przez warstwę pływających odpadków drewna. W tym miejscu znajdują się setki małych wysepek, toteż manewry kutra po wlnych od przeszkód wodach zawiodły nas do cichej kolistej zatoki, osłoniętej w górze rozłożystym dachem listowia. W obawie, żeby nie zmylić drogi, a raczej nie przedłużyć jej błędzeniem po nieznanym labiryncie, szyper wprowadził kuter w strumień wody pomiędzy ogromnymi głazami i tam spędziliśmy noc. Spałem na pokładzie, zamiast w kajucie, i zbudziłem się wcześniej, choć było już widno.

Nie mając senny ujrzałem rozglądając się po zamkniętym kręgu zatoki, lecz prawdziwy żaglowiec stojący w odległości dwóch kabli ode mnie, prawie tuż u drzew, które górowały nad jego masztami. Drugi, odwrócony statek, odbijał się w głębinie. Byłem tak wstrząśnięty, jak gdyby wprost z łóżka, śpiącego, cisnął mnie ktoś do wody; wdrapałem się na gład, zeskończyłem chcąc zejść brzegiem od rufy statku, podarłem przy tym kurtkę na strzępy - taką splątaną gęstwinę tworzyły liany i pnie. Nie omyliłem się. To była „Biegnąca po falach”, statek opuszczony przez załogę, zostawiony na pastwę wody, wichrów i samotności. Na rejach nie było żagli. Na mój okrzyk nikt się nie ukazał. Łódź do połowy napełniona wodą leżała na boku, na skraju urwiska. Podniosłem zardzewiałą pustą blaszanekę, wyczerpałem wodę, a ponieważ wiosła leżały obok, za chwilę byłem przy statku i dostałem się na pokład po linie kotwicznej wiszącej u rufy.

Wszystko świadczyło o tym, że statek spoczywa tu już przeszło rok. Pokład zarósł trawą; przy burtach wiatr namiótł liści i gałęzi. Reje były oplecione lianami, których zwisające obsypane kwiatami łodygi kołysały się jak strzępki takielunku. Zszedłem na dół i wzdrygnąłem się, kiedy mały wąż, jedyny mieszkaniec salonu, objawił mi swoje fantastyczne, piękne a złowieszcze życie prześliznąwszy się po dywanie za zakręt korytarza. Potem przeleciała mysz. Wszedłem do pańskiej kajuty, gdzie pośród nieładu, potłuczonych naczyń i wałających się na podłodze szmat odkryłem masę olbrzymich gramolących się chrząszczy brudnozielonego koloru. Duszno tu było - psychicznie duszno, jak gdyby i mnie pogrzebano tutaj, zaliczwszy do chrząszczy. Znow wyszedłem na pokład, potem zajrzałem do kuchni, do kubryku; wszędzie panował beznadziejny bałagan, pełno było śmieci i moskitów. Zdjęło mnie przykre zakłopotanie, skrępowanie i smutek. Zostawiłem dalsze badania szyprowi, który w tym czasie podciągnął kuter do „Biegnącej”, oraz jego marynarzom - ci zaś napełnili zatokę okrzykami wielkiego zdumienia i rzucili się zabierać wszystko, co nadawało się do użytku. Zapal poszukiwań ogarnął także moich znajomych, pracowników stacji biologicznej, spędzili więc pół dnia na statku, tłukąc pałkami węże i szperając po wszystkich kątach w nadziei, że odkryją ślady ludzkie. Lecz ani dziennika, ani żadnych papierów nie było; tylko na biurku, w kajucie kapitana, utkwiał w samym końcu szuflady kawałek listu; mam go u siebie i kiedyś pokażę go panu.

Czy mogłem liczyć na to, że pan przeczyta ten list, którego nie chciałem... Prawdopodobnie piszący sam go podarł. Lecz ten domysł to także coś, czego rozwiązanie nie do mnie należy.

Stałem na pokładzie patrząc na wierzchołki masztów i wyższe od nich wierzchołki

leśnych drzew-olbrzymów, nad którymi jeszcze wyżej sunęły obojętne i piękne chmury. Stamtąd, jak zastygły deszcz, zwiślała sieć lian wyciągających na wszystkie strony czułki pełnych nadziei nieruchomych pędów na końcach wiszących łodyg. Lekki przypływ wiatru wprowadził w ruch tę oplataną wokół wszystkiego, co było na jej drodze stabilne, armię oświetlonych słońcem spirali i liści. Jeden z pędów, kołysząc się naprzód i w tył, bardzo blisko topu grotmasztu, nie wrócił do pozycji pionowej, kiedy wiatr ucichł, lecz pozostał odchyłony pod niewielkim kątem, jak przytrzymane w ruchu wahadło. Uczynił wysiłek. Wiatr podbił go z lekka i pęd, ledwie dotknąwszy drzewca, błyskawicznie owinał się dokoła masztu, drżący jak struna.

Daisy przycichła, nieruchomo patrzyła na Filatre'a poprzez mgłę łez napełniających jej oczy.

- Co ci jest? - zapytałem, sam przejęty do głębi, ponieważ dokładnie wyobraziłem sobie to, co widział Filatre.

- O - wyszeptwała lękając się mówić głośno, żeby nie wybuchnąć płaczem. - Jakie to piękne! I tak mi smutno, i tak mi dobrze, że wszystko jest właśnie - takie!

Byłem na tyle niemądry, że zapytałem, co nią tak wstrząsnęło.

- Nie wiem - odparła Daisy ocierając oczy. - Później się dowiem. Niech pan opowiada, drogi doktorze.

Filatre, zauważywszy jej wrażliwość, skrócił opowiadanie.

Otóż z niemałym trudem wybrnęli wtedy z labiryntu wysp. Filatre, mając nadzieję, że kiedyś mnie spotka, starał się przez Browna dowiedzieć czegoś o losach „Biegnącej”. Dopiero po upływie dwóch miesięcy otrzymał informacje, że „Biegnąca po falach” została sprzedana za pół ceny Eckowi Letrix i od razu odpłynęła do Akwitany pod dowództwem kapitana Harwooda. Od tego czasu słuch o niej zaginął. Może stała się pastwą ciemnych zamiarów, nikomu nie znanych planów, może w dżunglach rzeki znalazła ratunek przed wrogim prześladowaniem; może załoga jej wymarła na skutek epidemii, a może opuściwszy statek wyginęła w ostępach leśnych z głodu lub padła ofiarą dzikich zwierząt - nie sposób było się dowiedzieć. Dopiero w wiele lat później, kiedy nad Tawassą zaczęto znajdować złoto, powstało przypuszczenie, że była to hazardowa przygoda, marzenie o złocie, które potrafi dorosłych obracać w dzieci, ale z tą wersją godził się, jeśli miał chęć, tylko ten, komu nie dawał spokoju brak wiadomości. „Biegnąca” została tam, gdzie przypadkowo odkrył ją kuter, gdyż nie było chętnych do nowych poszukiwań ograbionego ze szczętem statku o reputacji stanowiącej pożywkę dla przesądów.

- Ale to jeszcze nie wszystko, jeśli chodzi o mnie i o pana - rzekł znowu Filatre, kiedy już omówiliśmy i przemyśleliśmy wszystkie fakty związane ze statkiem Seniwellów. - Nie dalej, jak wczoraj, spotkałem młodą damę - Biczę Seniwell.

Oczy Daisy obeschły, powściągnęła uśmiech.

- Biczę Seniwell? - powtórzyłem, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak wielkie znaczenie miała dla mnie wiadomość o jej losach.

- Biczę Cawaz.

Filatre zrobił pauzę, po czym dodał:

- Tak. Na statku do Riol. Mąż jej, Hektor Cawaz, był razem z nią. Dowiedziawszy się, że jestem lekarzem, poprosił mnie do żony, która czuła się niezdrowa. Nie wiedziałem, kim ona jest, lecz zacząłem się domyślać, kiedy usłyszawszy moje nazwisko, zapytała, czy znam Tomasza Harveya mieszkającego w Lissie. Odrzekłem twierdząco i dużo jej o panu opowiedziałem. Ostrożność wstrzymywała mnie od powtórzenia nam obu tylko wiadomych faktów z owego wieczoru, kiedy graliśmy w karty u Stersa, oraz innych rzeczy, o których nie zwykło się rozmawiać z przypadkowo poznanymi ludźmi. Ponieważ jednak w rozmowie poruszono historię statku „Biegnąca po falach”, uważałem za stosowne opowiedzieć o tym, co widziałem w zatoce. Biczę mówiła powściągliwie i nawet to moje odkrycie wyprowadziło ją z

równowagi jedynie na chwilę, kiedy oświadczyła, że pan koniecznie powinien się o tym dowiedzieć. Z kolei mąż jej, niesłuchanie żywy, dowcipny i sympatyczny człowiek, opowiedział mi, że w pierwszym okresie po ślubie często śniło mu się, że widzi pana w łodzi, a przy panu kobietę z zasłoniętą twarzą. Wtedy wyszło na jaw, że zna on pańską historię, rozmowa stała się więc szczerą i zeszła na wydarzenia w Hale-Gew. Toczyła się teraz swobodnie. Bicze Cawaz nie napomknęła ani słowem o tym, co ją z panem łączyło, widziałem jednak, że jest pełna głębokiej zadumy - jak brzeg patrzący z oddali na drugi brzeg poprzez siną równinę wód.

„On mógłby stać się bliższy tobie, droga Bicze - powiedział Hektor Cawaz - gdyby nie tragedia z Hase'em. Łańcuch okoliczności powinien był się zamknąć. Rozerwał go ten wstrząs, ta niespodziewana śmierć.”

„Nie, rozerwało go życie - odparła młoda kobieta spoglądając na Cawaza z uśmiechem pełnym ufności. - Życie postawiło mnie wtedy przed zamkniętymi drzwiami, do których nie miałam klucza, by z jego pomocą upewnić się, że nie jest to imitacja drzwi. Ja nie pukam do drzwi zamkniętych na cztery spusty. Od razu też stało się niemożliwe podtrzymywanie dalszej znajomości. Nie rozumiem oznacza dla mnie - nie istnieje!”

„Mocno powiedziane!” - zauważył Cawaz.

„Dlaczego? - zdziwiła się szczerze. - Chcę być zawsze tylko sobą. Cóż może być skromniejszego, drogi doktorze?”

„Lub wspanialszego” - odpowiedziałem przyznając jej rację.

Miała niewielką gorączkę, skutek lekkiego przeziębienia. Rozstałem się z nimi pod silnym wrażeniem jej indywidualności i życzliwości. W San-Riol spotkałem Towalla, który przyszedł do mnie, zobaczył bowiem moje nazwisko w książce hotelowej i upewniwszy się, że jestem tym właśnie doktorem Filatre, niezwłocznie poinformował mnie o panu. Czy muszę dodawać, że natychmiast zabrałem się i przyjechałem tu, rzuciwszy sprawę kolonii? Tak było naprawdę. Byłbym zapomniał. Bicze Cawaz prosiła, bym, jeśli pana spotkam, oddał panu ten list.

Doktor poszperał w portfelu i wyciągnął niedużą kopertę z widniejącym na niej moim nazwiskiem. Popatrzyłem na Daisy, która nieśmiało, pośpiesznie kiwnęła głową, i przeczytałem list. Zawierał tylko dwa zdania:

„Niech Pan będzie szczęśliwy. Wspominam Pana z wdzięcznością i szacunkiem. Bicze Cawaz.”

- Tylko tyle... - powiedziała rozczarowana Daisy. - Spodziewałam się czegoś więcej. - Wstała z rumieńcem na twarzy. - Spodziewałam się, że w liście tym zostanie uznane prawo mojego męża do widzenia wszystkiego, co chce widzieć i co widzi tam gdzie chce. I jeszcze brakuje tu słów: „Pan ma rację, dlatego że powiedział to pan, Tomasz Harvey, który nigdy nie kłamie”. Więc ja oświadczę za wszystkich: Tomasz Harvey, masz rację. Ja także byłam z tobą w łodzi i widziałam Fraisy Grant, dziewczynę w sukni z koronek, dziewczynę, która nie lękała się dotknąć stopą otchłani, ponieważ widzi ona to, czego nie widzą inni. A to, co ona widzi, dane jest wszystkim - niechże korzystają! Ja, Daisy Harvey, za młoda jestem, by sądzić o tych skomplikowanych sprawach, lecz znowu powtórzę: „Człowiek nie znajduje zrozumienia”. Na to, żeby zobaczyć, jak wiele jest rzeczy niewidzialnych, trzeba go zrozumieć. Fraisy Grant, ty istniejesz, biegiesz, jesteś tu! Powiedz nam: „Dobry wieczór, Daisy! Dobry wieczór, Filatre! Dobry wieczór, Harvey!”

Twarz Daisy jaśniała, śmiejąca się i chmurna na przemian. Mimowolnie wstałem z dreszczem w plecach, to samo uczynił Filatre - tak dziwnie zadźwięczał głos mojej żony. I usłyszałem słowa wymówione bezgłośnie, lecz tak wyraźnie, że Filatre obejrzał się.

- No - powiedziała Daisy siadając z westchnieniem ulgi - dobry wieczór i tobie, Fraisy!

- Dobry wieczór! - usłyszeliśmy z morza.- Dobry wieczór, przyjaciele! Nie smutno wam na ciemnej drodze? Ja śpieszę, biegnę...

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział I	002
Rozdział II	003
Rozdział III	004
Rozdział IV	008
Rozdział V	012
Rozdział VI	016
Rozdział VII	018
Rozdział VIII	020
Rozdział IX	021
Rozdział X	026
Rozdział XI	027
Rozdział XII	029
Rozdział XIII	030
Rozdział XIV	032
Rozdział XV	034
Rozdział XVI	036
Rozdział XVII	038
Rozdział XVIII	042
Rozdział XIX	046
Rozdział XX	047
Rozdział XXI	055
Rozdział XXII	059
Rozdział XXIII	066
Rozdział XXIV	073
Rozdział XXV	075
Rozdział XXVI	077
Rozdział XXVII	079
Rozdział XXVIII	083
Rozdział XXIX	086
Rozdział XXX	088
Rozdział XXXI	092
Rozdział XXXII	094
Rozdział XXXIII	096
Rozdział XXXIV	099
Rozdział XXXV	102
Epilog	104